

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/588

1996



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. UNGER:

PODRÓŻ DO KRESU KOMUNIZMU

A. STRONSKA: **LACHY I REZUNY**

St. KOSSOWSKA: **KSAWERY**

A. POSPIESZALSKI:

MŁODOŚĆ POLSKIEGO KOŚCIOŁA

SPIS RZECZY

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z Moskwy.</i> (<i>Podróż do kresu komunizmu</i>) . . .	3
Anna Strońska:	<i>Lachy i rezuny</i>	25
Mariusz Wilk :	<i>Sołowki, maj</i>	38
Camilla Mondral:	<i>Rozważania starszej pani</i>	48

WIERSZE

Agnieszka Lisak:	<i>O mojej fascynacji malarstwem. –</i> <i>Lęk...</i>	51
Szymon Mucha:	<i>...Skoro wszystko... – ...Graj, graj</i> <i>na swoim saksofonie</i>	52
Bolesław Taborski:	<i>Każdy się sam przekona</i>	54

WSPOMNIENIA

Stefania Kossowska:	<i>Ksawery</i>	55
---------------------	--------------------------	----

KRAJ

Czesław Bielecki:	<i>Ruch Stu</i>	75
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	78
Piotr Daszkiewicz:	<i>Polska polityka ekologiczna</i>	92
Mirosław A. Supruniuk:	<i>Małe, prowincjonalne miasto na T.</i>	97

WYWIADY „KULTURY”

Basil Kerski – Robert Trąba:	<i>Otwarty regionalizm</i>	102
---------------------------------	--------------------------------------	-----

SĄSIEDZI

Sokrat Janowicz:	<i>Białoruś</i>	110
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	114
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina – pięć lat niepodległości</i>	120
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	128

NOTATKI REDAKTORA

KRONIKA KULTURALNA

–	<i>Retrospektywa dzieł Tadeusza Kan-</i> <i>tora</i>	137
–	<i>Nagrody</i>	138
–	<i>Lista członków wspierających To-</i> <i>warzystwo Opieki nad Archiwum</i> <i>Institutu Literackiego w Paryżu</i>	139


Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 176

Warsawia
BN W6

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Wrzesień/Septembre** **1996**

INSTITUT  **LITERACKI**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dr W.S. Adamus, Ingelheim (Niemcy) – po raz 7-my – DM 100,00	F. 340,00
Stefan Bauer, San Francisco, CA (USA) – dol. 100,00	F. 500,00
Dr Jan Bądkowski, Frankfurt/M (Niemcy) – w szóstą rocznicę śmierci Matki Stefanii Kempner-Bądkowskiej – DM 300,00	F. 1.020,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) – po raz 70-ty – dol. 200,00	F. 1000,00
C.P. Czuchwicki, Panorama, S.A. (Australia) – po raz 24-ty	F. 270,00
Dla uczczenia pamięci naszego „Stryja”, pułkownika Feliksa „Rafała” Jędrzejaka, zmarłego w Chicago w wieku 99 lat – w drugą rocznicę Jego śmierci – Zofia Goroszeniukowa, z domu Jędrzejak i Teodor Goroszeniuk, Londyn	F. 250,00 F. 100,00
Antoni Jacek Górski, Sonoma CA (USA) – dla uczczenia pamięci swoich kolegów z tajnej drukarni „Szaniec”, którzy zginęli w Warszawie: jedni na ulicy Przemysłowej w 1942 roku, a inni na ulicy Długiej w 1943 roku – dol. 100,00	F. 500,00 F. 500,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa (Kanada) – po raz 20-ty – dol. kan. 100,00	F. 370,00
(Najserdeczniej przepraszamy za tak późne odnotowanie Pana daru, który powinien być być zamieszczony w maju br.)	
Jan Kączkowski, Barry's Bay, ON (Kanada) – dla uczczenia pamięci drogiego Przyjaciela Jana Stryjeńskiego, zmarłego w Genewie 22 czerwca 1996	F. 1060,00
Andrzej Kozłowski, Paryż – po raz 31-y	F. 200,00
Bolesław T. Łaszewski, Nowy Jork – po raz 27-my – dol. 80,00	F. 400,00
François Prause, Chiangmai (Tajlandia) – po raz 41-y	F. 300,00
Dr Wojciech M. Szczygielski, Unionville ON (Kanada) – dla uczczenia pamięci Stryja Janka Szczygielskiego, 16-letniego żołnierza ochotnika 236 pułku piechoty, poległego w bitwie pod Ossowem w dniu 14 sierpnia 1920 roku – dol.kan 100,00	F. 370,00
Irena i Jerzy Szwede, Woodside CA (USA) – dla uczczenia pamięci Przyjaciela Konrada Tarwida, zmarłego w Los Angeles, CA – dol. 50,00	F. 250,00
W 6-tą rocznicę śmierci (13 czerwca) Stefana Kopera – żona Zofia i syn Piotr (Arlington, VA, USA) – dol. 100,00 ...	F. 500,00
(Gorąco przepraszamy za spóźnione odnotowanie tego daru)	

Dalszy ciąg WPLAT na str. 175

Widziane z Brukseli i Moskwy

PODRÓŻ DO KRESU KOMUNIZMU

(w trzech aktach, bez epilogu)

Kto ma rację:

czy

Czaadajew: „My nie należymy do żadnej z wielkich rodzin ludzkości, ani do Wschodu ani do Zachodu”.

czy

Witte: „Rosja stanowi wyjątek wśród narodów świata: nasz naród pozbawiony jest sensu własności i praworządności”.

czy

Custine: „Gdyby kiedykolwiek twoi synowie niezadowoleni byli z Francji, pošlij ich do Rosji. Ktokolwiek poznał ten kraj, zadowolony będzie z życia gdziekolwiek indziej”.

czy

Masaryk: „Rosjanie są bardzo rewolucyjni. Nie są jednak bardzo demokratyczni”.

czy

Lichaczow: „Coś takiego jak rosyjska dusza nie istnieje: jesteśmy w stanie stworzyć przyszłość jakiej pragniemy”.

czy

Przysłowie (rzekomo rosyjskie): „*Here is not like Poland; here we have bigger people*” (w Moskwie nie znalazłem oryginalnej rosyjskiej wersji tego przysłowia. Tylko Jerzy Pomianowski może pomóc i wytłumaczyć o co tu właściwie chodzi).

czy mam rację

Ja: Takich cytatów jest naturalnie mnóstwo. Gdyby się nimi kierować, można zwariować i lepiej zostać w domu. Wyrzuciłem wszystkie cytaty. Pierwszy raz postanowiłem pojechać do Rosji nie z „okazji”: to znaczy wyborów, rewolucji, wojny, a „na spokojnie”. Bez laptopa i konieczności codziennego, czasem wielokrotnego obsługiwania gazety, która za podróż zapłaciła. Pochodzić po mieście, porozmawiać nie z politykami. W każdym razie nie wyłącznie z nimi, a z normalnymi ludźmi. I do nader skomplikowanego procesu poznawania nowej Rosji wrzucić moje (dosłownie i w przenośni) trzy grosze. Ich wybór i kolejność są oczywiście przypadkowe...

I. MOJŻESZ BEZ ŻYDÓW

a) Z rozpaczą w sercu...

Dziś jest już po wszystkim, ale wtedy wyglądało to groźnie. Od razu pierwszego dnia (koniec lipca) po przyjeździe do Moskwy wpadła mi w ręce jedna z angielskich gazet wychodzących w stolicy Rosji. Opis mroził krew w żyłach:

„Jelcyn stał wyprostowany, jak żołnierz na baczność, ramiona opuszczone wzdłuż ciała. Oczy wbite w próżnię, prezydent robił wrażenie, jakby nie zauważył naszej obecności... Po długich minutach bezruchu, odwrócił się i zaczął przemierzać pokój, wyraźnie ciągnąc nogi. Oczy wbite w ziemię, Jelcyn skupiony był wyłącznie na krokach. Przemierzał trzy metry i robił w tył zwrot...”

To nie jest scenariusz filmu *political-fiction*. To jest prawda. Tak to wyglądało któregoś lipcowego dnia w dachy klinice rządowej na przedmieściu Moskwy, Barwika. Budynek mieści się w środku parku, całość otoczona jest wysokim płotem żelaznym i strzeżona kilkoma rzędami agentów.

Po drodze do Barwiki przejeżdża się przez Kuncewo, dzielnicę-szyk, gdzie mieszkają władze, z prezydentem łącznie. Dziś jednak prezydenta nie ma w domu. Jest nieobecny. Od miesiąca (w dniu mojej nieudanej wizyty w Barwice), prezydent jest właściwie w izolacji. Widuje tylko

najbliższych współpracowników i rodzinę. Wszystkie inne wizyty wzbronione. Z jednym wyjątkiem: wiceprezydenta USA, Al Gore'a. To właśnie z tej okazji Laurence McQuillan z Reutera, jeden z dziennikarzy akredytowanych przy Białym Domu, którzy „obsługują” podróże amerykańskich przywódców, znalazł się przed obliczem Jelcyna, do którego, w czasie choroby, żaden rosyjski dziennikarz nie miał dostępu. Dostał się i co zobaczył opisał:

„Widok był szokujący dla kogoś, kto obecny był przy powitaniu Clintona, w kwietniu, na Kremlu. Jelcyn był wtedy pełen werwy, żartował, nie zdradzał żadnego objawu fizycznego wyczerpania. Tym razem... blada twarz i spory ubytek wagi...”

Poddani Jelcyna nie mieli okazji poznać opisu tej wizyty. Ale większość moich rozmówców i bez tego miała wątpliwości czy lekarzom uda się Jelcyna „wyszykować” na uroczystość inauguracji. Udało się. Ale nie trzeba mieć złudzeń. Po dwóch zawałach w ubiegłym roku, Jelcyn, 65 lat, organizm zniszczony wódką, ma wyrok z zawieszeniem: według zachodnich lekarzy, na podstawie tego co mogą wiedzieć – prognoza waha się od 10 minut do 10 lat.

Jelcynowi – powiadają tutaj – udało się wrócić do władzy, ale nie do zdrowia. Pytanie więc brzmi, czy Jelcyn będzie w stanie rządzić. I jeżeli nie on, to kto?

„Drogi panie – powiada moja rozmówczyni – żaden kandydat, ani Jelcyn, ani Ziuganow, nie odpowiadał mojej wizji prezydenta demokratycznej Rosji. Z jednej strony, komunistyczna skamielina, z drugiej – pijaczyna, którego znamy z jego stanów ‘hibernacji’. Gdyby to była wyłącznie moja sprawa, w dniu wyborów zostałabym w domu. Ale, choć z rozpaczą w sercu, to głosowałam na Jelcyna, i to od początku, od pierwszej tury, z nadzieją, że w ten sposób uda się moim wnukom uniknąć losu i doświadczeń, które były moim udziałem”.

b) W cieniu mauzoleum

Dla określenia atmosfery powyborczej w Moskwie, nie należy sięgać po entuzjazm i superlatywy. W istocie oscyluje

ona na granicy pragmatyzmu, sceptycyzmu i fatalizmu. Przed mauzoleum Lenina włącza się w naszą rozmowę przyzwoicie ubrany jegomość. Usłyszał znajomy język, był kilka lat w Polsce z wojskiem. Lat ok. 55, inżynier na *komandirówce* z Petersburga (dla niego to ciągle Leningrad). Z przekonania? – pytam. „Nie, z przyzwyczajenia” – odpowiada. „Lubię ten plac, ciągnie, zawsze tu przychodzę. I choć nie mam żadnej sympatii dla lokatora, to rozumiem ludzi, którzy odczuwają dla niego szacunek”.

Dla którego lokatora, tego z mauzoleum czy tego z Kremla? „Dla obu – odpowiada – to w końcu nasza historia i nasz los. Niestety, lokatorowi z Kremla nie udało się przekonać naszych obywateli, że to nie u lokatora z mauzoleum należy szukać odpowiedzi na nasze dzisiejsze problemy”.

Co zrobić – pytam – z facetem z mauzoleum? Czy nie czas na ekspulsję? „Na pewno – powiada – mamy zresztą, właśnie w Leningradzie, miejsce dla niego, obok grobu jego matki”. No to na co czekacie? Chruszczow wywalił stąd Stalina nie pytając ludzi o zdanie. A Jelcyn się waha. „I ma rację – powiada inżynier – 30 milionów Rosjan głosowało na Ziuganowa. Oni ciągle myślą, że Lenin jest w mauzoleum, na pomnikach zresztą także, na swoim miejscu. Jelcynowi widocznie na eksmisję Lenina nie starczy odwagi”.

c) Urny bez cudów...

I to jest to nowe i ważne. Właściwie, najważniejsze. Nawet absurdalna wierność Leninowi niesie w tych warunkach coś w rodzaju pozytywnego posłania. I to w podwójnym sensie. Z jednej strony, przywódca Rosji liczy się z tym, co mogłaby o jego rządzeniu pomyśleć choćby jakaś tylko część społeczeństwa. Z drugiej strony, obywatele tego kraju zaczynają rozumieć, że mogą mieć wpływ na sposób rządzenia i decyzje władzy. Inaczej mówiąc, jesteśmy świadkami transformacji zwyczajów politycznych i narodzin „obywatelskiego społeczeństwa” w Rosji.

To prawdziwy cud, jeżeli można w tych kategoriach określać procesy społeczne. W Rosji, kraju bez żadnej tradycji demokratycznej, gdzie parodia wyborów: cuda nad urną,

monopol jednej partii i jednego kandydata, paraliżowały co jakiś czas całe społeczeństwo, w tym właśnie kraju w ciągu 5 lat (pomiędzy rokiem 1991 a 1996) obywatele poszli 5 razy do urn w wyborach demokratycznych, powszechnych i wolnych. Rosji ciągle daleko do demokracji brytyjskiej, ale jej obywatele przekroczyli już próg, od którego nie ma chyba odwrotu: wykazali, że mają świadomość znaczenia ich głosu, że chcą decydować o sobie i za siebie. Na przykład, ktoś mi tłumaczy, że odroczenie czy odwołanie wyborów, które snuło się po głowach niektórych „Rasputinów” z Kremla, byłoby dziś właściwie wykluczone. Wybuchłby konflikt społeczny na wielką skalę.

Trzeba zrozumieć, powiadają tu, że zdrowie Jelcyna stanowiło problem ważny, ale nie zasadniczy w ostatnich wyborach prezydenckich. Rosjanie wybrali człowieka, niektórzy, a może i większość, na zasadzie mniejszego zła, ale odwrotnie do tego co się na ogół sądzi na Zachodzie, dokonali przede wszystkim wyboru modelu państwa.

Sergiusz Kowalioff jest w szpitalu: zawał. Elena Bonner, wdowa po Sacharowie, także w szpitalu i także zawał. Sołżenicyn – powiadają – w ogóle do polityki się zraził. Wszystkim ma za złe. Z telewizji go usunęli, bo – zdaniem nawet ludzi mu oddanych – jego programy, długie monologi, były po prostu nudne. W ogóle, czas dysydentów czy proroków wyraźnie się skończył. Pierwszych, po komunizmie, formacji demokratycznych, w pewnym sensie, także. Gajdar jest znany głównie z gazet zagranicznych, Jawlinski, być może, także tak wyląduje. Demokracja, po rozbiciu się partii demokratycznych głównie o rafy chorobliwych ambicji personalnych, przestaje być własnością kilku, tak zwanych autorytetów. Ale nawet najbardziej zgorzkniali byli dysydenci (młodzież, jak wszędzie niewdzięczna, w ogóle nie rozumie kogo ten termin miałby określać) zgadzają się, że Rosja wchodzi w okres powstawania mentalności obywatelskiej. To naturalnie proces na bardzo długie lata. Ale najwyraźniej rodzi się opinia publiczna. W Rosji to prawdziwa rewolucja. Chcecie przykładów – powiadają – bardzo proszę...

d) „*To już nie ta Rosja*”...

Borys Niemcow, gubernator Niżnego Nowgoroda, okna wystawowego udanej reformy rynkowej w Rosji, ukochane dziecko prasy zachodniej, o ogromnie rozwiniętym zmyśle „mediatyzacji”, inaczej mówiąc, znakomicie się sprzedający w mediach (on także, powiadają, tutaj, w perspektywie wyborów prezydenckich roku 2000), zebrał 4 miliony podpisów („autentycznych” – podkreślają) pod petycją domagającą się zakończenia wojny w Czeczenii. Nawet w Rosji jest to sukces.

Ale, uwaga – ostrzegają – tu nie chodzi o los Czeczeńców, Rosjanie mają ich w nosie, zresztą nikt ich nie lubi, a większość się boi, zwłaszcza po dramacie zakładników w Budeniowsku i po *on ne prête qu'aux riches*, bombach w Moskwie. Petycję podpisali ludzie, którzy nie chcą, jak powiadają, wojny rosyjskiej, lub inaczej – Rosji uwikłanej w wojnę. Żadną. Mają dosyć tej okropnej awantury, w której Rosja traci młodych ludzi, resztki, jeżeli jeszcze się ostały, honoru, ogromne pieniądze (także te z zagranicy), w której kompromituje się wojsko i władza, korumpuje cały aparat, ujawnia idiotyzm generałów, tych, którzy, jak się tu podkreśla, nawet nie wiedzieli, że Czeczeńcy na „do widzenia” mówią „bądź wolny”. Tak więc, „Niemcowi – powiadają – udało się wykazać zasięg jego zdolności mobilizacyjnych, ale „podpisowaczom” przez niego zmobilizowanym, udało się powiedzieć, co myślą. I to tak, żeby to dotarło do władzy”.

No i co, wojna trwa, zauważam, jakie są skutki apelu tych 4 milionów?

Skutki? Ogromne. Po pierwsze sam fakt! Precedens. U was, codziennie ktoś, przeważnie ci sami, podpisuje jakiś apel. U nas, to nowość. Po drugie, reakcja Jelcyna. Pewnie, to nie tylko z powodu apelu z Nowgorodu, ale to przecież w strachu przed opinią – i w polowaniu na jej głosy, Jelcyn obiecał, że zabroni wysyłania rekrutów (tych ginęło najwięcej) pod czeczeńskie kałasznikowy i obiecał, że wyciągnie Rosję z kaukaskiej zasadzki, a nawet wpuścił Jandarbiejewa (następcę Dudajewa) na salony Kremla, a potem wypuścił go żywego z Moskwy.

Albo ruch „matek żołnierzy w Czeczenii”. Kilka lat temu siedziałyby w gułagu. Dziś pomagają uciekinierom z wojska, ukrywają dezertersów. Bezkarnie. I nie boją się. Rozmawiałem niedawno w Brukseli z dwójką działaczek ruchu matek, jedna z Groźnego, druga z Petersburga. Objeżdżały Europę, wspomagane i – zapewne – finansowane, przez amerykańskich kwaków. Zapytałem jak tłumaczą tolerancję władz wobec ich działalności? „O, proszę pana – odpowiedziały – dziś niełatwo prześladować matki żołnierzy walczących, albo poległych w Czeczenii. To już nie te czasy”. Krótka, ale bardzo ważna definicja nowej Rosji.

e) *Pomnik Łużkowa*

Jurij Łużkow, burmistrz Mokswy, to jeden z najpotężniejszych (niektórzy twierdzą że także z najbogatszych) ludzi w Rosji. Rządzi, czy dobrze – nie wiem, ale skutecznie, jednym z największych miast świata (15 milionów mieszkańców). 16 czerwca, kiedy Jelcyn w męce (35%, ledwo, ledwo przed Ziuganowem) wychodził z pierwszej tury wyborów, Łużkow, „rozbijał bank”: 90% oddanych głosów (on także, nic dziwnego – z takim wynikiem! – przymierza się do roku 2000). I już, za życia, ma swój „pomnik” w Moskwie. Ma swoją... katedrę. Pod wezwaniem Św. Zbawiciela.

Historia katedry ma już ponad 150 lat. Zbudowano ją dla uczczenia zwycięstwa armii rosyjskiej nad Napoleonem. Została rozwalona w 1931 roku na rozkaz Stalina. Chruszczow poprawił językoznawcę: na miejscu, gdzie ongiś stała katedra wybudował ogromny basen kąpielowy. Budowa katedry trwała w XIX wieku lat 46. Niewiele ponad rok wystarczyło, aby katedrę oddać wiernym i hierarchii.

Odbudowa zaczęła się w styczniu 1995 roku, a już w kwietniu tego roku odbywały się w niej nabożeństwa. Otóż to pan Łużkow załatwił finanse (250 milionów dolarów), osobiście nadzorował tempo, bez precedensu w Rosji, postępów w odbudowie. Patrząc na kolosalny budynek katedry i jej złote kopuły, zapytałem z fałszywą naiwnością: „To Łużkow taki wierzący ortodoks?” No, przesada – odpowiedzieli. Wierzący to on jest, ale nie w prawosławie,

a w polityczny marketing. I w siłę. I to jest to nowe opinii publicznej.

Nie rozumiem – powiadam – to moskiewska opinia publiczna chciała *ausgerechnet* katedry? Mało cerkwi jest w Moskwie? W mieście, w którego infrastrukturze brak absolutnie wszystkiego: szkół, szpitali, domów dziecka, domów kultury, sal uniwersyteckich, gdzie ulice są pełne zasadzek, a lotniska przypominają trzecioświatowe dworce? Czy – wracam do ataku – ktoś pytał mieszkańców Moskwy, na co chcieliby wydać ćwierć miliarda dolarów?

Łuzkow pytał – odpowiadają – i wyszło, że chcą katedry. Gwałtowny powrót do religii? I tak i nie. Łuzkow zrozumiał – tak mi to tłumaczą fachowcy – dwie rzeczy. Z jednej strony, po czarnej dziurze spowodowanej implozją komunizmu, ludzie poszukują jakiegoś systemu wartości, jakiejś kompensaty w sferze ducha. No dobrze – mówię – może i trzeba jej szukać, ale aby akurat w cerkwi prawosławnej tak bardzo skompromitowanej kolaboracją z komunizmem?

To istotnie paradoks, ale, że tak wyszło to nie przypadek. Jest bowiem jeszcze po drugie. Mieszkańcy Moskwy dobrze wiedzą, że mają dosyć kościołów, a za mało szkół i szpitali, i że nie katedra była najpilniejszą inwestycją. Ale wybrali, zdaniem psychologów, którzy się nad tą sprawą pochylili, katedrę jako symbol. Potrzebowali czegoś w rodzaju, jak to się tu określa, instrumentu zbiorowej pokuty. Symbolu tego, że ich pokolenie odbudowało to, co ich przodkowie brutalnie rozwalili. Łuzkow to rozumiał, uszanował. I – dodaje – otrzymał 90% głosów. Nie tylko dlatego, ale także dlatego. Jelcyn także by chciał... Tylko, że jego katedra nazywa się Czeczenia.

f) „Kukły” na poważnie...

Jak każda szanująca się telewizja, rosyjska NTV (teoretycznie niezależna, faktycznie bliska Kremla), ma program satyryczny. Nazywa się „Kukły”, oparty jest na powszechnie stosowanym modelu marionetek, w rodzaju „Polskiego Zoo”, czy francuskiego „Les Guignols de l’Info” w Canal+. Program, który miałem okazję obejrzeć, pokazał Jelcyna w

charakterze Mojżesza zapowiadającego ludowi 40 lat... swojej prezydentury dla wyprowadzenia go z pustyni.

Wystarczyło kilka dni w Moskwie, aby móc stwierdzić, bez ryzyka, że jest to zapowiedź podwójnie myląca. Po pierwsze, biologia Jelcynowi na to nie pozwoli. Po drugie, opinia publiczna, już dziś obecna i rosnąca w siłę, na to nie pozwoli. Nawet na znacznie mniej niż 40 lat.

II. TĘSKNOTA ZA NOSTALGIĄ...

a) Dumni ale niemi...

„Czy Pan zauważył, że ze wszystkich złotych medalistów na olimpiadzie w Atlancie, tylko Rosjanie – kiedy stali na najwyższym stopniu tak zwanego podium – nie śpiewali, czy choćby, udawali, że śpiewają swój hymn narodowy?”...

Nie zauważyłem, bo, choć kocham sport i namiętnie oglądam zawody, nie śledzę tej sztucznej pompy, która zamienia sportowe widowisko w nacjonalistyczną hecę, a zawodowego specja od sierpowego czy podnoszenia kawałka żelaza, w depozytariusza honoru i godności narodowej. Ale, sprawdziłem. Rzeczywiście, nie śpiewali. I słusznie. Nie mieli co śpiewać.

Hymn sowiecki jest nie do użycia, jego słowa – nie warto ich przypominać – brzmią dziś komicznie, nie do wyśpiewania. Hymn carski także nie pasuje. Idea aby „chronić cara” jest raczej anachroniczna. Ale ponieważ jakiś hymn jest konieczny, to – w oczekiwaniu na przypływ natchnienia u poetów i kompozytorów – Rosjanie posługują się melodią Glinki. Pewnie, można by nucić. Może i nuca, ale bez większego entuzjazmu. „I dlatego – powiada do mnie znajomy – jesteście dumni, ale niemi”.

Tak więc, jak z tego już widać, trafiłem w Moskwie na okres olimpiady w Atlancie. Jasne, że z nikim normalnie umówić się nie można było, Rosjanie – bardziej może niż kiedykolwiek przedtem i bardziej niż na Zachodzie, to w ich sytuacji zozumiałe – wrażliwi byli z braku innych, na sukcesy sportowe.

Kwestia wyobraźni. Kiedyś – przypominają – gimnastycy

ukraińscy czy białoruscy, koszykarze łotewscy itd. to wszystko byli zawodnicy sowieccy, z literami ZSSR na koszulkach. Ah, łażą się w oku kręci. W ogłupiającej, ciągle stosowanej, statystyce medali, Związek Sowiecki łał wszystkich, nie wspominając nawet o sukcesach bratnich medalistów z ojczyzny zimnego i narkotycznego wychowu atletów czyli NRD i z innych krajów satelickich. „Sport, mój drogi – powiada kolega – był właściwie jedynym i w zasadzie bezdyskusyjnym, dotykającym dowodem na wyższość komunistycznej Rosji nad resztą kapitalistycznego i imperialistycznego świata. Olimpiady czy mistrzostwa stanowiły jedyną okazję, kiedy cały świat powstawał, bez strachu i niechęci, na dźwięk naszego hymnu narodowego. No a dzisiaj... Nawet hymnu nie ma”.

Ale dzisiaj – powiadam – można się już skarżyć, że tego hymnu nie ma. To już – dodaję – nie te czasy kiedy po pierwszym występie reprezentacji sowieckiej na igrzyskach w Helsinkach w 1952 roku, kierownik drużyny, minister Sportu Mikołaj Romanow (dobre imię i nazwisko!), czekał w swoim gabinecie całą noc z walizką u nogi, na reakcję Stalina. Wbrew instrukcjom wodza ludzkości, ZSSR dał się bowiem wyprzedzić przez USA.

Żal za utraconą hegemonią nawiedził także, to nic dziwnego, dziennikarzy. Kiedy w czasie defilady inauguracyjnej igrzyska w Atlancie, *speaker* zapowiedział drużynę Mongolii, niegdyś prawdziwą 17. republikę sowiecką, sprawozdawca telewizji rosyjskiej nie wytrzymał i palnął stary satelicki dowcip: „Oto drużyna niezależnej Mongolii. Niezależnej, albowiem nic od niej nie zależy”. Zrobiła się awantura, niezależna Mongolia zaprotestowała, ale incydent szybko zatuszowano. Pokój olimpijski obowiązuje... A żal nadal serce ściska...

b) Gagarin patrzy ku ziemi

Że żal za utraconą świetnością jest zjawiskiem normalnym i zrozumiałym, nie trzeba nikogo przekonywać. Ale źródła tej nostalgii sięgają daleko poza sport. Zresztą, sport właśnie, mimo tęsknoty do supremacji sowieckiej, ciągle

jeszcze jest tą dziedziną, w której znaleźć można najwięcej ukojenia i kompensaty. Gdzie indziej, jest znacznie trudniej...

Nie ma w tym nic zaskakującego. To, co naprawdę ważne, weszło do normy, do „normalki” – jak się mówi w Warszawie. To, że nie trzeba właściwie się bać władzy, że można się skarżyć, że są wolne naprawdę gazety, że można się bogacić, itd. itp, to już jest jak powietrze: wiadomo, że jest, że jest niezbędne do życia, ale się tego nie widzi i się za tym, naturalnie, tęsknoty nie odczuwa. Za tym natomiast co się utraciło...

W nowej rzeczywistości rosyjskiej jest sporo sytuacji, które nostalgię uzasadniają. Choćby ogromny, chyba najwyższy „personalny” pomnik na świecie, kosmonauty Gagarina, dominujący nad też ogromnym prospektem Lenina. Gagarin ma robić wrażenie, jakby z pomnika chciał ulecieć ku niebu. W istocie, patrzy zapewne ze wstydem na ziemię. Tak jak sport, ale w innej skali, program opanowania kosmosu miał być jednym z zasadniczych źródeł i dowodów na wielkość ustroju i państwa. Pierwszy sputnik, pies, człowiek, kobieta... Kosmos należał do Rosji. „No, a dziś – wdycha rozmówca – dziś orbita jest dla nas pułapką. Dziś, bez dolarów, od ziemi już się oderwać nie potrafimy...”

c) Prawda po grecku...

Każdy ma „swoją” nostalgię. I inne, „indywidualne” jej odniesienia. Tak naprawdę, to nikt normalny nie żałuje dziennika *Prawda*. Ale, założony w maju 1912, wychodził w ZSSR w 10 milionach egzemplarzy, drukowany był w 44 miastach i należy do serii „pomników Gagarina”, śladów wielkiej przeszłości. Nikt od dawna już nie miał złudzeń, wiadomo było, że *Prawda* kłamała i manipulowała. Z wyjątkiem najwierniejszych, coraz mniej ludzi ją czytało. Ale kiedy właśnie umarła, niektórym *Prawdy* zabrakło w pejzażu. Zwłaszcza, że – jak powiada kolega – nieładnie umarła. Chodzi mianowicie o forszę. I to o forszę... grecką. Dwóch podejrzanych Greków (dlaczego akurat Grecy?) kupiło bankrutującą *Prawdę* w 1992 roku. Nie zrobili (ja rozumiem)

na niej interesu (ja także nie: choć często, bez mojej zgody przedrukowywali moje artykuły, nigdy nie zapłacili ani grosza) i postanowili zamienić ongiś dumny organ partii w ordynarny tabloid, taką zwyczajną, albo nadzwyczajną rewolwerówkę. Ale to nie wszystko, bo do hańby dodali fałsz. Ukradli mianowicie insygnia „Orderu Lenina”, najwyższego odznaczenia sowieckiego, trzykrotnie przyznanego *Prawdzie*.

Zawsze szkoda – pocieszam człowieka, choć mi *Prawdy* nie żal – kiedy ginie jakieś pismo. Nie, nie o to chodzi – odpowiada – że ginie, to trudno, ale jak ginie! Ginie marnie. Gdyby chociaż chodziło o ideologię...

d) W cieniu „car-puszki”...

O jaką ideologię może chodzić grupie przeważnie młodych ludzi, w wojskowym szyku, pod sztandarami, w czarnych mundurach, spotkanych na stopniach cerkwi w Kołomienskoje? „O żadną. Spokojnie – powiada mój przewodnik – nie trzeba się przejmować. To grupka z ‘Pamięci’ (pamięci), organizacji nostalgicznej, faszystowskiej, ksenofobicznej, antysemickiej, ale dziś już bez większego wpływu społecznego czy politycznego”.

Ładny program – powiadam – Kołomienskoje, park na przedmieściu Moskwy, na wzgórzu nad rzeką, otaczający cerkwią i resztki pałacu jakiegoś Romanowa z XVII wieku, miejsce wycieczek, spacerów i, dla niektórych, także „ideologicznych” pielgrzymek. Tym bardziej uzasadnionych „ideologicznie”, że na terenie Kołomienskoje znajduje się także „obiekt z importu”: drewniany (bardzo wygodny) dom Piotra Wielkiego, przeniesiony żywcem i dokładnie z Archangielska, gdzie car nadzorował budowę portu i dał początek imperialnej flocie rosyjskiej.

W tym właściwie prawie rajsłym zakątku natury, można dojrzeć, jeżeli się naprawdę chce, przekonującą dla niektórych (nie wiem dla jak licznych) formułę rosyjskiej anty-nostalgii, *antidotum* na żal za dawną świetnością. To na kartach takiej historii, w świętej unii caratu i prawosławia, młodzi Rosjanie z „Pamięci”, poszukują źródeł odbudowy wielkości Rosji. Pytanie, kto jeszcze? Cała, naturalnie, skrajna prawica, to

znaczy zlepek rozmaitych jacejek karmiących się Protokołami Mędrców Syjonu a nawet bibliami typu „Mein Kampf” czy „Krótkim kursem”. Ziuganow i komuniści? Na pewno. Obskurancki nacjonalizm był przecież jednym z jego głównych haseł wyborczych i dziś figuruje w programie jego partii, głównej siły opozycyjnej w Dumie, i w kraju zresztą także.

No, a Jelcyn? Trudno powiedzieć. W kampanii wyborczej nie żałował sobie. W licytacji z Ziuganowem sięgał po argumenty z superpotężnego arsenału. Po wyborach wrócił do normy, to znaczy do choroby. Ale intencje miał „dobre”, to znaczy jak najgorsze. Inauguracja jego drugiego mandatu miała mieć tak wielkoruski charakter, że nawet „Pamięć” nie mogłaby się skrzywić. 9 sierpnia miał być w Moskwie dniem specjalnie przygotowany arsenał powietrzny, miał rozwiać chmury nad Kremlem. Ceremonia miała się odbyć na placu Soborowym na Kremlu, między katedrami, w cieniu „car-puszki”, największego działa na świecie. Patriarcha Aleksyj II miał pobłogosławić prezydenta-cara (o jego uprawnieniach powiadają w Moskwie, że są połączeniem władzy Napoleona, faraona i pierwszego sekretarza partii komunistycznej w ZSSR), przed wręceniem mu Orderu Zasługi Pierwszej Klasy, symbolicznie równoznacznego – jak podkreślano – z koroną cara.

Ale to wszystko jeszcze nic. W toku uroczystości miała mianowicie być, z braku hymnu narodowego, odśpiewana oda specjalnie napisana i skomponowana na tę okoliczność. Śpiewać miały chóry i soliści Bolszoja oraz armii rosyjskiej, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i chór... dzieci. Oda (nazwiska poety i kompozytora litościwie przemilczmy) głosiła chwałę potężnej i wielkiej Rosji, niosącej wolność, po dokonaniu wyboru człowieka błogosławionego, w którego ręce naród powierzył swój los.

Uff, na szczęście najgorszego uniknięto. Dzięki... chorobie Jelcyna i rozumowi Czubajsa, jego najbliższego doradcy. Jelcyn, jak już dziś wiadomo, nie nadawał się do żadnej dłuższej uroczystości pod gołym niebem, mógłby po prostu jej nie przetrzymać. A Czubajs, zdaniem nawet jego wrógów, jeden z mądrzejszych ludzi na Kremlu, doszedł na

czas do wniosku, że taka oda i w ogóle ta pompa, to nie tylko głupie, w trudnej sytuacji gospodarczej i w łunie pożarów w Czechenii, ale po prostu niebezpieczne. Przeniesiono więc całe święto do chruszczowowskiego Pałacu Zjazdów i wyeksponowano całą uroczystość w 16 minut, włączając w to 45 sekund prezydenckiej przysięgi Jelcyna. Całość zakończyła się wesołym oberkiem, w trakcie którego – jak dawniej bywało – przywódcy Rosji pili szampana w imieniu narodu.

Nie należy jednak lekceważyć pierwszego scenariusza prezydenckich bachanaliów. Tkwiła w nim nie tylko pogarda dla prawdziwej sytuacji Rosjan czy tragedii czecheńskiej. Był w nim także zamysł polityczny. Tak jak *toutes proportions gardées* – durnie z „Pamięci”, w Kołomienskoje, tak niektórzy politycy z otoczenia Jelcyna, widzieli w symbolice jedność cerkwi i władzy, odpowiedź na nostalgię Rosjan i wątpliwości zagranicy. Ta, chcąc się wpisać na siłę do Historii, jedność absolutnych ateistów i skorumpowanego kleru, miała stanowić źródło optymizmu dla tęskniących do wielkości mas rosyjskich i *message* dla świata: oto Rosja wraca do dawnych źródeł siły i determinacji w odzyskaniu przez Moskwę miejsca, jakie się jej, według niej samej, należy na mapie świata.

Naturalnie, są Rosjanie, którzy takich scenariuszy poważnie nie traktują. „Proszę pana – powiada do mnie człowiek, z którym analizuję wycieczkę do Kołomienskoje i plan zabawy na Kremlu – i my i wy wiemy, że ani pomyśleńcy z ‘Pamięci’, ani ody ku chwale Jelcyna, nie zapewnią Rosji miejsca jakie mogłaby ona zająć na globusie. Co prawda, krew nas zalewa, kiedy czytamy w waszej prasie denerwujące reportaże czy komentarze o Rosji, czasem głupie, a czasem nawet pogardliwe. Ale wiemy i my, i wy, że aby się rzeczywiście liczyć na świecie, nie wystarczą ani slogany, ani medale sportowe. Potrzebne są dobre miejsca w statystykach gospodarczych i cywilizacyjnych. A słowa hymnu narodowego napiszemy, kiedy będzie się już czym chwalić. Mam nadzieję, że już niedługo...”

III. SMUTA NIE WYSTARCZY

a) Inni Rosjanie...

Soda – 3 dollars,
Green Salad in Raspberry Sauce with Roquefort Cheese – 11 dollars,
Scampi Shrimp Cokked with Garlic Butter – 16 dollars,
Prok Tenderloin with Apple, Honey and Wild Rice – 18 dollars,
Weal Medallions with Sauce de Cheef – 17 dollars,
Chocolate Mousse – 6 dollars,
Tiramisu Amaretto Cherry Ice Cream – 6 dollars...

...i tak dalej, na dwóch stronach dużego formatu. *Menu* restauracji w Nowym Jorku? Guzik. Jesteśmy w Moskwie, w jednej z nowych restauracji, jakie się w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy rozmnożyły jak grzyby po deszczu. Ta mieści się, żeby było weselej, gdzieś między stacją metra o nazwie Marks a jednym z ciągle licznych w Moskwie pomników Lenina.

Knajpa na pewno jedna z droższych? Nie, to są, jak na Moskwę, ceny raczej średnie. Na pewno bardzo dobra? Nie, restauracja (nazwy nie podaję, bo nie ma reklamy za darmo) jest bardzo średnia, potrawy, choć pisane po angielsku, są mało smaczne. No dobrze, ale przy takich cenach to miejsce jest zapewne odwiedzane głównie przez amerykańskich businessmenów i milionerów? Nie, wprost przeciwnie. Dla obcokrajowców, przejazdem lub rezydentów, Moskwa jest (obok Tokio i Osaka) jednym z trzech najdroższych miast na świecie. Dla nich ta i inne podobne restauracje są po prostu, na co dzień, za drogie. Konsumenci tutaj w ogromnej większości to... Rosjanie.

Naturalnie, nie tacy zwykli Rosjanie. Bardzo dziwne towarzystwo. Odziani rozmaicie, można powiedzieć, eklektycznie. Jedni w ubraniach prosto od Versace (to ostatni krzyk mody w Moskwie), inni w marynarkach sportowych, najlepiej czerwonych, albo innych „żywych” kolorach, jeszcze inni, bez żadnych kompleksów, w sportowych dresach, przy czym spodnie koniecznie z lampasami w innych niż góra

kolorach. Panie im towarzyszące, też bez kompleksów, ale za to często w futrach, mimo lipcowego upału. Kilka detali jednak wspólnych: pieniądze (rachunki, sądząc z liczby dań i butelek, musiały być wysokie), telefon komórkowy na każdym stole (często dzwoniły), no i wszyscy bez przerwy pałą.

Kelnerki młode i ładne, niektóre nawet bardzo. Mini spódniczki obowiązkowe. I słusznie. Uśmiech jak u Maxima w Paryżu, „Może pan płacić w każdej walucie i każdą kartą kredytową” – powiada dziewczyna, która dysponuje nawet aparacikiem do sprawdzania autentyczności mojej „American Express”. „Przyjmujemy nawet ruble...” – dodaje z dwuznacznym uśmiechem.

Bilans jest prosty: jeden dolar jest wart ok. 5.000 rubli. Rachunek wyniósł ok. 80 dolarów za dwoje (bez wódki i wina, tylko dwa piwa), bez napiwku. „No, to ma pan właśnie poglądową lekcję naszej sytuacji społecznej i gospodarczej – mówi mój (a raczej moja) gość, świeża emerytka, redaktorka tłumaczka, po 40 latach pracy w wydawnictwie i czasopiśmie. – Moja emerytura wynosi 370.000 rubli miesięcznie, mniej niż dzisiejszy rachunek. Emeryci tu się nie pożywiają...” No – powiadam – nigdzie emeryci (poza emerytowanymi dyrektorami General Motors) nie jadają w takich restauracjach... „Nie ma sensu porównywać, to są dwa inne światy”. Ale jak żyją tutaj emeryci? Złe. Jej przypadek jest szczególnie. Podnajmuje jeden pokój w swoim mieszkaniu urzędnicze zachodniej *joint-venture*, którą stać na opłacenie czynszu 100 dolarów miesięcznie. Razem – powiada – to już wystarczy, trzeba tylko wiedzieć, gdzie, kiedy i jak robić zakupy. Najdroższe w jej sytuacji są usługi. To prawdziwa dżungla i szantaż. Za naprawę lodówki musiała zapłacić 500.000 rubli więcej niż jej emerytura.

b) Nowy snobizm

Cud: nowy pejzaż, Moskwa bez kolejek. Nie ma ich nigdzie, chyba tylko przed kinem albo Bolszojem. Ten prawdziwy koszmar i symbol sowietyzmu po prostu, tak jak kiedyś w Warszawie, zniknął z ulic i – właściwie – z życia mieszkańców Moskwy. Z dwóch powodów. Po pierwsze:

wszystkiego jest w nadmiarze i we wszystkich gatunkach. Po drugie: kupują ci, co mają pieniądze, a ci, którzy ich nie mają w ogonkach przed drogiemi sklepami nie stają, bo nie mają po co. Ceny dla nich za wysokie.

Proste? Proste. Na tym można by skończyć i niech się biedni (jedna trzecia społeczeństwa) martwią. W istocie jest o czym rozmawiać. Jest kilka równoległych sieci handlowych. Zachód zalał Moskwę i Petersburg (jak jest na prowincji, nie wiem, nie byłem) wszystkim, o czym może zamarzyć dusza wygłodzonego (w przenośni i dosłownie) rosyjskiego konsumenta. Dla najbogatszych (jest ich stosunkowo wielu – skąd mają pieniądze, to inny temat), są po prostu sklepy firmowe najbardziej *chic* zachodnich producentów luksusu. Największy, do niedawna, pomnik sowieckiej biedy, czyli osławiony „GUM” na wprost Kremla i mauzoleum, mieści dziś rozmaite Chanele i St. Laurenty, właściwie wszystkie wielkie „butiki”, głównie francuskie, ale także niemieckie itd. Dla bogatych Rosjan nie ma nic drogiego. Więcej, pojawił się nowy snobizm: co droższe to lepsze.

I nowe zjawisko: bogacze zastąpili w dowcipach tradycyjnych Żydów. „Dlaczego pan zmienił swojego mercedesa” – pyta jeden bogacz drugiego. – „Bo popielniczka była pełna”. Odnalazłem nawet przeróbki starych szmonek. „Co pani taka zmęczona” – pyta bogata Rosjanka swoją znajomą. – „Ah, bo całą noc prałam moje diamenty” – odpowiada. – „No wie pani, jak moje diamenty się brudzą, to ja je wyrzucam”. „Masz taki sam krawat jak ja” – powiada bogacz do innego. – „Ile zapłaciłeś?”. „200 dolarów” – odpowiada. – „Ale dałeś się nabrać. Ja za taki sam zapłaciłem 300”.

Pęknać ze śmiechu nie można, każdy ma taki dowcip na jaki go stać, ale te dowcipy nie są, jak powiadają Francuzi, *gratuits*. Nowe bogactwo rosyjskie jest beczelne i ostentacyjne. W Moskwie jest więcej mercedesów 600 (ultra luksus) niż w całej Belgii. Ta euforia ostentacyjnego konsumowania niedługo się skończy – tłumaczy znajomy dyplomata. Przed wyborami, wielka finansjera i wielcy bogacze dopuszczali możliwość sukcesu Ziuganowa. Niektórzy proponowali nawet odroczenie wyborów albo coś w rodzaju przedwyborczego kompromisu między Jelcynem i Ziuganowem, jakiś właściwie

mafijny podział władzy, taką dolarową Jajtę rosyjską. Trzeba oddać sprawiedliwość Jelcynowi, bo on przede wszystkim się na to nie zgodził i nawet w chwili najgorszych dla siebie sondaży, utrzymał decyzję przeprowadzenia wyborów w terminie. Wtedy, najbardziej spanikowani zaczęli masowo inwestować w nieruchomości na Zachodzie, w antyki, ikony, starą biżuterię itd., no i eksportowali nielegalnie kapitał, miliardy dolarów. Po wyborach, zaczęli na nowo konsumować na miejscu, rolls-roysy idą jak masło (jeden pojechał niedawno gdzieś na Ural specjalnie wynajętym samolotem).

Co najciekawsze, kapitały zaczynają wracać do Rosji. I są inwestowane w Rosji, co ostatnio potwierdziły w rozmowie ze mną dwa poważne tzw. źródła: prezes BERD, Europejskiego Banku Rozwoju i Odbudowy, p. Larosière i ambasador rosyjski w Brukseli p. Czurkin. Zresztą to widać gołym okiem. Bogaci się bowiem przeprowadzają. Moskwa to dziś ogromny plac budowy. Powstają całe osiedla willi jednorodzinnych w pasie niedaleko pod Moskwą. W samej Moskwie zawieszono mnie na nową właściwie ulicę, prawie centralną, zabudowaną wyłącznie nowymi kamienicami z jednej strony a willami z drugiej. Ile kosztuje taka przyjemność? Zależy. Jak się wydaje, mieszkania ok. 500.000 dolarów; wille do miliona... Jak w Nowym Jorku.

c) Są już żiguli...

Wyrwa społeczna jest ogromna: „My – powiada do mnie mój gość – mercedesami nie jeździmy, do sklepów z towarami z importu nie chodzimy, nie mamy po co ani za co”. Są inne sklepy z produktami rosyjskimi, gorszej jakości, ale bardziej dostępne. Są bazy, m.in. to pomysł Łuzkowa właśnie, takie na których można kupić towary z importu (przeważnie prywatnego), znacznie taniej niż w sklepach. I są dacie i działki z ogródkami, rodziny na wsi itd.

No a ci naprawdę biedni? W Moskwie można, jak we wszystkich metropoliach, spotkać straszną nędzę, ludzi rzeczywiście wyrzuconych poza nawias społeczeństwa. Setki bezdomnych znaleziono zamarzniętych ostatniej zimy. Dziś wegetują w parkach i na skwerach. Tysiące dzieci *bezprizornych*

i żebraków zalegają dworce, przejścia podziemne, kanały. Pozorna (czy także faktyczna, nie wiem) bez troska władz woła o pomstę do nieba. Ale uwaga! Rozległe, społecznie ważne ubóstwo jest jednak gdzie indziej, nie na marginesach społeczeństwa. U emerytów właśnie, u małych urzędników, nie mających możliwości brania łapówek (to poważne źródło dochodu, np. policjantów z drogówki, ale z drugiej strony – okropna rdza żrąca aparat władzy), ale także wszędzie, w Polsce to się określa jako „budżetówkę”, gdzie płace są zbyt niskie, aby normalnie żyć. Znam przypadek pewnej pani inżynier, która zrezygnowała z pracy w swoim zawodzie w przemyśle i została sprzątaczką w kantinie zachodniej *joint-venture*. Ma lepszą płacę, określone godziny pracy, godziwy posiłek i jeszcze przynosi coś niecoś do domu. I – podkreśla – jeździ trolejbusami. Dlaczego to takie ważne? Bo – odpowiada – w metrze nie można oszukiwać, nie można jeździć bez biletu. Pytam, na pozór słusznie, w istocie na granicy absurdu: „No, a kwestia godności własnej? Czy nie ma pani poczucia degradacji socjalnej? Co mówi na to pani rodzina i środowisko?” Spojrzała na mnie zdziwiona, jakby z pobłażaniem dla przybysza z innego świata. „Eh, wy zachodniacy, to co się liczy w mojej rodzinie i w moim środowisku, to zdolność przeżycia. Możliwie najmniej złego...”

To wszystko prawda. Ale, jak się wydaje i jak twierdzą fachowcy, wyrwa między bogactwem a biedą chyba już się zaczyna zmniejszać. A może tylko się zasypuje. Według socjologów, którzy na to zjawisko patrzą, i słusznie, z wyjątkową uwagą, rodzi się w Rosji klasa średnia. I rzeczywiście, między odrapanymi i brudnymi trolejbusami a olśniewającymi mercedesami pojawiają się już, i to często, nowe żiguli albo łady. Jeżeli stosować kryteria zachodnie, to klasa średnia reprezentuje dziś w Rosji 10 do 15 procent mieszkańców wielkich miast i dysponuje dochodem ponad 250 dolarów na członka rodziny. Są to pracownicy przedsiębiorstw zagranicznych, banków, mali i średni przedsiębiorcy, mali i średni kupcy, niektóre tzw. wolne zawody. np. adwokaci z faktycznie prywatną praktyką, a także rzemieślnicy, których bardzo brak. Klient kupuje nową ładę i pyta o datę odebrania samochodu. Sprzedawca: „15 września roku 2006”. „Dobrze – powiada klient – ale rano czy po po-

łudniu?”. „A dlaczego to ważne? „A, bo po południu ma przyjść hydraulik”. Dziś już dowcip mało aktualny, jeżeli ma się te 500.000 rubli, które moja znajoma musiała zapłacić za naprawę lodówki...”

d) Będzie „trzecia tura”

Inżynier-sprzątaczką: reguła czy wyjątek? Jak reagują obywatele „najdoskonalszej demokracji na świecie”, wychowani w „bezklasowym” społeczeństwie na ten nowy dla wszystkich i dramatyczny dla wielu, proces stratyfikacji, tym razem nie według linii nomenklatury partyjnej, a po prostu pieniądza? To zależy.

„Krew mnie zalewa – mówi student – kiedy patrzę na wystawy i wiem, że nie mam żadnej nadziei abym w jakiejś możliwej do zaakceptowania przyszłości, mógł sobie coś z tych cudów kupić. Ale, spokojnie dochodzę do wniosku, że jest mimo wszystko lepiej dziś, kiedy nie mogę sobie kupić tego, co jest na rynku, niż było dawniej, kiedy moi rodzice mogli kupić dużo, ale niczego na rynku nie było...”

Nie wszyscy tak rozumują. „Będzie na pewno ‘trzecia tura’ wyborów, to znaczy fala niezadowolonych i protestacyjnych ruchów społecznych, których zapowiedzią są strajki górników Dalekiego Wschodu – tłumaczy socjolog. – Rosjanie to dziś świadomi obywatele. Część z nich głosowała na Ziuganowa i to był przede wszystkim głos protestu. Inni strajkują i to jest także głos protestu”. „Będzie awantura na dużą skalę?”

„Nie, nie będzie – odpowiada. – Należy założyć, że w dziedzinie stosunków społecznych Rosja weszła w fazę jakiejś półdemokracji. Problemy będą rozwiązywane czasem nieudolnie, czasem fałszywie, czasem na gorąco, ale będą rozwiązywane sposobami gospodarczymi. Nie należy się liczyć z próbami rozwiązań przy użyciu siły. Partia komunistyczna, jedyna, która zdolna byłaby do organizacji siłowego protestu, jest skazana na powolny zanik: ekonomicznie, bo będzie poprawa, biologicznie, bo stary elektorat, i ideowo, bo to jest anachronizm. Nowe pokolenie potrzebuje czegoś innego. I znajdzie...”

„Nacjonalizm, neo-imperializm?”

„Nie sędzę. Czeczenia chyba wystarczy. To – mam nadzieję – ostatnia rosyjska wojna imperialna”.

e) Początek, czy koniec?

Rosja przejdzie jeszcze niejedno. Po nieuniknionym, naturalnym czy politycznym zejściu Jelcyna z kremłowskiego tronu, zaczną się – być może – konflikty klanów, pretendentów do sukcesji: Czernomyrdina z Lebediem, Czubajsa z Łuzkowem, bankierów z mafiozami, generałów z cywilami, nowych przedsiębiorców ze starymi nomenklatorszczykami... Ale będą to już tylko drgawki konającego. Pytanie co się narodzi?

Powiadają, że kiedy Puszkina przeczytał jakiś utwór Gogola, westchnął: „Boże, jaka nasza Rosja jest smutna”. Smutna inauguracja nowego mandatu smutnego, chorego Jelcyna, przy akompaniamencie wybuchów i w łunie pożarów Groznego, to nie początek czegoś nowego w Rosji, a właściwie koniec władzy i dominacji ostatniego posowieckiego pokolenia.

Zamykamy klamrę: czy rzeczywiście istnieje coś takiego jak „rosyjski wyjątek”, *l'exception russe*? Ci, którzy tak twierdzą, powołują się na trzy elementy: po pierwsze Rosja ma rzekomo kolektywizm w charakterze, wobec czego gospodarka rynkowa nie może się tam przyjąć. Po drugie, Rosja ma rzekomo despotyzm we krwi, wobec czego demokracja się tam utrzymać nie potrafi. Po trzecie, Rosja jest rzekomo instynktownie antyzachodnia, wobec czego odrzuca się nie tylko zachodniego pochodzenia gospodarkę rynkową i demokrację, ale albo prowadzi będzie antyzachodnią politykę zagraniczną, albo pograży się w samo-izolacji.

Tak było, ale tak być nie musi. 40 milionów akcjonariuszy, więcej niż w całej Europie razem, tysiące nowych prywatnych przedsiębiorców, prawdziwa ofesywa „prywatnej inicjatywy”, ponad 50% produktu narodowego z sektora prywatnego, przekreślają wyrok kolektywizmu. Wolna prasa, odwaga obywateli, prawdziwe niefałszowane wybory, kielki prawdziwego samorządu wykazują, że demokracja w Rosji

może zapuścić korzenie. Wreszcie, stosunek wobec świata. Polityka zagraniczna nie odgrywa większej roli w troskach obywateli Rosji. Obsesja antynatowska to temat sztuczny i zastępczy zamiast prawdziwej dyplomacji, której posowiecka Rosja jeszcze się nie dopracowała. Ale już dziś widać, choćby z kalkulacji gospodarczych, że podstawowa opcja Rosji leży w jak najszerzej współpracy z demokratycznym światem. Rosnąca potęga komunistycznych Chin stanowi przedmiot troski zachodnich polityków, ale tylko dla Rosji stanowi prawdziwą groźbę.

Wszystko to może się jeszcze jak najgorzej potoczyć. Nic w Rosji nie jest dziś *for granted*. Kolektywizm, despotyzm i irracjonalny izolacjonizm mogą wrócić, ale mogą i zniknąć. Powoli, z trudem, w bólach, ale na zawsze.

„Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?” – tak nazwana została ankieta rozpisana przez rządowy organ *Gazetę Rosyjską*. Dziennik wezwał czytelników do poszukiwania na 5 do 7 stronicach, najlepszej „idei mogącej zjednoczyć naród”. Jelcyń zgłosił podobne zapotrzebowanie. Zwrócił się do swoich doradców o wypracowanie nowej „idei narodowej” na użytek nowego prezydenta w roku 2000.

Jesteśmy na granicy nieporozumienia albo i zagrożenia: Rosja poznała już, na własnej i na cudzej skórze, niszczącą siłę „idei” narzucanych, sztucznie wypracowanych, o uniwersalnym zasięgu, idących z góry. Ale, nie ulega kwestii, że Rosja potrzebuje, i to szybko, nowego projektu na Rosję. Smuta i smutek nie wystarczą.

Pisane w Brukseli, 17 sierpnia 1996

Leopold UNGER

Lachy i rezuny

Ilu obywateli III Rzeczypospolitej przyznaje się do swej ukraińskości? Autor opracowania „Stereotyp Ukraińca w świadomości młodzieży Polski południowo-wschodniej”, Jerzy Jestał z Instytutu Filozofii i Socjologii WSP w Rzeszowie, konstatuje, że są wsie zamieszkiwane w połowie przez Ukraińców, z których w najlepszym razie co piąty nie ukrywa, że nie jest Polakiem.

W tych stronach religia automatycznie równała się narodowości. Katolik znaczyło zawsze: Polak. Stąd podczas akcji „Wisła” zdarzały się nawet masowe przejścia na obrządek rzymski, np. w Lesku proboszcz zniecka pozyskał stu nowych wiernych...

Do dzisiaj nie wiadomo ilu unitów mieszka w województwie, ilu – w samym Przemyślu. Wiosną telewizja informowała, że Wielkanoc podług swojego kalendarza będzie obchodzić 30 tys. grekokatolików. Metropolita nowopowstałej metropolii przemysko-warszawskiej w dwa miesiące później mówił o stu tysiącach, *Polityka* pisze o dwustu.

Dlaczego rzymscy katolicy tak ciężko dogadują się z grekokatolikami? Różnice głównie liturgiczne, w zasadzie tylko one, poza celibatem, bo spór o dogmaty to już z prawosławiem, rzadziej wyznawanym na południowym wschodzie Polski. Tymczasem walka unitów o własną świątynię w Przemyślu ma długą i przykrą tradycję. Władze peerelowskie – ponoć pod naciskiem Moskwy – proponowały przemyskim grekokatolikom cerkiew, ale prawosławną. Może strona sowiecka miała swoje widoki na poszerzenie strefy prawosławia jako wyznania w ówczesnych warunkach nie przeszkadzają-

cego w tłumieniu świadomości narodowej Ukraińców, w ich rusyfikacji, podczas gdy grekokatolicyzm sprzyjał tendencji najdokładniej odwrotnej. Nie upierałabym się, że grekokatolikom brakło podstaw do podejrzeń, iż Episkopat stawia na sytuację, w której część unitów ulegnie i przechyli się ku prawosławiu, ale większość pozbawiona katolicyzmu greckiego – wybierze rzymski, po czym problem zgaśnie.

Nie zgaś.

Minęło trochę lat i w kraju, w którym jedynym niekwestionowanym autorytetem był papież – polski papież, w jednej z najstarszych polskich diecezji wybuchł skandal, owieczki pokazały zęby. Właśnie tu, w Przemyślu, w którym silne niegdyś lewicowe orientacje są już tylko historią, teraz i w gustach politycznych, i w lokalnych władzach dominuje prawica. Podczas wizyty papieskiej nasza telewizja robiła co mogła, by zatuszować nastroje, kamery starannie omijały tłum, wymachujący transparentami, skandujący hasła odległe od standardów brukselskich. To nie z przypadku papież nocował w odległym Lubaczowie, mając do dyspozycji okazałą siedzibę kurii przemyskiej. Chciał okazać dysgust? Jemu chciano zaoszczędzić afrontów? Pewnie jedno i drugie. Tak czy siak w Przemyślu doszło do najmniej właśnie z tej okazji spodziewanego potwierdzenia, że w żadnym dzbanie ucho wieczne nie jest.

Daleko od „Zakierzonii” i zagmatwań polsko-ukraińskich – w Sejnach – też okresami wybuchały, a bez przerwy ślimaczyły się, zatargi o prawo nawet nie do własnej świątyni, tylko do własnych nabożeństw. Litwini chcieli się modlić i słuchać kazań po litewsku: Polacy nie ustępowali. Z tej okazji sejneńskie dewotki wykrzykiwały do swych sióstr w Chrystusie: „Wasza Matka Boska to szwenta krowa, a nie żadna Matka Boska”. Ujmujący przyczynek do bajd polskiej tolerancji.

Rozkwita literatura nostalgiczna, mnożą się pamiątki, mocno cukrujące prawdę o Kresach. Albumy, wystawy przyświadczać idylli, co to niegdyś... i zawsze... i na pewno... Spod piór i spod kamer niegdysiejszość w ciepłych światłach zgody, tolerancji i poszanowania czyjejs odmienności. Czy tak było na pewno? Co o tym powiedzieliby jeszcze nie ukraińscy, tylko rusińscy posłowie, bezskutecznie dopominający się pod austriackim zaborem w lwowskim sejmie o swoje prawa językowe; i ukraińscy studenci, domagający się swojego

uniwersytetu we Lwowie za II Rzeczypospolitej? Jak to wyglądało w odczuciu chłopów spod Śniatynia, mroźną zimą przepędzanych przez Zbrucz pod pałkami policji?

Polskie irracjonalizmy... Lata czterdzieste wykazały, jaką fikcją była rzekoma wspólnota. Miraż zgaś w potokach krwi, którą spłynął Wołyń i Bieszczady, i w zasadzie cała „Zakierzonia”.

Powtórzę za sobą z mojego „Sennika galicyjskiego”: „Nie było zgody polsko-ukraińskiej. Nigdy. Były pozory, iluzje, literackie bajki. Nienawiść smużyła się, eksplodowała, znowu cichła, przed kolejnym wybuchem. Konflikt przygasał, ale wracał, jak po unii brzeskiej, która doprowadziła w Przemyślu do pierwszego ostrego zwania rzymskich i greckich katolików. Grubo po unii, dopiero w 1687 roku, przemyscy unicy otrzymali swoją katedrę, ale spór powróci w naszych czasach, po ostatniej wojnie i nie przysporzy Rzymowi sympatii wśród miejscowych grekokatolików, rozpaczliwie a bezskutecznie dopominających się u kardynała Wyszyńskiego o pomoc w wyegzekwowaniu praw do swojej byłej świątyni. Kolejny ostry stan zapalny w roku 1991 z lekka uśmierzy papież”.

Jest rok 1996 i stan zapalny trwa, gazety skoncentrowane na aferze – dla odmiany – z kościelną kopułą, usuniętą przez współautorów napięć z 1991-go, mimo interdaktu obecnych i aktywnych oo karmelitów bosych. Hałas wywołany tym pomysłem słysząc aż w Toronto. A w Przemyślu jedni tym bardziej (przypomnę wcześniejszą opinię socjologa) „skarżą się na zacieranie śladów ukraińskości”, a drudzy tym mocniej „obawiają się ukraińskich żądań zwrotu ziemi i budynków opuszczonych po Akcji Wisła”...

Roszczenia są spore, raczej bezsporne i *nolens volens* już realizowane. Grekokatolicy odzyskali swoje byłe seminarium duchowne oraz cerkiew na Zasaniu (taka Praga przemyska), gdzie niegdyś mieli siedzibę oo bazylianie, a po exodusie Ukraińców obiekt zamieniono na okręgowe archiwum. Teraz papiery wywędrowały do XIX-wiecznej łaźni miejskiej, przebudowanej dużym kosztem i ku ogólnemu niezadowoleniu. Mieczem wojujesz...

Szykowany zwrot kilku kamienic czy nawet działki budowlanej w śródmieściu to drobiazg, problemem – jakim! – jest obecna siedziba Oddziału Muzeum Narodowego,

dawny pałac biskupi unitów. Korespondencja do grekokatolickiego hierarchy jak była, tak jest kierowana pod stary adres. Arcybiskup Martyniuk potwierdził roszczenia, dorzucając, że większość zbiorów, to i tak ikony. No, niezupełnie.

Co będzie z muzeum, jeśli Ukraińcy nie pójdą (a nie pójdą) na ustępstwa? Przeniesienie zbiorów do zamku w Krasiczynie nierealne, choć jeszcze w 1975 konserwator zaprojektował podział na część muzealną oraz hotelową. Ta pierwsza w najlepszym razie nadaje się do sezonowych i to – ze względów bezpieczeństwa – pomniejszych ekspozycji. Rzeczywista ochrona zbiorów w dzisiejszym Krasiczynie wymagałaby zawrotnych pieniędzy i armii ochroniarzy.

We Lwowie konsul generalny potwierdził, że przepychanka o kościelny dach, która akurat zbiegła się z 400-leciem unii brzeskiej, nie ma lokalnego charakteru. Jeszcze podczas wizyty ministra Skubiszewskiego w Kijowie, z 40-minutowej jego rozmowy z szefem ukraińskiej dyplomacji – dwadzieścia zajął temat – eufemistycznie nazwijmy go – przemyski. Polska była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Ukrainy, ale na konferencji prasowej dziennikarze nie pytali o politykę. Pytali o deski zjedzone przez korniki i przez grzyb: na pewno, czy na niby?

Zgadza się, to był ich klasztor, ich kościół. Wrócili do swojego zespołu 1 czerwca 1946, po 120-letniej przerwie, spowodowanej decyzją zaborcy: świątynia została przekazana unitom przez administratorów c.k. Galicji. *Divide et impera*, znana reguła. Jest jednak pewien szkopał, po stronie ukraińskiej powtarza się kłopotliwe pytanie: „Dlaczego nikt nie zgłaszał pretensji po I wojnie światowej? Dlaczego Polacy wcześniej nie upomnieli się o swoje?”

W obozie reklamującym się hasłem „Polska nade wszystko” poparcie dla likwidatorów kopuły. „Nie będzie nam cebula górowała nad miastem...” A nie jest to kopuła cerkiewna, tylko barokowa. Gdyby konsekwentnie upierać się przy czystości stylów – należałoby z wież kościołów romańskich strącić hełmy dostawione za renesansu czy baroku. I posuwać z gotyckich katedr renesansowe kaplice, barokowe ołtarze. Tylko, że w tej rzekomej przepychance gustów najmniej idzie o architekturę. Zawracanie głowy spekulacjami, czy Przemysł bez kopuły straci na urodzie, czy nie straci. Po

interwencji telefonicznej ambasadora Ukrainy w Polsce i drugiej – burmistrza Lwowa – zagrały ambicje. „Zarząd Miasta Przemyśla odczytuje te wystąpienia jako wyraźną ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski...” Zarząd poszedł za ciosem, wyrażając „stanowczy protest przeciw postępowaniu Generalnego Konserwatora Zabytków, który podejmując działania sprzeczne z prawem, popiera naciski kół nacjonalistycznych po obu stronach granicy”. Protest powędrował do dziesięciu (!) adresatów, zaczynając od MZS, na przeorze oo karmelitów kończąc. Rada Miejska podzieliła „oburzenie... z powodu koniunkturalnych i wasalnych działań generalnego konserwatora...” I po-ooszło. Hej kto Polak na bagnety! Niby drobiazg wystarczył, żeby rozgorzało to, co się tliło po obydwu stronach granicy.

W Gródku (dawniej Jagiellońskim) na rynku – obecny Majdan Hajdamaków – tablica ogłoszeń z opublikowanym w lwowskiej prasie protestacyjnym listem otwartym do polskiego konsulatu. Nie doczytałam, czym. Jednym z wielu.

W Mościskach, też na rynku, też na tablicy ogłoszeń, duży, z daleka widoczny napis „Wandalizm XX wieku. Peremysl”. I sugestie szowinistycznej organizacji „Nadsanie”: wstrzymać przekazy pieniędzy z Polski na budowę kościoła, nie zezwolić na budowę polskiej szkoły.

Opinia miejscowej Polki: „W Przemyśle na każdym skrawku stoi kościół, to już by im mogli zostawić ten jeden, żeby się na nas nie skrupiało”. I po chwili, ciszej: „Ci z Przemyśla ani przez dzień nie byli w naszej skórze”. Dociskam: „Czy tu się pogorszyło od afery z kopułą?” „Proszę panią, to nie do opowiedzenia! A my w rejonie mamy otwarte 22 kościoły, 8 fakultatywów (klas z językiem polskim – A.S.) dwie szkoły w budowie... Szło wytrzymać. My wszyscy mówimy: na co nam to było”.

Niezręczności polskie. W Oświęcimiu – po aferze „świątynnej” z ss karmelitankami – znów wpuszczono słońca do składu porcelany. W awanturę o centrum handlowo-usługowe przy muzeum zaangażowanych coraz więcej osób, a co persona, to zdanie, a co przepis, to interpretacja.

Oświęcimska niezręczność jest grubsza, przede wszystkim – jest nagłośniona w Stanach, a z tym to my się liczymy, więc dotarło do nas, po malutku, że *hot dogów* i *lodów à la*

Auschwitz nie da się wycenić tylko w prawnych kategoriach. Przewodniczący przemyskiej rady miejskiej – z profesji adwokat – też „nie dopatrzyl się przesłanek prawnych” w obronie kopuły. Jak gdyby szło akurat o to!

Herbowe, jednoznacznie polskie tablice z lwowskiego Arsenалу, wyrzucono w rewanzu za kopułę. Że każdy pretekst dobry? Tym bardziej trzeba się wystrzegać pretekstów. Tamtego wieczoru konsul wydawał przyjęcie w hotelu „Dniestr”. Stawilo się niewiele z zaproszonych osób, nie pojawil się nikt z oficjeli, choć niektórzy przechadzali się w pobliżu. Tablic nie zniszczono, odnalazły się, oparte o drzewo, ale miejsce po nich zamurowano. Może w kościele oo karmelitów bosych przybędzie jeszcze jedna flaga z tej okazji.

Nastrój w świątyni trochę poza zegarem, poza kalendarem. Symbole wyraziste jak w stanie wojennym. Ze sklepienia pęk flag papieskich oraz narodowych. Te biało-czerwone wiszą zresztą i przed kościołem, aż pięć. Poniżej deklaracja „Sercem kocham Jezusa”. Jakaś grzeszna ręka dopisała „Jezus kochał darmo”. Było więcej przemyśleń, ale ktoś pozacierał teksty, z których jednak przebija nazwisko przeora.

Najulubieńsze przemyskie *grafitti*: hasło UPA plus tryzub wkomponowany w szubienicę. Wieść gminna niesie, że pod kościołem rozciągają się podziemne przejścia. Bardzo długie korytarze... Kiedy w 1991-szym zaniosło się na sukces grekokatolików, ulica szemrała „Tam są lochy, kazamaty, będą mieli gdzie spiskować i robić składy broni”.

Zakonnica oprowadza wycieczkę. „Kościoł patriotów” rozrzewnia się ktoś szeptem. Jedna ściana wyłożona kafelkami, na podobieństwo szpitalnej. Pośrodku – odcinająca się od tła, z daleka zauważalna mapa Polski. Jakiej? A jagiellońskiej. Bez słowa informacji: bo i po co. Do kogo mają przemówić, i tak przemówią kontury granic – powtórzmy za Ksawerym Pruszyńskim – tego wielkiego mocarstwa, które się kiedyś nazywało Rzeczpospolita.

Kto pyta nie błądzi. Ksiądz, zagadnięty przeze mnie „jaka to mapa” odpowiada pogodnie „przedwojenna”. Na moją uwagę, że przed II wojną światową Inflanty z pewnością już nie były nasze, uśmiecha się i napomyka o Piłsudskim „który walczył w tych granicach...” Z pewnością już nie w tych, ale oddajmy Ojcom Bosym sprawiedliwość: zadbali o pokrzepie-

nie serc, przynajmniej na ich ścianie. Zадnieпрze znowu nasze.

Przed głównym ołtarzem transparent „Bóg-Honor-Ojczyzna”. Kościoł patriotów... jeśli sprawa istotnie jest poza nacjonalizmem, poza polityką, dlaczego akurat tu tak intensywnie eksponuje się treści z repertuaru „prawdziwych Polaków”?

Ile złej woli nie władowaliby w to polscy i ukraińscy ekstremiści – stulecia bliskości nie są do skreślenia. Nawet w tym przepolszczonym, przeładowanym polityką kościele oo karmelitów tablica-przypomnienie: „O. Makary od Najświętszego Sakramentu Demeski 1566 (?) We Włodzimierzu. Z pochodzenia Kozak. Do karmelu wstąpił w Krakowie 1610. Podprzeor klasztoru w Przemyślu. Nawrócił wielu niewiernych oraz Rusinów schizmatyków, których pozyskał dla unii z kościołem katolickim...”

Na bocznym ołtarzu orzeł – koronowany – przykucnął u stóp Matki Boskiej. Drugi, bez korony, wtulił się w tablicę „Niewinnej ludności polskiej bestialsko mordowanej przez bandy UPA na kresach południowo-wschodnich w latach 1942-1948”. I druga, z nazwiskami zmarłych karmelitów. Zwraca uwagę przerwa między latami 1783 a 1948. Rzekomo w ich efekcie rozgorzał spór. Czy rzeczywiście idzie tylko o ten kościół? Można rzucić żagiew na beton: nie robi szkody. W Przemyślu zapałka spadła na bardzo suche siano.

Województwo jeszcze zwleka, ale miasto już wycofało się z Euroregionu „Karpaty”. Nie podając powodu. To, co tu zaszło – i co przecież trwa – to nie jest spór o wyznanie. Nigdy nie był.

Młoda, skądinąd niegłupia dziewczyna nie chce nawet słuchać. „Ja bym im nie dała żadnego z naszych kościołów. Chcą mieć własny, niech sobie wybudują”. Korygując komentarz: „Proszę pani, ja nie jestem nacjonalistką. Jestem szowinistką. Kiedy pojechałam do Odessy to młodzi ludzie wpierali we mnie, że UPA zabijała tylko komunistów. Więc jestem i będę szowinistką, jak mój ojciec”.

Wbrew temu co się dzisiaj wypisuje, władze peerelowskie – jeśli idzie o „antykościelność” – zwłaszcza w latach siedemdziesiątych (ale i wcześniej) trzymały propagandę na krótkiej smyczy. To samo odnosi się do kwestii narodowościowych. Nacjonalizm? Antysemityzm, a już

zwłaszcza, Boże uchwój, antyryfusycyzm?! Wszędzie, tylko nie u nas. Wykluczone.

Nawet w haniebnym roku 1968 przyznawali się tylko do „antysjonizmu”. Nie było żadnej tam nagonki na Żydów, było tylko zwalczanie brzydkich Żydów.

Jeśli się o czymś nie mówi, to coś nie istnieje. Milczenie jako polityczny sposób bycia. Udawało się: niestety dzięki smyczy.

Szeptem, półgłosem – zanim zacznie się głos podnosić, zanim pomruk przejdzie w ryk. Taki jest mechanizm. Zawsze.

Zauważalni na naszych pograniczych, niedostrzegani w granicach własnego kraju: oto status Ukraińców w polskiej świadomości. W „najbogatszej” z zespołu polskich fobii narodowościowych – antysemityzmie – dominowała niechęć, lęk przed spektakularną innością, ale nie tylko. W antysemityzmie rolę odgrywała zawiść. Ukraińcom nie było czego zazdrościć, tę fobię zdominowała – obok strachu – pogarda.

Tegośmy im nie żalowali. Kim był Ukrainiec w polskich oczach? Zapieklony rezunem. Ciemnym chamem. Podwładnym, którego możliwości intelektualne wyczerpywały się na stawianiu trzech krzyżyków. Stereotypu nie psuła nam ani znakomicie przecież zorganizowana spółdzielczość ukraińska w przedwojennej Polsce, ani intensywne życie polityczne „hajdamaków” idące w kierunku nie wróżącym nic dobrego Polakom. Oczywiście, jak w każdym ubogim i słabo rozwiniętym cywilizacyjnie kraju rozpiętość między masami chłopskimi a inteligencją była drastyczna, ale jeśli wspomnieć złości analfabetyzmu na obszarach rdzennie polskich... Ukraińcy potrafili nas zaskoczyć. Cokolwiek mówić – UPA nie okazała się chaotyczną ruchawką, tylko wybornie zorganizowanym wojskiem. A te ich, kilkupiętrowe niekiedy, podziemne schrony, dowód imponującej sztuki inżynierskiej? W kryjówkach z powodzeniem mieściły się szpitale polowe, mogło w nich przebywać – i kpić z pościgu – po kilkadziesiąt osób!

Zapytany: kiedy było im lepiej w Polsce – przewodniczącemu Oddziału Związku Ukraińców w Polsce, Jarosław Sidor, odpowiada, że za Peerelu. „Bo ekstrema była tłumiona. Ta z jednej i ta z drugiej strony. Bo mieliśmy na sprzątaczkę”.

Polacy na Ukrainie są zobowiązani do zawieszania w swoich oddziałach, obok flagi polskiej, flagi ukraińskiej oraz

godła Ukrainy, tryzuba. W Przemysłu u Ukraińców wisi tylko ich sztandar. Nie ma orła, tylko duży okazały tryzub. I portret prezydenta Kuczmy. Nic nie przypomina, że jesteśmy w Polsce. Takie może i drobiazgi też dają efekt społeczny niewspółmierny do przyczyny.

Po tamtej stronie granicy Polaków jest nieporównywalnie więcej: Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie liczy 40 oddziałów, przy czym warunki ich funkcjonowania są gorsze, nawet znacznie gorsze. W projekcie ukraińskiej konstytucji brak wzmianki o reprezentacji mniejszości narodowych w parlamencie. Wprawdzie przedwojenna Polska odmówiła Ukraińcom prawa do własnego uniwersytetu, jednak działały ukraińskie szkoły średnie, w Przemysłu dwie: od 1895 oraz 1911. Funkcjonują trzy katedry ukrainistyki (na UJ, UW, KUL). Na zachodniej Ukrainie – nie ma ani jednej. Fakultety polskie przy filologiach słowiańskich to nie to samo.

Ukraińcy w Polsce mieli swoją gazetę już w latach, w których na Ukrainie było to nie do pomyslenia. Zresztą i dzisiaj to głównie my finansujemy wychodzącą od niedawna *Gazetę Lwowską* piśmko bynajmniej nie codzienne, bardzo nisko nakładowe. Od jesieni 1992 r. rozgłośnia „Lwiwska chwyla” nadawała audycję polską. Nieodpłatnie. Przed dwoma laty „Lwiwska” wyprosiła gości. Polacy znaleźli przytulisko w rozgłośni „Niezależnist”, tyle, że z niegdysiejszych siedmiu godzin tygodniowo pozostały dwie, opłacane, jakże by inaczej, w dolarach. Na szczęście znalazł się sponsor, lwowska filia LOT-u. Znając te i podobne fakty łatwiej zrozumieć, dlaczego Ukraińcy w tym roku obchodzą w Polsce XIV festiwal swej kultury, my u nich – pierwszy. Chyba nie w rewanżu za to, że przemyscy chuligani nie przespali okazji, wtargnęli nawet do hotelu szukając awantury.

Niedźwiedzią przysługą jest bagatelizowanie agresywności narodowej, również na własnym podwórku. Jednak trzeba przyznać: jak spektakularne nie byłyby incydentalne – bo incydentalne – wybryki, w Przemysłu hałasuje niechby i kilkaset osób, natomiast nastroje niekiedy trącą maglem, ale bazgranina na murach nie może być porównywana z natłokiem wydawnictw, z obfitą prasą szowinistyczną, w której gęsto od wystąpień antypolskich. Ekscesy zdarzają się po obu stronach, zorganizowane, zaprogramowane, działanie экстре-

mistów narodowościowych – po jednej. To – zwłaszcza z kijowskiej perspektywy – nie jest nurt dominujący, ale krytyczna sytuacja gospodarcza państwa, katastrofalna w efekcie sytuacja społeczeństwa sprzyja szowinistom.

Wszystko to niepokoi samych Ukraińców. Na konferencji naukowej (Master University, Hamilton, Kanada), gen. Piotr Hryhorenko oświadczył „Nie chciałbym doczekać takiej Ukrainy, którą reprezentuje ukraińska myśl nacjonalistyczna...”

W roku 1995 ukazała się w Kanadzie przejmująca „Hirka prawda. Złocznysta OUN-UPA” („Gorzka prawda. Zbrodnicość OUN-UPA”). Autor, Wiktor Poliszczuk zaopatrzył książkę znamienym dla treści podtytułem „Spowiedź Ukraińca”. Zadeedykował ją ofiarom szowinizmu. Napisał: „Chcę siebie osobiście oraz moje dzieci oczyścić z hańby, która do nas przyłgnęła wskutek działania OUN-UPA. Chcę, aby drogą tej prawdy zostały oczyszczone miliony Ukraińców, którzy nie wiedzieli...”

Uczciwa i odważna książka. W Polsce też należałoby powtórzyć za cytowanym w „Gorzkiej prawdzie” Witalijem Korotyczem „Wstydzę się ludzi, którzy ze swej narodowości uczynili profesję”.

Osobliwe dowody pamięci. Obelisk w Hruszowicach, wystawiony z dala od czyichkolwiek grobów, zaopatrzonej w inskrypcję „Chwała bohaterom UPA, którzy walczyli za wolną Ukrainę”, przybrany tablicami upamiętniającymi kurenie Zeleznika i Bajdy, przedstawia dwa rozdarte łuki, połączone tryzubem. Symbolika czytelna. Oczywiście idzie o ziemię polskie, do których roszczą sobie pretensje amatorzy „Zakierzonii”. Do Hruszowic – na uroczyste odświeżenie obelisku – zmierzały dwa autokary z pasażerami w mundurach UPA. Wspominkarzy zawróciła z Medyki nawet nie nasza, tylko ukraińska straż graniczna, ale sąd pozostał. To właśnie wtedy ktoś podpalił drzwi w siedzibie Ukraińców, to wtedy Towarzystwo Orląt Przemyskich, zawsze pierwsze w dolewaniu oliwy do ognia zakomunikowało, że użyje siły (?) by zapobiec Festiwalowi Kultury Ukraińskiej: czternastemu w Polsce, ale pierwszemu w Przemyślu.

Jak niezgrabna, niepotrzebna nie byłaby awantura o katedrę – czasem trzeba i na nią spojrzeć oczami ludzi, pa-

mięających lata alternatywy „Abo bude Ukraina, abo lacka krow po kolina”. Tym istotniejsze, pozwalające jednak optymistycznie oceniać perspektywy koegzystencji są rezultaty sondażu, przeprowadzonego wśród Polaków w przemyślu. Spośród zapytanych, jak zapatrują się na powroty Ukraińców w Bieszczady, nie odpowiedziało 12. Nie miało zdania 107. Zdecydowanie przeciwnych było 126. Raczej przeciwnych – 136. Jednoznacznie zaaprobowało tę możliwość 85. W zasadzie („raczej tak”) opowiedziało się za nią aż 271.

Nigdy nie kochaliśmy sąsiadów – żadnych – ale to akurat jest powszechne zjawisko. Oczywiście, ma znaczenie intensywność niechęci, a w stosunku do Ukraińców daleko nam do obojętności. Badał tę sprawę dr Henryk Pietrzak z rzeszowskiej WSP. Otóż przy wyborach negatywnych Polacy w pierwszej trójce – po Cyganach i Rumunach – nieodmiennie lokują Ukraińców. To samo przy stereotypie „nieuczciwy”... „brudny”... „nie nadający się do kontaktów towarzyskich”... Ukraińcy też zaczynają od Cyganów i Rumunów, ale trzecie miejsce rezerwują dla Żydów.

Rzuca się w oczy, że im bardziej jakiś rejon ucierpiał od UPA – tym więcej uprzedzeń, przejmowanych przez młodzież. Najspokojniej wypowiadano się w Rzeszowie, już ostrzej w Lesku, najsurowiej w Przemyślu.

„Straszy się dzieci Ukraińcem” konstatuje Przemyślanin. Co mamy im do zarzucenia? Że brudni. Że nacjonaści. Nie lubiący Polaków. Niekulturalni. Skłonni do rozboju. Zaciekli. Mściwi. Zazdrośni. Fałszywi. Głupi. Materialiści. Ordynarni. Zaborczy. Pozytywne konstatacje prawie się nie zdarzają.

Ukraińcy wyliczali głównie ujemne nasze cechy. Ich zdaniem „Polak to człowiek wrogo nastawiony do Ukraińca, zadufany w sobie, nietolerancyjny, leniwy, przesadnie ceniący wartości narodowe...”

Polacy dostrzegają ukraińską gościnność. Przywiązanie do tradycji. Solidarność narodową. Ukraińcy aprobują naszą zaradność.

Uderza brak przysłowia czy dowcipu o Ukraińcach, co wskazywałoby, że kształtowanie się stereotypu trwa. Również według socjologów wynika to w znacznej mierze „z zepchnięcia problematyki stosunków polsko-ukraińskich na margines życia publicznego”.

A tak, tu jest pies pogrzebany. Poza incydentami – z reguły niesympatycznymi incydentami – nie zauważamy Ukrainy.

Jak pisze Poliszczuk, istotnie „zbiorowa pamięć Polaków zdominowana jest stereotypem Ukraińca-rizuna, Ukraińca z OUN-UPA”.

Zasypie wszystko, zawieje... Może i tak. Na razie zbyt gorliwie odgarnia się te śniegi nie tylko po drugiej stronie granicy. Z tego, co dzisiaj słyszy się i czyta wynikałoby, że na wschód od Medyki mieszkają nasi: przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie. Telewizji czy prasy w zasadzie nie interesuje kraj przecież większy od Polski, w przyszłości może i atrakcyjniejszy dla Zachodu, jako karta w gospodarczo-politycznym pokerze. A nas niezmiennie absorbują byłe kresy polskie. Nasz czytelnik wie o fatalnej kondycji dworku po Słowackich w Krzemieńcu, nasz telewidz ogląda książycowe pejzaże po zamkach i kościołach, zruderowanych często już nieodwracalnie, to prawda; tylko jak długo można patrzeć na kraj większy od własnego, na sąsiednie, dzielące nas od supermocarstwa państwo z perspektywy ruin i cmentarzy? Co my wiemy o kulturze ukraińskiej? O codzienności przecież nie sprowadzającej się do przemytu broni i rozrób w pociągach? O gospodarce, która – w jak katastrofalnym stanie by nie była – jednak funkcjonuje, dąży do kontaktów z Zachodem, jest wspierana pożyczkami. Przy całej obecnej bezradności ekonomicznej, przy groźnym rozchwianiu społecznym, Ukraina dysponuje dużą armią, a jeśli my przedrzemy się do upragnionego NATO – jej atuty geopolityczne nie zmaleją. Jednak i tu uładzą się porządki. A to duży rynek, w perspektywie – atrakcyjniejszy od polskiego.

Wierzę, iż po obydwu stronach do głosu dojdzie (oby w porę) pokolenie ludzi świadomych, jakim horrendalnym głupstwem jest traktowanie np. kultury w doraźnych kategoriach politycznych, sąsiedzka – jeśli nawet – nie wrogość, to separacja, niewychylanie się poza chłodne dyplomatyczne powinności.

Choćby Lwów świadectwem, jak wiele trwałych śladów zostawiliśmy na Kresach, i tu nasz kompleks – historyczny – zderza się z ukraińskim. Żywym. Za młoda, za obolała jest ich państwowość, żeby się umieli zdobyć na tolerowanie

niechby pamięci o naszej od stuleci dominacji. Polska zatraciła swoją wielką przecież niegdysiejszą rolę w przekazie na Wschód kultury europejskiej. Nowe czasy. Pośrednicy już zbyt tacy. Czy to było do uniknięcia? Może – pomimo wszystko – było.

Przez lata, przez sowieckie lata, intelektualiści rosyjscy, litewscy, ukraińscy, poprzez Polskę – i poprzez język polski – docierali do wartości spoza o ileż w ich wypadku szczelniejszej żelaznej kurtyny. Warszawa była oknem na świat, drogowskazem, nie tylko przecież w kulturze.

Ukraińcy ciężko zapłacili za Perejaśław. Ekspozuje się przede wszystkim cierpienia sowieckiej Ukrainy, ale przecież prośba Szewczenki „Daj Boże, żeby kaci ukrzyżowali carów tych katów ludzkości” nie wzięła się z fantazji. Rzekome pojednanie dwu narodów zaowocowało np. obowiązującym od roku 1864 zakazem drukowania literatury w języku ukraińskim. Pisarze, którzy oparli się rusyfikacji, wydawali pod zaborem austriackim, głównie w polskim Lwowie. Blokada językowa, odcięcie narodu od własnych książek, przy równoległym – zastraszająco masowym – analfabetyzmie, to sztych bezbłędny. Ukraina *de iure* kraj pozaliteracki pomimo to zostaje Ukrainą Tyczyńską, Hrabowskiego, Franki. Ojczyzną Kociubińskiego.

Sporo interesujących rzeczy dzieje się u sąsiadów, ale my wciąż wolimy być doceniani, niż doceniać. Co wiemy o współczesnej prozie i poezji ukraińskiej? Cichcem, bokiem przebiegł pokaz filmów ukraińskich.

A w Przemysłu – ciurkiem o kopule. Przeor Gut nie przyjął pisma konserwatora generalnego z nakazem wstrzymania przeróbek. Nie odbierał poczty. Nie otwierano furty, klasztor zamknął się przed interweniującymi.

Mój rozmówca, delegowany przez przeora, o. Wojciech Twardzik, utyskuje, że z czystej sprawy architektonicznej (tak właśnie to ujął) robi się politykę. Póki co, walka trwa, zauważam. „Walka jak walka” opiera się ojciec Twardzik. „Jesteśmy u siebie”. A jeśli zapadnie decyzja – przywrócić kopułę? „Zobaczymy”. Proszę o konkretną odpowiedź. Ojciec z łagodnym uśmiechem: „Ja nie mogę jej udzielić”.

Sołowki, maj

1. Najpierw lód podchodzi wodą, niczym zsiadłe mleko. Robi się gąbczasty, chlipki, zdradliwy. Gdzieniedzie żółknie, gdzie indziej szarzeje, brudną smugą. Daleko, na horyzoncie pojawia się pasmo żywej wody, jakby nitka światła. To morze idzie ku nam. A z nim ptaki. Pierwsze przylatują czajki. Potem lód czernieje i pęka, jak spalona ziemia. Poprzerzynany szczelinami, potraskany, tu i ówdzie jeszcze się piętrzy, trzeszczy, a miejscami już zapada w głąb. Pasma żywej wody na widnokregu rośnie, skrzy się, migoce. Wiatr przynosi zapachy morza, krzyki ptaków. Lecą żurawie, łabędzie, gęsi. Wreszcie pierwszy wiosenny sztorm z hukiem rozbija lód. Fale drobia kry. Woda miele sryż. Morze tuż, tuż. I ptactwa zamieszanie: wrzeszczą, bulgocą, biją skrzydłami, nurkują, plotkują, trachają się. Kuliki, gagary, krochole, gagi, gogole, chochłataje, kronsznepy, rzanki, turuchtany, szyłochwosty, kazarki, zujki... Otwieramy okna. W mgnieniu oka dom jest pełen ptasiego zgiełku, woni bitumu i mata. Muzyki łodzie łatają, smołują. A na ostatniej krze, powoli dryfującej w kierunku otwartego morza, odpływają cztery tłuste tjule, brzuchami do góry. Dwudziestego maja za Pszą łudą (w lewym górnym rogu mojego pola widzenia) pojawił się żagiel. To „Antur” kluczył między lodami, Wasia sezon otworzył. Przyszedł sam, bowiem Losza, nasz majtek, w zimie się powiesił.

2.

Okna naszego domu wychodzą na Zatokę Pomyślności, morze przedłuża stół, na którym piszę. W zimie kartka

papieru zlewa się z bielą lodu za szybą, a ślady czernidła przechodzą tak raptownie w tropę nart, że często nie wiem, czy jeszcze za stołem siedzę, czy już po morzu się niosę. W zimie wiatry rzeźbią śnieg, codziennie inaczej, zawiewając tropę. Natomiast latem woda pluszcze na skraju zielonego blatu i można godzinami obserwować to odpływ, to przyływ, zmienne rysunki fal na piachu, soli na kamieniach. Latem można się też zatopić (wzrokiem) w morskiej toni, nie wstając z krzesła. I być może właśnie tutaj, na granicy morza i stołu – żywiołu i rzeczy – łatwiej pojąć mój zamysł: próbę uchwycenia rzeczywistości, nadania jej kształtu, odcisnięcia w słowach. Albowiem rzeczywistość rosyjska, zwłaszcza na Północy, jest bezforemna: przestrzenie tu bezkresne, błota bezdenne, osiedla bezkształtne; to coś w rodzaju „grochowego kisielu” (wedle wyrażenia Dostojewskiego), zeń różne przedmioty wystają: tu krzyż prawosławny, obok drut kolczasty, tam kurhan saamski i kawałek ludzkiej czaszki z dziurką od kuli, a w drugim miejscu część rakiety lub podwodnej łodzi. Innymi słowy, landszaft na Północy przypomina deskę, na której kolejne pokolenia „bogomazów” pracowicie uwieczniały swojego boga, paćkając grubo farbą, by zamalować wizerunek poprzedników, a potem jakiś kwaśny deszcz, jadowity i żrący, zmył wszystko, acz niedokładnie, zostawiając kontury, zatarte fragmenty, szczątki rysunku, resztki koloru. Można-li to odrestaurować?

3.

Bodaj Bierdiajew zauważył, że landszaft, w jakim żyje naród, jest symbolem jego duszy, a płaski bezmiar północnych równin sprawia, iż człowiek ma tu problemy z samo-określeniem. Błotna breja (piąty żywioł Rusi!), którą ruski muzyk codziennie miesi nogami, oraz odległości do pokonywania, pochłaniają całą jego energię i na kulturę (formę) nie starcza już siły. Z drugiej strony, magmowatość Północy od wieków budziła lęk w przybyszach i wyzywała potrzebę oswojenia przestrzeni, zadomowienia się w niej. Tym bardziej, że o pogańskich plemionach, Samojedach, Karełach, Łoparach, siedzących na północnych rubieżach Imperium, krążyło wśród Ruskich mniemanie, jakoby dysponują siłą nieczystą, zdolną do zniekształcania przestrzeni. Łoparskich

szamanów, na przykład, pomawiano o uroki „odwracania wzroku”, czyli sztukę wywlekania świata na lewą stronę. Zatem w parze z kolonizacją nowych ziem szła sakralizacja geografii – prawosławne „oformlenie” obszaru. Niszczono pogańskie „światyliszczą”, karczowano święte gaje, palono idole i totemy, a na ich miejscu wznoszono skity, czasownie i chramy, jeziorom i górcom nadawano biblijne nazwy (Tabor, Golgota, Jordan), kierunki podzielono na święte (wschód) i biesowskie (zachód), a prawosławne krzyże ustawiano tak, by dolnym, ukośnym ramieniem zawsze pokazywały północ. Powoli z topograficznego chaosu wyłonił się sakralny kosmos Świętej Rusi, a ruski człowiek poczuł się u siebie. Potem nastąpiła bolszewicka rewolucja, ślady prawosławia skrzętnie zacierano, jak kiedyś ślady pogaństwa, zmieniano nazwy, przeznaczenia, mapy. W chramach więziono ludzi, w skitach trzymano konie, a Święte jezioro nazwano Roboczym. A jeszcze później orzeczono, że rewolucja była błędem historycznym i niektórzy znowu się zabrali do niszczenia śladów, inni wstecz ruszyli, dawne czasy ożywiać, a jeszcze inni wszystko od nowa zamierzili i Amerykę w Rosji próbują zbudować. Świat powrócił do chaosu, tym razem – semiotycznego. Pejzaż się rozmył, wokół marazm, entropia. Kontynuując myśl Bierdiajewa i metaforę Dostojewskiego, można powiedzieć, że dzisiejszy landszaft ruskiej Północy jest symbolem „kisielu grochowego” w ludzkich głowach.

4.

Na Sołowkach ludzie żyją pospołu ze zwierzętami, razem około tysiąca pięciuset mieszkańców, nie licząc przejezdnych: włóczęgów, turystów, pątników, sezonowych dobywaczy morskiej trawy i artystów wszelkiej maści, „osołowieszych” na czas jakiś, lub z kretesem. Dominującym motywem (osnową) sołowieckiego posiołka jest drut kolczasty, którym tu grodzą ogrody. Sam posiołek, niczym polip, obrósł Kreml i z dała widać, że to chorobliwa narośl. Wśród zawilgoconych domów z pustaków sterczą połażierne baraki, zabytki monastyrskiej architektury dożywają swojego wieku, rozszabrowywane po cegle na pieczki (stara cegła monasza jest trwalsza i bardziej na ogień odporna), drogi dziurawe, kładki zbutwiałe, gdzie nie spojrzeć, gruz się wala, złom, rozbite szkło. Dookoła

saraje, drewnitnie, chlewy i obory, wykrzywione i przegnite, ponatykane bezładnie, byle jak. Brak przyzwoitej kanalizacji sprawia, że ścieki uchodzą w morze i latem, podczas odpływu, Przystań Pomyślności cuchnie szambem, a jej brzegi pokrywa grupa warstwa tłustego szlamu. Na tym tle szwendają się nietrzeźwi ludzie i wychudłe zwierzęta: psy rozwlekają resztki z pomojek, krowy i kozy pasą się wszędzie, na ulicach i między domami, a świnię ryją, gdzie popadnie, zwłaszcza pod ścianą Kremla. I na pierwszy rzut oka, komukolwiek nie z tej ziemi, kto się tu zapłaczę, sołowiecki posiołek przypomina monsturalny kicz w stylu *informel*, gdzie dominuje nonsens i przypadek. Trzeba czasu i skupienia, by przywyknąć do tego obrazu i rozróżnić w nim rękę poszczególnych twórców (gospodarzy): monachów (od pocz. XV w. do 1920), OGPU-NKWD (1923-1939), wojskowych (1939-1957), muzealników (1967-1991) i dzisiejsze bezhołowie. Spróbujmy się przejść, nieśpiesznie, ulicami posiołka, zaczynając, rzecz jasna, od Kremla.

5.

Sołowiecki Kreml stoi na wąskim przesmyku, oddzielającym Święte jezioro od morza Białego. Kamienne mury (długości jednej wiorsty) z ogromnych głazów, pokrytych rdzawymi porostami, otaczają zespół klasztorny, niezwyklej urody, choć zrujnowany. Kiedyś był to jeden z najbogatszych ruskich monastyrów i najpotężniejsza twierdza Imperium na Północy. Dwa sobory, pięć cerkwi, tyleż wrót, siedem baszt, dzwonnica, trzy dwory, budynki mieszkalne i gospodarcze, ogromny refektarz (największa jednokolumnowa sala w Dawnej Rusi!), krużganki, pasáže, cele i kazamaty. Wystarczy obejrzeć przedrewolucyjne zdjęcia, by pojąć, jak daleko zaszła Rosja w dewastacji swojego kulturowego pejzażu. Nawet drzewa w pień wycięto, a tam, gdzie kiedyś rosły kwiaty, dzisiaj – gliniana polepa. Za czasów łagru była tu zona, w chramach zeka więzili, a na dzwonnicy gwiazdę postawili, zamiast krzyża. W soborze, na miejscu ołtarza, zrobili wychodek, w refektarzu teatr, w jednej z cerkwi wystawę ateizmu. Po łagrze Kreml przejęło wojsko. Na dzwonnach zostały ślady od kul. Potem obiekt przekazano administracji i przeobrażono w państwowe muzeum-rezerwat: w

monastyrskich budynkach urządzono ekspozycje, magazyny zbiorów i hotel dla grup wycieczkowych. A także obszczyć dla sezonowych robotników, klub młodzieżowy i sklep z wódką. Zaczęto prace restauracyjne: z dzwonnicy poleciała gwiazda, w soborze ekskrementy zeskrobano, a zarazem freski dziewiętnastowieczne, by przywrócić świątyni nieco starszy wygląd. Przy okazji wyносzenia gruzu, rozkopano groby klasztorne, z trupów krzyże pościągano, pierścienie, różańce, dla kolekcjonerów. Nocami na krążankach turyści hulali, i miejscowa szpana, czyli dziwki niedorośle i żuliki-małolaty. Pięć lat temu na Sołowki przyjechali mnisi. Oddano im część pomieszczeń gospodarczych i dwa chramy. Do więcej na razie nie pretendują, bo jest ich paru za ledwie, a zabytkowy kompleks wymaga olbrzymich środków na utrzymanie i remont. Sklep i klub zlikwidowano. Obecnie trwają pertraktacje o wyprowadzenie muzeum i hotelu z terytorium klasztoru. Dużym problemem jest też piekarnia w cerkwi Uspieńskiej. Natomiast szpana po dawnemu hula latem na galeriach, kusząc posłuszników, to wódką samogonną, to rozwiązłym dziewczęciem. Archimandryta Josif zamierza ściągnąć oddział Kozaków do ochrony braci.

Na północ od Kremla, na niewielkim placyku obok Konstantinowskiej czasowni, leży kamień pamiątkowy ku czci poległych jungów – miejsce dorocznych mitingów z okazji świętowania kolejnych rocznic Dnia Pobjedy. Po mitingach krowy zżerają wieńce. Od kamienia, dalej na północ, w kierunku przystani parostatków turystycznych, biegnie ulica Siewiernaja. Tam w sezonie ryczy muzyka, dyskoteki na „Juszarze”, stada pijanych turystów, szansa miejscowych dziewcząt, okazja do drak. A po drodze baraki połagierne, w których żyją ludzie. Za przystanią, nad samym morzem, monstrualne składowisko beczek z paliwem, plaża ropą przepojona, benzyną. Na wysokości Filipowskiej czasowni, na prawo od Siewiernej, odbija odnoga bez nazwy, tam zarząd służb komunalnych, park maszyn, kamienna bania z 1717 roku, magazyny, składy, tartaki, zabytkowa smołownia, dyrekcja „Leschozu” i gigantyczna hala z betonu, bez dachu, bez okien, bez sensu, porzucona w połowie budowy. Planowali tu kombinat piekarniczy, na wiele tysięcy mieszkańców, tylko nie wiadomo, po co?

Na wschód od Kremla, mimo kamiennej kuźni z końca XVII wieku, zmierza do aeroportu ulica niejakiego Siwko, gieroja Sowieckiego Sojuza i absolwenta sołowieckiej szkoły jungów. Tam, w budynku dawnego internatu dla klasztornych posłuszników, naprzeciw zabytkowych obór i stajni, siedzi Głowa Administracji Regionu, Niebożenko (*nomen omen?*), obok redakcja gazety, miejscowe radio, poczta, kasa i *pieriegawornyj punkt*, skąd można się dozwonić nawet do Maisons-Laffitte. Na przedłużeniu Siwko, w głębi lasu, na miejscu starej cegielni, w 1939 roku zbudowano więzienie specjalne, którego nikt nie zdążył zasiedlić, bo zeka z Wyspy wywieźli. Dzisiaj stoi tam hotel dla „nowych ruskich” i cudzoziemców. Między Siewierną i Siwko przebiega ulica innego bohatera, Kowaliowa, tam milicja, straż pożarna, trzy sklepy, zakład przetwarzania morskiej trawy, hotel Serioży Gaławania (ceny umiarkowane: od 5 do 15 \$ za noc), dalej obszczyć robotnicze, kotłownia, hałdy węgla, ogrody i wzgórze Chlebne, gdzie kiedyś, wedle podań, próbowano wyhodować zboża jare, a obecnie na majówkach żłopią wódkę „Pszeniczną” pod niuch chleba.

Na południe od Kremla, na niewielkim pagórku, gdzie dawniej był cmentarz bracki, a potem zbiorowe mogiły, teraz stoi szpital, zbudowany jeszcze za łagru: ściany, oblaźle z tynku, odwalają się całymi kawałami, dach przecieka, stropy zgniłe. Za szpitalem Zaoziernaja, sołowiecka Ulica Krokodyli, tam trzy sklepy, osiem melin, bar „Maks” i opustoszały barak z czasów SŁON-a, w którym można tanio (w granicach flaszki za 3\$) zażyć siermiężnego seksu z panienkami od tuzina lat do kopy, i więcej. W przedłużeniu Zaoziernej, już poza granicami posiołka, cmentarz nad Kwaśną zatoką, na mogiłach stakany, pod parkanem ślady wypominek: puste butelki, zardzewiałe puszki, połamane ławki. Od Zaoziernej odchodzi zaułek imienia Pawła Floreńskiego, sołowieckiego zeka, popa, filozofa i racjonalizatora, wynalazcy metody otrzymywania agar-agara z wodorostów. Tam położono kamień na pamiątkę po ofiarach SŁON-a i postawiono kilka *cottages* „po błatu”. A po drugiej stronie, nad brzegiem Świętego jeziora, gruchocze stara diesłowska elektrownia. Wycieki mazutu wypaliły las wokoło. Do szczętu.

Na zachód od Kremla, na wzgórze, stoi Petersburgskaja

gostinica z monastyrskich czasów, dzisiaj siedziba dyrekcji muzeum i biblioteki naukowej, w której przez trzydzieści lat nie zdołano zrobić katalogu. Poniżej, u samej Przystani Pomyślności, sterczy wypalona ruina Preobrażenskiej gostinicy, gdzie przed rewolucją przyjmowano bogatych pątników i gości klasztoru, potem mieścił się tam zarząd SŁON-a i sklep dla *ochrany* (opowiadał mi o nim Rykusow, ostatni sołowiecki nadzorca zeka), a jeszcze później żyli w niej żołnierze z jednostki wojskowej, rozlokowanej na Sołowkach. Żołnierze, opuszczając Wyspy, urządzili wielką hulankę z fejerwerkami i podpalili budynek... Dzisiaj tam kotłownia się mieści, melina sołowieckich *bomżów* (ludzi bez stałego miejsca zamieszkania) i dziwek, nikomu już niepotrzebnych. A dookoła dymią kupy szlaki. Dalej wiedzie ulica Primorskaja, przy niej cztery czasownie (w jednej do dzisiaj świnie trzymają), resztki zabytkowej elektrowni wodnej, unikalny dok klasztorny, rozsypujący się na naszych oczach, dom, nazywany „szanghajem”, dno biedoty, pijaństwa i rozpacz, a potem Primorskaja się rozwidła: na lewo: Szkolna zatoka, gdzie porzucono w połowie budowy gigantyczną oczyszczalnię ścieków, a na prawo cypel Śledziowy, rozdzielający Przystań i Zatokę Pomyślności. Tam, na końcu cypla, wśród starych, XIX-wiecznych budowli – kamiennych ambarów do wytapiania i przechowywania tłuszczu z tiuleni, składów lin i beczek, drewnianych sarajów na wodzie, służących do rozładunku i remontu łodzi, ziemianek, lodowni i piwnic z wielkich głazów, przykrytych darnią – tam stoi nasz dom, skąd piszę ów „Widok Sołówek”, niczym jakiś nowy Van der Meer.

6.

Jest koniec maja. Właśnie wróciłem z rybakki. Jeszcze mam w uszach szum wody, wrzaski ptaków. Byliśmy nad Sosnową zatoką, na północnym skraju Wyspy, nie opodal Sawwatijewskiej pustelni, gdzie w 1429 roku osiedli pierwsi mnisi na Sołowkach, święty German i święty Sawwatij, a w 1923 rozstrzelano pierwszych zeka, anarchistów i eserów. Potem urządzono tam fermę mleczną, zatem szkołę jungów, a w latach 80-tych planowano łagier dla pionierów i bazę wczasową związków zawodowych. Obecnie Sawwatijewo

zwrócono monachom, którzy tam krnąbrnych braci zsyłają, lub posłuszników na próbę.

Na Zalewnym jeziorze jeszcze łód stał przy brzegu. Podjechaliśmy na traktorze jak najbliżej, by łodzi nie wlec w rozmiękłym śniegu przez las. Dalej Maksimka w pojedynkę ją potaszczył: najpierw pchał po lodzie, jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów, potem, gdy krucho się zrobiło, wlaź do środka i brzozową żerdzią się odpychał, aż trzasnęło, jakby pękła tafla szkła, i łódka chlupnęła w wodę. My tymczasem obeszliliśmy jezioro po bagnach, przykrytych brudnym, namokłym śniegiem, brodząc miejscami po pas. Jarząbki przyskały nam spod nóg. Maksimka czekał koło ruczaju, łączącego jezioro z morzem, gdzie można łowić, daleko nie odchodząc i słodką rybę, i morską. Okazało się, że mnisi nas uprzedzili. Ich sieci już stały. Nie opodal rzuciliśmy swoje. Z lasu wyszedł ojciec Naum, z Mołdawii. Nie wyglądał na inoka, raczej rozbójnika przypominał. Zwalisty, pleczysty, włosy krucze, zaplecione w warkoczyk, w półszubku wyszywanych srebrną nitką, zielone wojskowe spodnie, wielki nóż za pasem, błotne gumki do bioder. Był z nim posłusznik z Sawwatijewa, na oko niezbyt normalny. Przywitaliśmy się. Słońce siadało między wyspami Sosnowej zatoki. Przybrzeżny łód, tak zwany *prípaj*, o głębokim odcieniu ultramariny, pobłyskiwał tajemniczo na tle lasu. Na oświetlonych skarpach ryżo jarzyły się suche trawy. Wyżej bezlistne brzozy, gąszcz ciemno-bordowy, z białymi maźnięciami pni. A nad nimi ciepka zieleń jodeł i rozświetlony błękit wiosennego nieba, stębnowany po krajach dukatowym złotem. Wrzaski ptaków, szum wody. Zostaję sam. Maksimka ze Smirnowem stawiają sieci w morzu, ojciec Naum z posłusznikiem poszli swoje sprawdzać. Przygotowuję ognisko. Las wilgotny, mało suchych gałęzi. Pachnie mokrym mchem. Gdzieś daleko tokuje głuszc. Przez ostre, przenikliwie świergoty drozdów dudni z wody muzycki mat. Drozdy nie dają za wygraną, drąc się wniebogłosy. Jakbym słyszał: won stąd wandalę, cudzy tu jesteście, niszczyciele, połamaliście traktorem młodziutkie brzożki, ledwie pędy puszczały, matem płoszyście ptaki, w tarło ryby łowicie, a po sobie zostawiacie wypaloną ziemię, puste butelki, puszki i żółte ślady moczu na śniegu... Sieci postawione. Ogień strzela. Przykucamy na mokrej ziemi.

Chłodem ciągnie, od lodu oddaje. Słońce siadło, blade się zrobiło. Ani jasno, ani ciemno. Poszarzała biała noc. Na pniu wódka, słonina, razowy chleb, cebula. Czekamy na brzask. Z lasu znowu Naum wyszedł. Widać „Ruską” zwietrzył, ponoć lubi wypić. Nalewamy ojcu solidnego stakana. Po posiołku krążą ploty o Naumie, że za pijaństwo został w pustelnię zesłany przez Namiestnika... Raptem muzyki się zrywają, przypływ niesie kry na sieci. Pobiegli do łodzi. Próbują wykorzystać chwilę i wypytać Nauma o przeszłość. Powtarzamy po stakanie, potem jeszcze raz, i jeszcze. Ojciec łamie język, kaleczy zdania, czasami mówi od rzeczy. Półgramotny, infantylny, dobry. Ma 30 lat. Wyrósł w mołdawskim kołchozie, bez rodziców i bez szkoły, potem armia, gdzie go wyuczili na szofera, połamali żebra, szczękę dwa razy i kręgosłup zwicznęli, dzięki czemu został przedterminowo zwolniony ze służby. Kiedy opowiadał o tym w pociągu, wracając do rodzinnego kołchozu, jeden z pasażerów szepnął, że to był palec Boży. I że powinien Panu podziękować. Zatem poszedł po monastyrach: od Kijowa, przez Ławrę Troicką, na Sołowki. Na Wyspach postanowił zostać, dobrze mu tutaj: las dookoła, woda, mało ludzi. – A najważniejsze, że myślą tu za ciebie, że karmią i robotę dają. W posiołku, jak wszędzie, głód i bezrobocie, a u nas pracy w bród i jeszcze trzy razy dziennie, do syta... Maksimka ze Smirnowem wrócili. Flądry przynieśli. Stawiamy uchę. Mat nie ścicha, muzyki monacha się nie krępują. Czasem brzmi to groteskowo, na przykład: na ch... ojciec sieci stawiać, wystarczy trotyl zaj..., a same na ch... wyleżą. Ucha pycha. Świta. Słońce wstaje nad Nową Sosnowką, obrysowując kamienną dambę (groblę), wybudowaną w latach 30-tych przez zeka, nasyp kolejowy donikąd, oraz resztki monastyrskich izb rybackich z XIX wieku. Latem „biczne” tam koczują i sezonowi dobywacze morskiej trawy. Ojciec Naum znika w blasku. Wyciągamy oblodzone sieci. Ręce grabieją. W morskich tkwią wielkie, tłuste śledzie (sołowiecki standard: po trzy na kilo), dorsze i stunki, dziwne ryby, pachnące świeżymi ogórkami, natomiast w jeziornych sporo płoci, okonia, kilka szczupaków, miętusów i jedna srebrzysta sieja. Pakujemy zdobycz na traktor. Słońce już nieźle przypieka, choć zaledwie czwarta. Wtem, co to? Długi, przeciągły dźwięk od morza.

Ni to syrena, ni płacz. Narasta. Wypełnia las. Rozwibrowuje powietrze, goni ciarki po skórze. Światło drga, w gardle szorstka grudka. Wreszcie są, znad morza lecą. Żurawie. To ich klangor. Przenikający na wskroś. Do cna. I tam milknący. Przeleciały. Cisza... jakby bębni w uszach popękały. *Nu blin*, westchnął Smirnow, *krysha mozet pojechať*. W milczeniu bierzemy się do drogi. Chwilę buksujemy w błocie zmieszonym ze śniegiem, silnik ryczy, olej kapie, smród spalin. Ruszamy. Najpierw przez zeszlone błota do Sawwatijewa, potem w prawo, nad Sekirną, gdzie pod samym niebem lśni chram Pańskiego Wniebowstąpienia – tam zeka na żerdkach sadzali jak kury – i dalej prosto do posiołka. Po obu stronach drogi las po kolana w wodzie, ciemnej i nieruchomej. Niczym lustro poczerwiałe od starości.

Mariusz WILK

MARC S. FRANCISZKOWSKI
LETTRES SLAVES
 LIBRAIRIE – EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS
 Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową
 Na życzenie wysyłamy katalogi

Rozważania starszej pani

Ogromnie się ucieszyłam jesienią 1989 roku, kiedy telewizja zaczęła nadawać bezpośrednie transmisje z obrad Sejmu. Było to dla mnie fascynujące – karmiona przez czterdzieści z górą lat kłamliwymi informacjami, mogłam na żywo śledzić, jakie zadania piętczą się przed naszą młodą demokracją, jak się toczą spory i dyskusje, czy hierarchia problemów odpowiada potrzebom kraju. I naiwnie wyobrażałam sobie, że w przyszłości każdy kandydujący na posła czy senatora zastanowi się, czy podoła temu zadaniu. Czy coraz nowe problemy ogólnokrajowe nie przerastają jego możliwości i wiedzy. Czego musi się jeszcze nauczyć, żeby móc decydować o sprawach całego kraju i społeczeństwa.

Nie jestem politykiem, nie zawsze odróżniam odcienie tej, czy tamtej ideologii, ale mam wycucie tego, co jest dla kraju najważniejsze. Głównie na odcinku gospodarki i do dziś ślimaczących się „przekształceń własnościowych”, przez które byli właściciele Polski Ludowej nie mogą przeskoczyć. Wciąż szukają sposobu, jak „własność państwa” zamienić w papierki do własnego portfela.

Przekształcenia ekonomiczne szczególnie mnie interesują, gdyż sama jestem ekonomistką.

Śledząc scenę polityczną przypominam sobie to i owo, między innymi anegdotę kolportowaną w latach siedemdziesiątych: wysoki dygnitarz partyjny z prowincji przyjeżdża do stolicy, do jeszcze wyższego dygnitarza w samej centrali. „Mam do was prośbę, towarzyszu. Chodzi o mego syna. Chłopakowi w głowie tylko dziewczyny, popijawy i samochód, który niedawno dostał. Ale uczyć się nie chce, chyba

go nawet nie dopuszczą do matury, a na studia i tak nie ma ochoty. Pomyślałem, że będzie lepiej jak pójdzie do roboty. Ulokujcie go gdzieś w urzędzie albo w przemyśle.” „W samą porę przyjechaliście, towarzyszu. Mam kilka wakatów. Ot, na przykład, mogę dać waszego syna na dyrektora wytwórni wyrobów papierniczych”. „Ależ, towarzyszu, od razu na dyrektora? W głowie mu się przewróci”. „Wobec tego na wicedyrektora do zjednoczenia...” „Nie, to też za wysoko”. „Jeszcze wchodzi w rachubę naczelnik wydziału w którymś z ministerstw, ale tam pobory są gorsze...” „Może lepiej jakiś referat, albo coś takiego...” „Niestety, towarzyszu, od kierownika referatu w dół trzeba mieć już wyższe studia”.

Przypomniała mi się ta anegdota, kiedy słuchałam przemówień różnych posłów. Oczywiście niektórzy mają jakieś dyplomy, ale są i tacy, którym samo czytanie sprawia trudność. Nie mówiąc o akcentowaniu wyrazów niestowiańskiego pochodzenia i wymawianiu wyrazów „matematyka” czy „fizyka” analogicznie jak „motyka”. Podobne uwagi nasuwały mi się podczas kampanii prezydenckich. I zastanawiam się, czy jest jakieś zarządzenie lub uchwała, określające minimum wykształcenia dla osób, ubiegających się o fotel prezydencki, poselski lub senatorski? Teraz przecież nie ma różnic w poziomie posłów i senatorów. Oczywiście jest tam trochę ludzi mądrych i wielu z autentycznymi dyplomami. Ale czy ma sens funkcjonowanie dwóch izb ustawodawczych, które się niczym nie różnią? O ile sobie przypominam, w okresie międzywojennym wyższe kryteria określały zdolność kandydowania do Senatu: wiek, wykształcenie, nieposzlakowana przeszłość i wysoka opinia pod względem moralnym...

Wydaje mi się, że przeskok do najnowszej techniki i postępu cywilizacyjnego wymaga, by ludzie rządzący państwem, zasiadający w ciałach ustawodawczych, w rządzie i w najwyższych urzędach, byli nie tylko wiernymi i posłusznymi członkami swoich partii politycznych, lecz by reprezentowali odpowiednią wiedzę, talent organizacyjny i wyobraźnię.

Ktoś może zapytać: „Na co ministrowi lub posłowi wyobraźnia?” A ja uważam, że to bardzo ważny element, gdyż przewidywanie skutków każdego postanowienia jest istotnym warunkiem dobrych rządów. W ciągu ostatnich sześciu lat co najmniej kilkanaście uchwał sejmowych trzeba było odwo-

ływać, zmieniać lub uzupełniać. Niektóre jeszcze funkcjonują, chociaż dla mnie były od początku bez sensu. Takie na przykład produkowanie bezrobotnych. Dyplom lub świadectwo ukończenia szkoły średniej lub półśredniej zawodowej jest równoznaczne z „dyplomem bezrobocia”, bo absolwent z miejsca otrzymuje zasiłek dla bezrobotnych. Czy to jest normalne? Pamiętam, że z dyplomem wyższych studiów w garści, w okresie międzywojennym, niemal dwa lata szukałam pracy! Ale nie były to lata stracone, gdyż poznając wymagania różnych firm i instytucji, do języków, którymi się legitymowałam – francuski i angielski – nauczyłam się niemieckiego w zakresie korespondencji handlowej, nauczyłam się pisać na maszynie i stenografować po polsku i francusku. Ale wcale nie uważałam siebie za bezrobotną, po prostu szukałam pracy. Wreszcie dostałam odpowiednią.

I chyba taki okres samodzielnego szukania pracy też jest nauką, właśnie nauką życia.

Mam nadzieję, że zapowiadana reforma administracji państwowej jasno określi wymagania wobec ubiegających się o stanowiska w różnych urzędach i o fotele w organach ustawodawczych, z prezydentem włącznie. Przedstawienie dowodu ukończenia studiów uniwersyteckich lub innej wyższej uczelni będzie rękojmnią, że nie trafią tam ludzie niedouczeni, lub wręcz sprytni kombinatorzy.

Można się spotkać z kontrargumentem, że dyplom nie gwarantuje rozumu i że są ludzie bez dyplomów, stokroć więcej wari od dyplomowanych. Tak. Ale przecież objęcie każdego wyższego a nawet średniego stanowiska zmusza do nauczenia się wielu rzeczy z nowej dziedziny lub w większym zakresie, a przede wszystkim trzeba się nauczyć kierowania ludźmi i większymi zespołami. Jeśli więc ktoś nie zdobył się na ukończenie własnej nauki, to jak może dyrygować innymi i ogarnąć umysłem znacznie szerszy zakres zagadnień niż te, z którymi się dotychczas stykał?

Zastanówmy się więc, jakich ludzi wybieramy na stanowiska, z których wychodzą decyzje dotyczące całego kraju.

Camilla MONDRAL

Wiersze

Agnieszka LISAK

O MOJEJ FASCYNACJI MALARSTWEM

Wśród mężczyzn najbardziej lubię tych
co tańczą na wiejskim weselu
niestrudzenie przez wieki
lub na barkach dźwigają krajobraz
mężczyzn o zdrowej cerze portretu
mężczyzn zimnych jak fresk
twardych jak deska ikony
co drwią sobie z czasu.

LEK

Wiem że kiedyś przyjdiesz
puścimy z wiatrem moje wiersze
wyobraźni zasłonimy oczy
na białej kartce prześcieradła
zaczniemy pisać nową historię
i gdzieś przy jej końcu

odkryję w twojej szafie
figurkę poezji z czasów dzieciństwa
którą kiedyś schowałeś przede mną

Agnieszka LISAK

Szymon MUCHA

Skoro wszystko tak spokojne
Coś się pewnie zdarzy
Rośnie dziatwa karmić wojnę
Bez lęku i marzeń

Lasy szumią spalenizną
Łąki prężą łona
Trzeba będzie krwią i blizną
Znów ojczyzna kona

Skoro wszystko tak spokojne
Coś się pewnie stanie
Rośnie dziatwa karmić wojnę
Pnie się kąkol w łanie

Łąki po was przeszły czołgi
Las w płomieniach huczy
Będzie cmentarz – ze dwie morgi
Będzie o czym uczyć

Skoro wszystko tak spokojne
Coś się pewnie stanie

1995

Graj, graj na swym saksofonie,
Nim okrzepnie, nim ochłonie
Noc

Graj, bo nie ma na co czekać,
Graj, no grajże, z nieba ścieka
Noc

Snuj muzykę szklanej ciszy,
Księżyc płacze, bo nie słyszy,
Noc

Graj, snuj nokturn jak najdłużej,
Najwyraźniej dziś mi służy
Noc

Graj co czujesz, graj co płaczesz,
Co się nie da wytłumaczyć,
Noc

Graj, graj gwiazdom spadającym,
Graj, tak jakbyś grał niechcący
Noc

Graj najsamotniejsze nuty,
Zagraj senny nocny smutek,
Noc

Zagraj szept i łzy gorące,
Po jej włosach spływające,
Noc

Zagraj kroki na ulicy,
Graj latarnie, kamienice,
Noc

Graj, że już nie mamy dokąd,
Nasze księżycowe cienie włoką
Noc

Zagraj tony, jak noc czyste,
Senne, płynne, powłóczyście,
Noc

Graj, że nie wiem skąd przyszedłem,
Ale tego nie wie pewnie nawet
Noc

Graj, graj na swym saksofonie,
Zagraj wierszem, zagraj o niej,
Noc...

1995

Bolesław TABORSKI

KAŻDY SIĘ SAM PRZEKONA

pożegnań było wiele ale będzie jedno
już ostateczne w dźwięków podniosłych kaskadzie
lub w milczeniu w grymasie ust skrzywionych bólem
o tym czytać nie chcecie panowie no to nie –
piszę o tym dla siebie i podobnych duchów
wieczystych choć tkwią jeszcze w sieci ciał doczesnych

ciao! a posiąść można tylko miłosierdzie
z nim i poczuciem własnych kłesk błędów zaniedbań
pójść trzeba dziwną drogą która nie ma końca
choć z niego się bierze o czym w swojej porze
każdy się sam przekona gdy taktownie skona

30.8.95

Bolesław TABORSKI

Wspomnienia

Ksawery

I wyszli , w ciemną grudniową rosyjską noc.
Nie mieli z niej wyrzeć już nigdy

Ksawery Pruszyński, „Dwaj ludzie”,
Nowa Polska nr 4, 1943

13 czerwca 1950 zginął w wypadku samochodowym Ksawery Pruszyński i przed tą 45 rocznicą przyjechała do Londynu ekipa telewizyjna z Polski, by dowiedzieć się o jego wojennych latach od tych, którzy go wtedy znali.

W dniu katastrofy zadzwoniła do mnie zapłakana Janka Stonimska, by mi o tym powiedzieć. Na drugi dzień (14.6.) londyński *Dziennik Polski* podał komunikat konsulatu PRL we Frankfurcie ze szczegółami wypadku. Zdarzył się on w Rhynern, ok. 8 mil od Düsseldorfu, na autostradzie z Berlina do Duisburga. Towarzyszył Pruszyńskiemu prof. Swarzyński z Łodzi, który został ciężko ranny i przewieziony do szpitala, gdzie miał pozostać trzy tygodnie.

Do tej wiadomości *Dziennik Polski* dodał wiadomość, podaną przez zachodnioniemiecką agencję prasową, że Pruszyński miał przy sobie ważne dokumenty dyplomatyczne.

I na tym skończyła się historia śmierci Pruszyńskiego.

Jakie były okoliczności wypadku? Co o nich powiedział ich świadek, ów „prof. Swarzyński”? Kim był? Co się z nim

* Tekst ten był pisany zanim Jerzy Jaruzelski ogłosił w dodatku do *Rzeczpospolitej* – *Plus Minus* (22-23 czerwca br.) – szczegóły wypadku na podstawie dokumentów znajdujących się w niedawno otwartym Archiwum MSZ. „Świadkiem” był Antoni Swarczyński, prof. krytalografii i mineralogii na Uniwersytecie w Łodzi.

stało? Głucho było o śledztwie w tej sprawie i została przyjęta oficjalna wersja, że Pruszyński był sam. Powtarzano ją wielokrotnie i tak uparcie, że był o tym przekonany nawet Miłosz, dobry znajomy Pruszyńskiego z czasów ich wspólnej dyplomatycznej pracy w Waszyngtonie – jak o tym wspominał, bodajże w „Roku myśliwego”.

Miałam powody, by nie wierzyć w wypadek. Parę tygodni przed nim Ksawery przyjechał do Londynu z Hagi i wręczył mi, z prośbą o przechowanie, różne osobiste papiery i prywatne listy, których nie chciał zniszczyć, ani brać ze sobą. Powiedział mi wtedy, że dostał z Warszawy przyjacielskie ostrzeżenie, by nie przyjeżdżał, bo grozi mu niebezpieczeństwo. Jako powód podano jego korespondencje z wojny domowej po stronie Czerwonej Hiszpanii. Nie mogłam tego zrozumieć, nie podążałam za stalinowską logiką i właściwie dopiero teraz, po pół wieku, wyjaśnił mi to tekst Antoniego Libery w *Kulturze* z czerwca 1995.

Wiedziałam jednak, że w Hadze, gdzie był posłem, Pruszyński był stale śledzony. Listy prywatne sam wrzucał do różnych skrzynek w mieście, a gdy przyjeżdżał od czasu do czasu do Londynu, spotykaliśmy się zawsze w otwartych, publicznych miejscach – w hallu wielkiego hotelu, w parku, na stacji kolejowej, by nie mogło być żadnych wątpliwości, że to nie jakaś podejrzana polityczna schadzka z przedstawicielem Andersa.

Parę lat później prof. Wiktor Weintraub, gdy przyjechał z Harvardu do Londynu, potwierdził wiadomość o stałym nadzorze Ksawerego w Hadze, gdzie do tej roli przydzielony był specjalny agent, według Weintrauba niejaki Lapter, którego nazwiska przedtem nie znałam. Weintraub też nie wierzył w „wypadek”.

Niedawny wywiad dla telewizji o Pruszyńskim był okazją do przypomnienia sobie różnych prawd i zrobienia różnych sprostowań.

„Pruszyński poszedł do komuny”, bo „chciał zostać ambasadorem przy Watykanie”, stwierdziła Ewa Berberysz w swej książce o Jerzym Giedroyciu z właściwą sobie beztronską niedokładnością. Mogę zrozumieć w pewnej mierze, że wydarzenia sprzed pół wieku są inne w oczach świadków, niż tych, którzy rodzili się dziesiątki lat później i

zyli w zmienionym świecie. Dawne fakty, obrane ze szczegółów, wyjęte z kontekstu czasów, filtrowane przez późniejsze komentarze, redukowały się do schematów ułatwionej historii. Tyle już napisano o motywach współpracy pisarzy i innych, czy zgody ich na narzuconą Polsce „komunę”, że jedna z tych uproszczonych wersji mogła wydać się właściwa i w stosunku do Pruszyńskiego. Zapewne stąd to obcesowe „poszedł do komuny”.

Jego wypadek był jednak wyjątkowy. Nie tłumaczyło go – jak mieszkających w Polsce – doświadczenie niemieckiej okupacji i ich euforia powrotu do polskiej szkoły, polskiego urzędu, swobody polskiego języka; ani komunistyczne ciągoty, jakie wielu z nich miało; ani nieznamość Rosji. Pruszyński wojnę przeżył na Zachodzie z pełną świadomością wszystkiego co weszło do jej historii i był pierwszym, który przekroczył granicę dzielącą wówczas Polaków na uchodźstwo i kraj, szczelniejszą niż budowane potem mury i kurtyny.

Rok 1945 był może najtragiczniejszą moralnie chwilą w dziejach wojny dla Polaków, którzy znaleźli się poza krajem. Wszystko co było przedtem – walki, niewola, obozy, śmierć – było narzucone wyrokiem losu, od którego nie było ucieczki. Z końcem wojny przyszła konieczność własnego wyboru i decyzji: czy pozostawiona w kraju rodzina, dom – czy wygnanie jako ostateczny i jedynie dostępny gest protestu przeciwko temu co Polskę spotkało.

Setki tysięcy ludzi – późniejsza emigracja – to byli w większości ci, którzy pochodzili z utraconych ziem i przymusowo poznali Rosję. Rana była świeża – wczorajsza zsyłka, łagry, Katyń, Jafta – i dzisiaj kraj oddany w te same ręce.

Bardzo niewielu z nich zdecydowało się wtedy na powrót do kraju i były to decyzje oporne, wymuszone na sobie ze względów rodzinnych. Nikt z nich nie spotkał się z ostracyzmem pozostałych, raczej towarzyszyło im współczucie, w większości wypadków uzasadnione, jak się później okazało.

W tych nastrojach decyzja Pruszyńskiego była wyzwaniem. Nie był jednym z szarych, anonimowych żołnierzy, którzy bez rozgłosu, nie ze względów politycznych, ale wbrew nim, powracali do swoich. Jego wojenna publicystyka była głosem wszystkich Polaków, których wojna wyrzuciła poza

kraj. To co znalazło się w wyborze jego pism z lat 1940-1945¹, było ich katechizmem. W pierwszych latach wojny był najpopularniejszym polskim pisarzem. Numery *Wiadomości Polskich* z jego naczelnymi artykułami wrywano sobie z rąk w obozach wojskowych i uchodźczych na Zachodzie, a potem w Rosji, gdzie redagował w Kujbyszewie pismo *Polska* dla powstającego tam wojska. W tym właśnie piśmie ukazał się w 1941 r. jego artykuł „Lwów i Wilno” o historycznej polskości tych miast. Pisał z przekonaniem i przejęciem o tym, co było ludziom i jemu samemu bliskie i potrzebne. Wolność, patriotyzm, bohaterstwo, ofiary, krzywdy, nadzieja na lepszą przyszłość. „Walczyliśmy by nasz naród był naprawdę wolny. To znaczy, by mógł sam stanowić o tym kto będzie w Polsce rządził (...) To znaczy, że nie będzie ani klasy, ani – tym niemniej – kasty rządzącej, żadnej starej i – co groźniejsze – żadnej nowej szlachty, że będzie wolność słowa i wolność prasy, bo tam gdzie one znikają, zaczyna się przedproże niewoli” (*Wiadomości Polskie*, Londyn nr 21, 1941). „Sowietyzacja narodu polskiego, zrobienie z niego integralnej części społeczeństwa sowieckiego, upodobnienie go strukturalnie, psychicznie, ideowo, do społeczeństwa żyjącego nad Oką, Kamą, Leną i Donem, oto zadanie, jakie postawiła sobie polityka sowiecka wobec narodu polskiego...” (*Wiadomości Polskie*, nr 23, 1941).

I to właśnie on, ten który to pisał, przeszedł na wrogą stronę, zdradził. Bo wtedy nie było żadnych kompromisów, żadnych wahań, żadnej późniejszej sofistyki. Było tylko czarne i białe. My i oni. I głucha na wszystko pasja bezsilnej rozpacz i sprzeciwu.

Nawet nasze prywatne utarczki, gdy kłóciliśmy się do utraty tchu, on „za”, ja „przeciw”, pozbawione wszelkiej intelektualnej finezji, tak później pożytecznej w różnych „spowiedziach”, sprowadzone były do najbardziej prymitywnych argumentów z patriotycznego repertuaru. Kiedyś, usłyszawszy swój krzyk, stanęliśmy na środku Piccadilly, patrząc na siebie ze zdumieniem.

Słonimski nie krzyczał, namawiając Ksawerego na zwią-

1. Ksawery Pruszyński, „Wybór pism 1940-1945”, Polonia, Londyn 1989.

zanie się z komunistycznym reżymem w kraju. Dawniej dobry znajomy, teraz najbliższy przyjaciel, Antoni, salonowy lewicowiec, wzorowy członek wpływowego wówczas bractwa zachodnich *fellow travellers*, stał się misjonarzem nowej wiary i gorliwie pracował nad jedynym kandydatem na jej wyznawcę.

Byłam raz świadkiem rozmowy, w której argumenty Słonimskiego były na jeszcze niższym poziomie niż w naszych sporach, bo apelowały wyłącznie do próżności Ksawerego. „Obowiązek takich jak ty, by wrócić do kraju wskazać drogę... z twoim piórem... z twoją siłą perswazji... z twoją kartą wojenną... z twoim wyjątkowym rozumieniem historii i nieodwracalnych przemian... Ty jeden, ty, ty, ty...”

Ksawery słuchał, wierzył i palił się, by zacząć swą misję „dla ojczyzny ratowania”. Rosję i komunizm znał jako historyk i jako świadek, bo z rzeczywistością sowiecką zetknął się już raz przed wojną, gdy z dziennikarskiej ciekawości wybrał się odwiedzić po kryjomu rodzinne strony na Ukrainie. Bliżej ją poznał gdy w 1941 r. pojechał z prof. Stanisławem Kotem do Rosji i w Kujbyszewie znalazł się wśród ludzi z łagrów. Paradoksalnie to właśnie doświadczenie zakiełkowało ideą własnej roli. Jego powrót do PRL nie był przejściem na nową wiarę („poszedł do komuny”). Komunizm był mu obcy, nigdy nie dotknęło go „heglowskie ukąszenie”, w ogóle nie miał żadnych skłonności do politycznego myślenia, kierował się tylko emocjami, co doskonale podpatrzył W.A. Zbyszewski w swym o nim wspomnieniu².

Samowolny, zapalczywy, uznający tylko swoje prawo i zasłuchany w swoją rację, obcy wszelkiej dyscyplinie, był najgorszym kandydatem na komunistycznego akolitę. Z rozmów z polskimi komunistami w Kujbyszewie (byli wśród nich znajomi z wileńskich czasów: Jędrzychowski, Putrament) domyślał się planów (czy już decyzji) oddania Polski pod dyktando sowiecki i znając siłę Rosji i słabość Zachodu wobec niej, doszedł do przekonania, jak później inni (Stefan Kisielewski), że nie da się odwrócić nowego porządku i że jedynym ratunkiem jest znaleźć drogę do przyjaznego, sąsiedzkiego

2. W.A. Zbyszewski, „Zagubieni romantycy i inni”, Instytut Literacki, Paryż 1992.

współzycia z Rosją; że tylko taka taktyka uchroni Polskę przed ostatecznym połknięciem jej przez Rosję. Zobaczył w tym swą historyczną misję i wierzył, że doprowadzi do tego, co nie udało się jego ówczesnemu bohaterowi, Wielopolskiemu. Stało się to jego obsesją i nie miał wątpliwości, że kto jak kto, ale on potrafi wytłumaczyć, przekonać i nie mógł doczekać się chwili, gdy zacznie w Polsce swą wielką publicystyczną kampanię. Głuchy był na argumenty, że cenzura, że dyktatura, że rządy przemocy. Ze zdumiewającą naiwnością przypominał, że w przedwojennej Polsce też pisał odważne reportaże z Czerwonej Hiszpanii, czy artykuły przeciw rządowe, np. przeciw złej polityce na Kresach. Bywały białe strony konfiskaty w *Wiadomościach Literackich*. Teraz będzie podobnie, twierdził. „Nie pozwolą raz, napiszę drugi raz i trzeci, i dziesiąty, aż dojdzie, aż przekonam. Przecież to też w ICH interesie”.

Gdy wrócił z Rosji w 1942 r. zaczął tę ideę propagować, w *Wiadomościach* wywołując burzę swym artykułem „Wobec Rosji”. Niezrażony oburzeniem ani polemikami (m.in. Zygmunta Nowakowskiego i W.A. Zbyszewskiego), już nie odszedł od tej myśli. Pisząc list w tanku, na jakimś postoju na polach Normandii w 1944 r., podpisał się żartobliwie „Ksawery Wielopolski”.

Nikt nawet wśród emigracyjnych „niezłomnych, nieprzejednanych” (Łobodowski, Zbyszewski), pisząc o nim po jego śmierci, nie zarzucił mu, że na jego decyzję wpłynęły jakieś oportunistyczne względy, oczekiwanie osobistych korzyści. Zresztą wtedy nie było jeszcze tej nowej PRL, rozdającej wybranym posady zagraniczne, ani one nie były Ksaweremu w głowie. On chciał być w Polsce, chciał w niej zabierać głos, chciał walczyć słowem a nie „zostać ambasadorem przy Watykanie”. Watykańskie pertraktacje, które przysły później, nie z własnej inicjatywy, lecz oczywiście na polecenie władz, prowadził z przejęciem, bo widział w tym pewną możliwość usprawiedliwienia swojej roli „reżymowego dyplomaty”. Szybko przekonał się, że akcja ta nie miała szans. Potwierdziły to jego rozmowy u oo. oblatów w Paryżu, gdzie miał dobrego znajomego, kiedyś podchorążego w Comblèsac, teraz już młodego księdza (czy może jeszcze kłeryka). Odwiedzał ich dwukrotnie w drodze powrotnej z Rzymu

i wiedział od nich, że kardynał Hlond bardzo sceptycznie patrzy na te pertraktacje.

Słonimski namówił Ksawerego w 1945 r. na wspólną, pierwszą po wojnie podróż do Polski z wycieczką angielskich pisarzy i po tej wyprawie powzięli odwrotne decyzje. Ksawery miał w Polsce najbliższą rodzinę, żonę, dzieci, matkę, o których troszczył się przez całą wojnę, posyłając im co się dało i co miał, i obok wielkiej misji jaką widział przed sobą, i ten wzgląd też musiał odegrać pewną rolę w jego decyzji powrotu do kraju. Rozsądny Słonimski, zgłosiwszy swą gotowość służenia reżymowi, załatwił sobie pozostanie za granicą na kilka lat, najpierw w Instytucie Kultury w Londynie, jednej z nie istniejących przed wojną placówek, stworzonych szybko przez nowy reżym, jako synekura dla wiernych, potem w UNESCO, aby w końcu osiąść w Alei Róż w Warszawie, gdy mu już nic poważnego nie groziło poza zakazem od czasu do czasu drukowania jego ostrożnych felietonów i żyć sobie spokojnie w kładkach młodocianych wielbicieli, widzących w nim uosobienie liberalnego, kulturalnego Zachodu.

Obok innych racji, decyzja Ksawerego miała jeszcze jedno, wstydliwie ukryte dno. Wydawało mu się, że w kraju pogrążonym przez pięć lat w okupacyjnym milczeniu, stanie się ważnym, jeśli nie najważniejszym pisarzem. Miał za sobą doświadczenia wojny na Zachodzie, pewien przedwojenny rozgłos, ogromną popularność publicystyczną podczas wojny, kilka nowych książek i wiele ambitnych planów literackich. Bardzo szybko przekonał się o naiwności tych oczekiwań, gdy zetknął się z intensywnym życiem literackim, które wychodziło z podziemia.

Ale były dobre zapowiedzi. „Droga wiodła przez Narwik”, od razu wydana w 10-tysięcznym nakładzie, rozeszła się błyskawicznie w samej Warszawie tak, że zabrakło egzemplarzy na prowincję. A Borejsza obiecywał mu wydawać wszystko co napisał i co napisze.

Znalazłszy się w Polsce na stałe, był na początku pełen dobrych myśli. „Mam bardzo dobre stosunki ze wszystkimi, do arc. Sapiehy, w którego piśmie piszę (...) Nie gadałem jeszcze z najmiarodajniejszymi, więc nie wiem co zrobię, wolałem się dokładnie przyjrzeć krajowi. W każdym razie

zarysowują się takie warianty 1) MSZ i to Waszyngton, dokąd Lange mnie ciągnie, ew. Moskwa, dokąd mnie zbytnio nie ciągnie; 2) pozostanie w kraju i pisanie książek, nie biorąc udziału w życiu publicznym, przynajmniej na ile się da. Osiedliłbym się wtedy gdzieś na ziemiach zachodnich, wziąłbym jakąś farmę, pewno w okolicach Jeleniej Góry, Śląsk Dolny, gdzie jest bardzo ładnie. Mając swoje gospodarstwo nawet z aprowizacją jest lepiej”. Pisał to w październiku 1945 z Berlina, po objęździe Pomorza, Szczecińskiego, Śląska razem z prof. Lange, który niedługo został jego szefem na placówce w Waszyngtonie. Pojechał tam tuż przed Bożym Narodzeniem, zabierając ze sobą małych synów; żona z córeczką przyjechały później.

Zimowa podróż przez północne morze nie była najlepszą zapowiedzią nowego życia. Burza rzucała statkiem, wszyscy chorowali, z trudem można było odczytać koślawe litery listu. Ale pierwszy rok w Stanach nie zapowiadał tego, co przyszło później. Stosunki służbowe były znośne, dalekie warszawskie władze jeszcze nie nauczyły się w pełni rządzić po swojemu, szefa Langego Ksawery lubił („bardzo mądry, porządny i uroczy człowiek”), miał nawet w pewnej chwili zostać jego zastępcą. Wierzył wtedy jeszcze w możliwość jakiejś dobrej roboty, jeździł do ośrodków polonijnych z patriotycznymi odczytami (Chicago, Detroit), prosił o adresy ludzi w Polsce, by im posyłać amerykańskie paczki, razem z Miłozsem zamierzał wydawać pismo dla Polski o kulturze, zwłaszcza literaturze amerykańskiej. Kursował między Waszyngtonem i Nowym Jorkiem z siedzibą Narodów Zjednoczonych i podniecało go, że znalazł się w centrum spraw świata. „Zasiadałem w komisji bomby atomowej i poznałem Oppenheimera i innych twórców tego paskudztwa. Oppenheimer miły, młody, kulturalny, bardzo przystojny, podobny do Adzia Bocheńskiego. Wyobrażam sobie minę Wacka, gdy mu o tym powiesz...”³

Po roku, z końcem 1946 r. został odwołany do Warszawy, z ponagleniem do powrotu. Z trójką dzieci wrócił do kraju, zostawiając za sobą Amerykę, której – ku swemu żalowi

3. Wacław Zbyszewski, żył wtedy w panicznym strachu przed bombą atomową.

– nie zdążył poznać, i ostatni okres swego życia bez większych konfliktów, które już przewidywał.

Przed wyjazdem z Nowego Jorku, ostatniego dnia listopada, pisał: „Nie bardzo wiem co będę robił potem, czy będę w Polsce, czy mnie gdzie pošlą i w ogóle... Jeślibym był w Polsce, to pewno wezmę sobie długi urlop i pojedę do Rabki czy gdzie indziej na pisanie zaniedbane. Wrażen zebrałem niemało. Czuję się zmęczony i wyczerpany jak chyba nigdy od tyfusu. Nigdzie nie jest dziś dobrze, chyba żeby zrobić zupełną *escape from life* i zagrzebać się w lasach Kanady, żeby ludzie w ogóle zapomnieli, że taki istniał kiedykolwiek. Miałem wrażenie, że może pojedę do Palestyny z komisją N.Zj., ale to spaliło na panewce. Tam będzie jakiś rodzaj awantury – w sam raz dla mnie. Przykro mi wyjeżdżać z Ameryki...”

Jeszcze nie przyznawał się do przegranej, ale już nie opuszczała go myśl oderwania się od życia, nad którym przestał mieć władzę. W styczniu 1947, czekając na pociąg na stacji w Krakowie pisał: „Dalej nie wiem co ze mną będzie. Jeśli zostanę w Polsce, to schowam się gdzieś na prowincji, może nawet gdzieś w Wieliczce, obok Krakowa na pisanie spokojne. Zabrałbym się do ogrodnictwa i tak by czas schodził. Może by przyniósł jakieś rozwiązanie...” Z biegiem czasu zmieniały się miejsca zamierzonych ucieczek („by osiedlić się i przetrwać”), jakaś zakuta wieś pod Łowiczem, to koło Rożnowa czy na Ziemach Odzyskanych, prowadzić gospodarstwo, założyć pasiekę... I pisać swobodnie, szeroko jak dawniej.

Niemówność pisania była jedną z jego największych udręk przez pięć lat. W Stanach, w ciągłych rozjazdach, urzędniczej pracy, domowych obowiązkach, wojowaniu z żoną, łatał tęsknotę do pisania tekstami o Lelewelu, Mickiewiczu, „malusińskim” o Kościuszcze, zakrojonymi na miarę broszur.

Po odwołaniu ze Stanów czekał w Polsce przez miesiące na decyzje co z nim będzie dalej. „Moje sprawy urzędowe nic się nie posunęły. Oczywiście wszystko odbywa się w rękawiczkach komplementów. Jeśli będę w Polsce, to zabiorę się intensywnie do zaległości pisarskich...”

Ale nie było mowy o pisaniu o jakim marzył. Zamiast tego objeżdżał Polskę i pisał blade reportaże, jakich (ale nie

takich) od niego oczekiwano i przedmowy do cudzych książek. „Nie napisałem ani jednego słowa, którego mógłbym się wstydzić” – nawiązał kiedyś do moich czarnych przepowiedni.

Raz tylko nie byłem tego całkiem pewna. Przygotowywał w Polsce do druku zbiór swych dawnych opowiadań do tomu „Karabela z Meschedu”, z dodatkiem paru nowych. Opowiedział mi treść jednej z nich („Krysta”), zapewniając, że „apolityczna”. „Myślę, że będzie ci się podobać”.

Była to historia o prostej dziewczynie z Podhala, która zrobiła światową karierę. Gdy mi przysłał książkę, otworzyłam ją na to opowiadanie. Bardzo mi się nie podobało. Końcowy fragment, który wydał mi się dosyć sztucznie dodany, rozgrywał się na wernisazu modnej wystawy, urządzonej przez ambasadę PRL w Waszyngtonie. Dyplomatyczne światowości, gładkie rozmówki, plotki, małe złośliwości, autentyczne nazwiska (Miłosz nie przyszedł) i w tym Ksawery, jeden z nich, swobodny, rozgadany, zadowolony z siebie, jakby nic się nie stało, jakby to było jego naturalne miejsce, a nie świat przewrócony do góry nogami. O dwóch innych opowiadaniach nie wspominał, rozumiejąc widocznie, że nie będą dla mnie „apolityczne” w przyjętym wówczas rozumieniu. Ale dzisiaj czyta się je inaczej. W zmaganiach się bohaterów z decyzją „wracać czy nie wracać”, w których jedynym argumentem jest „miłość ojczyzny” w swej najbardziej patetycznej prostocie, już nie dostrzega się „polityki”, tylko osobisty dramat Ksawerego.

Pomysłów pisarskich miał mnóstwo i wciąż zjawiały się nowe. Zniknęła, oczywiście, z planów książka o wojsku polskim w ZSSR, ale była wśród nich powieść polsko-czeska („coś jak Forster czy Somerset Maugham”), powieść historyczna, która zaczynałaby się klęską Napoleona, powrotem legionów, odtworzeniem Królestwa Kongresowego, dramat o Narutowiczu...

Wszelka publicystyka, która miała być jego misją, została najgłębiej pogrzebana razem z Wielopolskim i broszurą o nim. Tylko raz gorzko go wspominał w liście, pisany w jednej z czarnych godzin pod koniec 49 r., nawiązując do niedawnej rozmowy z Borejszą i „kanalia” Żukrowskim. „...W tym spotkaniu pogroźkowato-ostrzegawczym zsumowały się drogi dwuletnich odpychanych awansów mi czynio-

nych. Oczywiście jeśli byłem głuchy na awanse, będę nim i na pogroźki. Wielopolskiego cechowała pogarda. Pogarda wobec cara, który go chciał głaskać, wrogów, którzy go tępiłi, społeczeństwa, które go nie rozumiało”.

Nie mogąc zmusić go do politycznych wypowiedzi, nie bardzo wiedząc co z nim zrobić i nie dowierając mu, wysłano go w końcu na posła do Hagi, żeby mieć na razie spokój. Placówki dyplomatyczne grały w tych czasach podwójną rolę. Dla jednych były nagrodą za wiernopoddańczą służbę, pozwalając im żyć wygodnie za granicą; niepewnych odstawiały na ubocze i izolowały, by łatwiej było trzymać ich pod ścisłą kuratelą. Ksawery dobrze to rozumiał.

„To życie jakie mam mi nadojadło – pisał jesienią 1949 z Hagi. – Żyję na jakimś poziomie obcym mi, mam auto, pozycję, służbę, szofera – śmiertelna nuda. Myślę czasem, że mógłbym sobie kupić małe auto, jeździć sam, albo z kimś dobranym, uciekać z tego wszystkiego, jak emir Rzewuski w balladzie Słowackiego. Daleko – i wolnym być zawsze”.

Mimo pozorów swobody, wygody codziennego życia, romansowych przygód, podróżowania po całej Europie, czuł, że znalazł się w potrzasku, z którego nie ma wyjścia.

Włodzimierz Odojewski w swej przedmowie do wydanego w Londynie w 1989 r. wyboru pism Pruszyńskiego wspominał o swej rozmowie w Polsce z początkiem lat pięćdziesiątych z Putramentem, który właśnie wrócił ze swej placówki dyplomatycznej za granicą. Po latach zostały Odojewskiemu z tej rozmowy „jakieś niemalże intymne szczegóły z jego (Pruszyńskiego) życia, a również kulisy jakichś jego spraw, powikłań, jakieś wydeptywane przez niego ścieżki, gesty, których nie powinien był robić, słowa, których nie powinien był powiedzieć (...) I jakieś jego miotanie się w sytuacjach, (...) ale jakich sytuacjach, tego z tej rozmowy nie pamiętam. (...) Te zdania o miotaniu się w relacji Jerzego Putramenta – pisze Odojewski – zapamiętałem najdokładniej i później przez lata stanowiły one dla mnie najlapidarniejsze określenie stanu pisarza z ostatniego roku jego życia”.

Nie jeden, ale dwa ostatnie lata życia Pruszyńskiego, do czerwca 1950 były owym nieustannym „miotaniem się”, zapamiętanym przez Putramenta i świadomością przegranej, której już nie próbował ukrywać.

„Mam lat 42 i powoli schodzę z wyżyn życia w niż”. „Nie jest mi dobrze, dziś, nigdy, nigdzie, z nikim”. „Jak szybko zbiegły te lata, nie spostrzeżemy się aż dojrniemy do tamtego brzegu” – pisał z Norwegii, w maju 49, gdzie przypominając sobie drogą mu wojenną przeszłość, sentymentalnie urwał w pobliskim Narwiku parę górskich kwiatków. „Jestem sam, a pisać mogę, gdy jestem szczęśliwy. Po co to całe życie”. „Spojrzyć w dno minionych dawno wód i zobaczyć twarz od łez szerniałą. Próżno nęka mnie wielkości głód, jak wiele przeszło, jak mało zostało” (27.4.49).

W owym opowiadaniu („Krysta”), które mi się nie podobalo, trafiłam na zdanie: „Życie to nieustanne stawanie się czymś lub kimś innym (...) zmienia się przyroda i pora roku, i dzień, ale najpełniej, najrozmaiciej zmienia się człowiek. Człowiek jest wcieleniem, uosobieniem najpełniejszych zmian, jakie zachodzą na świecie”.

Na pewno Ksawery nie zdawał sobie sprawy, gdy to pisał, że pisze o sobie.

Wiek i choroby zmieniają wygląd ludzi w naturalny sposób. Ale z Ksawerym stało się coś wyjątkowego. Tym, którzy go znali w czasie wojny w Londynie, trudno było go poznać, choć tylko parę lat minęło od tamtych czasów. Miał świadomość fizycznej zmiany, martwił się, że utył, że łysieje. „Już nie jestem podobny do podchorążego z fotografii”. „Nie poznasz mnie” – zapowiadał przed którymś przyjazdem do Londynu, tak jakbyśmy się mieli zobaczyć po dziesiątkach lat a nie po roku czy paru miesiącach. Nie było w nim śladu niedawnego Ksawerego teraz, gdy wpadał na parę godzin z Hagi, w dyplomatyczno-eleganckim ubraniu, w kapeluszu, jakiś nieswój, niezgrabny, skrępowany tym nienaturalnym dla niego urzędniczym przebraniem.

Zmienił się nie tylko zewnętrznie. Był ściśzony, zgaszony, skłonny do wzruszenia, bez dawnego zawadiactwa.

Kiedyś, szliśmy przez Green Park, była to chyba jeszcze zima, albo wczesne przedwiośnie 1950, czarne gałęzie drzew, trawa zważona przymrozkiem, pustka. Ksawery chciał mi coś pokazać, wyjął kartkę z kieszeni – i szybko obejrzał się wkoło czy nikt nie widzi.

– Ksawery, co oni z ciebie zrobili! – wyrwało mi się, bo nigdy nie robiłam żadnych uwag, związanych z jego nowym

życiem. Zaraz pożałowałam i czekałam na jakiś wybuch. Stało się jeszcze gorzej. Ksawery zatrzymał się gwałtownie i odwrócił ode mnie. Nie widziałam jego twarzy.

Za chwilę poszliśmy dalej, rozmawiając o czymś obojętnym. Ten sam Green Park, wiosenny, letni, zimowy, wspomniany przez Ksawerego, gdy pisał z Rosji w 41 r., tęskniąc do Londynu; który pamiętał później w Stanach i w Polsce, jakby symbol beztroskiej swobody i dobrych chwil; gdy pisał z Norwegii w 49 r.: „Chciałbym zobaczyć Piccadilly, przejść do Green Parku tam, gdzie otwiera się zielenią na wprost Strattonu⁴, zobaczyć niedobitków...”, ten sam Green Park pamiętał innego człowieka.

Los nie odmówił Ksaweremu największej męskiej okazji, jaką jest wojna. Wojna nie tylko nienawidzi i zabija, nie tylko zadreżca uciążliwym szarym trudem, ale także jest największym popisem brawury, okazją do męskiego braterstwa, do szlachetnych poświęceń, do wzniosłości, kiedy indziej wstydlivej, dla wielu jedynym w życiu okresem beztroski, gdy z wyrzeczenia się osobistych obowiązków i odpowiedzialności robi zasługę. Dlatego większość z tych, którzy wyżyli, nie przestaje jej wspominać.

Dla Ksawerego, choć wojna była narodową katastrofą jak dla innych, w życiu prywatnym była także taką jedyną chwilą absolutnej, niczym nie skrępowanej wolności i radości życia.

Na początku wojny w Anglii, choć po trzydziestce, choć ojciec trojga dzieci, był młodym, smukłym podchorążym, już w chwale Narwiku, najpopularniejszym z pisarzy, z entuzjazmem witany w każdym wojskowym obozie, na każdej stacji lotniczej, w każdej towarzyskiej okazji. Pełen uroku, werwy, wesołości.

Większość Polaków, którzy znaleźli się w Londynie po upadku Francji – było ich niewielu – mieszkała w okolicach ambasady, gdzie początkowo mieściły się biura polskiego rządu na wygnaniu, w rodzaju hoteli-pensjonatów, z małymi, niezależnymi mieszkaniami (*service flats*). W jednym z takich domów na Hallam Street, gdzie lokatorami byli sami Polacy, w czasie conocnego bombardowania Londynu

4. Dom na rogu Piccadilly, gdzie mieściły się biura kilku polskich ministerstw.

w jesieni 1940 (*blitz*), wszyscy schodzili do restauracji w podziemiu, niczym nie ubezpieczonej, ale do której ciągnęło naiwne złudzenie, że im niżej od nieba z bombami, tym bezpieczniej. Noce te były okazją do zawierania znajomości, przyjaźni, rozmów i nawet żartów, które chronią od strachu. Głównym ich animatorem był Ksawery, skory do prawie sztubackich pomysłów. Tatianie, rosyjskiej żonie redaktora właśnie powstałego *Dziennika Polskiego* Marcelego Karzewskiego porywał srebrnego lisa, robił sobie z niego kołpak i odstawiał kozaka; podstępnie odsuwał od Stasia Balińskiego jego walizeczkę, pobożnie znoszoną na dół i czekał – razem ze wszystkimi – na atak historycznej paniki Balińskiego, gdy nie mógł jej nagle znaleźć pod ręką. W tej słynnej walizeczce były listy Mickiewicza do Maryli, ale także sztabki złota, o czym wszyscy wiedzieli z dowcipnych relacji Słonimskiego i innych świadków wywożenia ich z Polski we Wrześniu, gdy Baliński w nocy, przed przekroczeniem granicy, porozdawał je przyjaciółom, bo „nie wiadomo co nas wszystkich czeka”, a nazajutrz rano, już w Rumunii, wszystkim je odebrał.

Ksawery więcej wtedy przebywał w Londynie, odkomenderowany do propagandy, niż w Szkocji, gdzie był stacjonowany. Ten rok do jesieni 1941 był najbardziej intensywnym okresem jego pisania. Ukazała się wtedy „Droga wiodła przez Narwik”, „Polish Invasion” o „najeździe” Polaków na Szkocję, przygotowywał do druku drugą angielską książkę o polskim wkładzie do wojny, „Poland fights back” (która wyszła, gdy był w Rosji); w „Kraju lat dzieciennych”, książce powstałej z jego inicjatywy ze wspomnieniami kilkunastu pisarzy (m.in. Kazimiera Iłłakowicz, Stanisław Mackiewicz, Jerzy Stempowski, Irena Tuwim, Karol Estreicher, Karol Zbyszewski) zamieścił jedną z najpiękniejszych swoich rzeczy. I jednocześnie regularnie pisał do *Wiadomości Polskich* artykuły i reportaże, przez które przewijała się nieustanna troska o młodych żołnierzy. Żeby oszczędzać ich życia i kształcić dokąd nie są w czynnej walce, aby dobrze służyli krajowi, gdy do niego niedługo wrócą. Przykładem marnowania tego młodego pokolenia była niepotrzebna, według niego, kampania norweska i dał temu wyraz w swej powieści, wywołując wzburzenie przedwojennej gwardii oficerskiej.

Byli wśród niej tępi rutyniarze, z których wielu nie powąchało wojny i teraz siedziało po biurach, albo ćwiczyło w obozach nowe wojsko, w dużej mierze złożone z ochotników- inteligentów, którzy ich drażnili i którym dla pokazania swego prestiżu, zatruli życie jak mogli, często za pomocą skostniałych przepisów. Należał do nich obowiązek nieustannego salutowania każdej wyższej szarży, co Anglików wprawiało w zdumienie, aż w końcu polskie dowództwo musiało z tego zrezygnować.

Szliśmy raz z Ksawerym, zagadani, ludną ulicą w centrum Londynu, pełną mundurów różnych nacji, gdy nagle stanął przed nami i zatorował nam drogę oficer z naszywką „Poland” na ramieniu. „Czekałem na was” – warknął na Ksawerego, który błyskawicznie zsalutował. „Gdzie on na ciebie czekał?” – zapytałam, gdy oficer odszedł, rzuciwszy na mnie złym okiem. „Zobaczył mnie z daleka i czekał czy mu się uklonię” – śmiał się Ksawery.

W Szkocji obaj z Karolem Zbyszewskim prowadzili własne wojny z oficerami, których nie mogli znieść. Czasem sprawa wyglądała poważnie. Karola w sądzie wojskowym wybraniał inny podchorąży, adwokat Tadeusz Zabłocki, przyjaciel z kijowskiego dzieciństwa, a Ksawerego ratował w ostatecznej potrzebie mój ojciec⁵, który był wtedy szefem sądownictwa wojskowego. W końcu Ksawery otrzymał glejt od samego Wodza Naczelnego, gen. Sikorskiego, który w pewnej chwili wypisał mu *laudatio* o jego postawie i wojennych zasługach. (Nie pamiętam kiedy to nastąpiło, chyba niedługo po pobycie w Rosji, gdzie Ksawery razem z amb. Kotem towarzyszył Generałowi)⁶.

Z latami niechęć Ksawerego do oficerów rosła i przemieniła się w obsesję, jak to u niego bywało. W chwili gdy zrywał z emigracją, stali się dla niego symbolem wszystkiego co widział jako jej grzechy.

Jednocześnie romantyczną miłością kochał wojsko. I chyba nigdy nie był tak szczęśliwy, jak w Norwegii, potem w Normandii, biorąc udział w inwazji Kontynentu. Gdy

5. Adwokat Stanisław Szurlej.

6. Po śmierci Ksawerego oryginał tego pisma oddałam jego bratu, który – zdaje mi się – gdzieś je ogłosił.

rannego przywieziono do Anglii i zobaczyłam go w szpitalu, leżał pobandażowany, obolały i promieniał.

Inwazja na Kontynent w 1944 r. dla wielu pierwsza polska wojna, dla Ksawerego stała się ostatnim szczęśliwym epizodem życia. Żadne z jego przyjaźni nie były tak serdeczne, tak wierne jak z kolegami, przeważnie młodszymi od niego, z którymi dzielił codzienność wojenną, wspólną walkę i niebezpieczeństwo, i nie kończące się rozmowy, zaczęte jeszcze w Norwegii, prowadzone dalej w Normandii, na postojach, w szpitalach, gdzie sam leżał i odwiedzał innych, o tym jaka będzie ta wymarzona Polska, jak ci wspaniali młodzi będą ją budować, jej służyć, nauczeni doświadczeniami wojny i Zachodu. Wracał do tego myślami w swych najgorszych chwilach „Nikt mi nie odbierze rany spod Falaise. (...) Cieszę się, że tam byłem, bo przed zranieniem biłem się kilka dni – i dobrze”. „Z tego co było, najbliży mi jest mój pułk...”

Nie był to „patriotyzm swojego szwadronu”, jak jeden z Mackiewiczów nazwał przywiązanie do wojennych przeżyć. U Ksawerego było to „braterstwo w rycerskiej potrzebie”, tkwiące korzeniami w historii własnej i narodu.

Do Rosji w 1941 r. Pruszyński pojechał bez entuzjazmu, ale z dziennikarską ciekawością. Decyzję właściwie powziął za niego prof. Kot, który go znał od jego uniwersyteckich czasów w Krakowie i chciał go mieć ze sobą w Rosji.

Czas ich przyjazdu tam był gorący, Niemcy zbliżali się do Moskwy i działy się rzeczy, w które Polacy z trudem mogli uwierzyć. Ich kulminacją był bankiet na Kremlu, wydany przez Stalina dla gen. Sikorskiego⁷.

Jeszcze tej nocy, zaraz po powrocie, podniecony Ksawery opisał mi to przeżycie. Przerazająca wspaniałość Kremla, gen. Anders, do niedawna na Łubiance, teraz stojący w trójkę obok Stalina i gen. Sikorskiego, tłumacząc ich rozmowę, toasty na rzecz Polski i poszczególnych osób, Stalin, przy

7. Opis tego bankietu znalazł się później w książce Pruszyńskiego „Noc na Kremlu”, wydanej najpierw po angielsku pod tytułem „The Russian Year” przez Roy Publishers w Nowym Jorku w 1944 r., potem w fatalnym polskim tłumaczeniu przez Oficynę „Rój” w Warszawie w 1989 r.

podawaniu ręki każdemu (w tym Ksaweremu), mówiący: – „Stalin”, carskie herby na stołowej zastawie...

Niedługo potem nastąpiła ewakuacja do Kujbyszewa i wstrząsające zetknięcie z łągiernikami, przemieniającymi się w wojsko. Ale choć Ksawery miał wiele wrażeń, w tym spotkania i rozmowy z pisarzami – Aleksiejem Tołstojem, Ehrenburgiem, Achmatową, choć ciągle był potrzebny w swej urzędowej roli *attaché* prasowego, w której bardzo przydatna była jego znajomość rosyjskiego; choć pracował z przejęciem, wydając pismo ambasady dla wojska *Polska* – czuł się w Rosji tak źle, że nieustannie alarmował Londyn, sięgając do najwyższych protekcji, by go stamtąd wyciągnąć, co było trudne z powodu sprzeciwów Kota. Na wiosnę 1942 zachorował ciężko na tyfus, a gdy z niego wyszedł, minęła polsko-rosyjska sielanka i razem z Kotem wrócił przez Bliski Wschód do Anglii. Wrócił bardzo zmieniony, co przypisywano reakcji po tyfusie. Nie była to jedyna wtedy przyczyna jego depresji.

Po raz pierwszy zaczęło dręczyć go rozdarcie, które przywiózł ze sobą z Rosji. Z jednej strony solidarność z tysiącami Polaków, tych których zostawił w Rosji, tych którzy wyszli z niej z wojskiem i tych, których zastał z powrotem w Anglii, tych wszystkich, którzy nie mieli złudzeń czym jest Rosja i do czego dąży. Z drugiej strony rosła w nim żądza, by wbrew wszystkim, dla ich dobra, którego nie rozumieją, wziąć na siebie ciężar walki (i stać się bohaterem narodowym). U nikogo nie znajdował zrozumienia dla swych planów, poza Słonimskim, który właśnie w 1942 r., założył pismo *Nowa Polska* przy poparciu rządu z prof. Kotem na czele, naciskanym przez Anglików, by „nie drażnić Rosji”. Zadaniem nowego pisma miała być walka z antysowieckimi *Wiadomościami* i reszta prasy, i opinii emigracyjnej, a celem redaktora – znaleźć się ze swoim piśmem na właściwym miejscu, gdy przyjdzie „nowe”. Nie bardzo to się Słonimskiemu udało, bo w *Nowej Polsce* pisali ci sami autorzy co w *Wiadomościach*, nie politycznie, nie bojowo, tylko literacko, a sam redaktor pilnie wystrzegał się jakiegokolwiek deklaracji i prawie nie odzywał się w piśmie, które nie przetrwało wojny.

Ksawery przestał pisać w *Wiadomościach* z rokiem 1943

(o ile pamiętam)⁸, a współpraca Słonimskiego z nimi zakończyła się wcześniej, w październiku 41 r. wierszem, poświęconym Broniewskiemu z ostatnią zwrotką: „Twoje to będzie dzieło i tobie podobnych, / Że się z gruzów podźwignie znów Rzeczpospolita, / Że na gruzach Warszawy, na zgłiszczaczach żałobnych / Nasz Londyn waszą Moskwę po polsku powita”⁹.

W *Nowej Polsce* Ksawery ogłaszał opowiadania, które nie zawsze były po myśli Słonimskiego. Gdy dał mu wstrząsającą opowieść o dwóch wybitnych żydowskich działaczach Bundu, Alterze i Erlichu, podstępnie zamordowanych w Rosji („Dwaj ludzie”), opowiedział mi potem, że Antoni nie bardzo miał ochotę na to opowiadanie „by nie zdrażniać” i w końcu się zgodził, gdy Ksawery mu przypomniał o kim w opowiadaniu jest mowa...

Parę miesięcy po powrocie Ksawerego z Normandii i rekonwalescencji po otrzymanej ranie, przyszedł koniec wojny i dla niego chwila ostatecznej i nieodwołalnej decyzji. Po niej już nigdy nie było odwrotu.

Prawie pięć lat później, z końcem 1949 r. angielska przyjaciółka Ksawerego, namawiała go do „wybrania wolności”. „Cecylia błagała, żebym poszedł przykładem innych moich kolegów na podobnych urządach. Ale to już nie. Trudno. Tyle racji jest przeciw, że gdyby była i jedna, to i tej wystarcza”.

Zycziwa i naiwna Angielka nie rozumiała, że dla Ksawerego nie było możliwe to, co było możliwe dla innych. On to widział głównie jako sprawę honoru, którego drugą stroną bywa pycha, by nie przyznać się do popełnionego błędu. Miało to jednak i inną praktyczną stronę, z której nie zdawał sobie w pełni sprawy.

Polscy pisarze, którzy przeżyli wojnę w kraju, zerwawszy z reżymem, mogli byli na Zachodzie, nawet nie włączając się formalnie do emigracji, pisać po polsku i wydawać książki, jednocześnie wchodząc w życie obcego kraju, by znaleźć w nim możliwość egzystencji. Zostawali urzędnikami, profesorami, czasem zaczynali od pracy fizycznej.

8. W 1944 r. *Wiadomości* przestały się ukazywać, ukarane przez Anglików za swą antysowiecką postawę.

9. Przypomniała to Maria Danilewicz Zielińska w swych „Szkiecach o literaturze emigracyjnej”.

Ksawery nie miał zdolności, ani kwalifikacji, ani temperamentu do życia w obcym świecie i dyscyplinie jakiegokolwiek zawodu. Przy jego praktycznym antytalencie i niecierpliwości, wszystkie pomysły, by gospodarować, hodować pszczoły czy jabłka na cydr (bo i to chodziło mu po głowie), należały do literackich fantazji. On mógł i umiał tylko pisać. Ale nawet ze swoją płynną francuzczyzną, nawet gdyby dobrze opanował język angielski czy inny, nigdy nie potrafiłby pisać w nim tak, jak to robił po polsku, tak by to stało się twórczością, dającą możliwość życia dla niego i rodziny.

Do polskiej społeczności z jej publikacjami i czytelnikami, nie tylko w Anglii, ale i tej, która rozproszyła się po świecie i którą łączyły te same przekonania polityczne i narodowe sentymenty, już nie miał dostępu. Tak jak on jej się wyrzekł, tak i ona wyrzekła się jego raz na zawsze. On nie mógł zrobić nawet tego, co wiele lat później zrobił Słonimski.

W pierwszych latach 50-tych odbywał się w Londynie kongres PEN-Clubu i w autobusie jadącym na jakąś sesję, Antoni – z którym nie spotykałam się od końca wojny, z wyjątkiem chwili, gdy dowiedzieliśmy się o wypadku Ksawerego – usiadł przy mnie i przez całą drogę z furią, aż zabawną u tego zawodowego kpiarza, wymyślał na „faszystę” i „żydowskiego endeka” Grydzewskiego. Gdy w 1970 r. przyjechał nawrócony do Londynu, z „Don Kichotem” w kieszeni, pierwszy jego telefon był do Grydzewskiego z prośbą o spotkanie. Grydzewski zaprosił go do restauracji, nie do „reakcyjnej” redakcji. Nawet dla Słonimskiego, który nigdy nie należał do głównego nurtu emigracji, jak Ksawery, tylko trzymał się na jej literackim uboczu, nie zniknął mur, dzielący go od londyńskich Polaków. Czując to, urządził swój wieczór autorski w sali angielskiego hotelu a nie w żadnym polskim lokalu.

Gdyby Ksawery żył dłużej, może udałoby mu się uniezależnić od łaski reżymowych posad i jakoś wegetować w kraju, aż doczekałby się czasu, by włączyć się do oporu i dysydenckiej walki, pewno siedziałby w więzieniu z podobnym uczuciem spełnionego obowiązku, jak kiedyś bijąc się, pisałby do *Kultury* pod przybranym nazwiskiem, wydawałby w Paryżu książki.

Śmierć spotkała go w najgorszej dla niego chwili. Nie

należał nigdzie, znalazł się na ziemi niczyjej, na złym skrawku historii, powoli zapadając w niepamięć współczesnych, nieznany młodszymi, z nie odjętym piętnem odstępstwa, na marginesie literatury, w której pragnął mieć czołowe miejsce. Zgubił przeszłość, nie doczekał przyszłości.

Pod koniec, już bez żadnych złudzeń i nadziei, chciał sobie chociaż odbudować prywatne życie. „Jestem sam, przeżył sam. Myślę, że ożenek byłby dla mnie najlepszy”, pisał w grudniu 1949.

Miał już rozwód z żoną, zakochał się gwałtownie i bez wielkiego powodzenia, co niedobrze wróżyło, jak sam wiedział i do innych jego udręk dodało jeszcze tę jedną.

Gdy jechał na ślub do Polski, nie był pewny czy do niego dojdzie i już robił plany „jeśli wrócę sam”.

Już z nikąd nigdy nie wrócił.

Stefania KOSSOWSKA

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Kraj

Ruch Stu

Drogi Redaktorze,

Parę słów o naszej linii politycznej wobec zbliżających się wyborów. Najpierw chcemy doprowadzić do uporządkowania sceny politycznej pomiędzy Unią Wolności a ROP-em Olshewskiego, a następnie stworzyć duży holding polityczny obejmujący wszystkie siły sytuujące się pomiędzy Unią Pracy a ROPem (z wyłączeniem tych dwóch ugrupowań, jako skrajnych i niezdolnych do kooperacji). Taka nowa jakość polityczna jest w stanie zdobyć ponad 30% głosów w wyborach, co oznacza ponad 40% mandatów w przyszłym parlamencie. Z takim też zamiarem weszliśmy do Akcji Wyborczej „Solidarność” i tworzymy z Andrzejem Zakrzewskim Zespół Usługowy dla tej akcji. 12 lipca ogłosiliśmy na konferencji prasowej jego powstanie.

W tym, co wyżej zarysowałem widzę więc nie tyle pewne rozwiązanie, co ścieżkę nadziei przy sprawnej socjotechnice. Dobrą socjotechniką można doprowadzić do sukcesu nawet siły z natury zdolne tylko do przegrywania...

W jednym jestem nieustępliwy, wszyscy muszą przyjąć zasadę minimum ideowego – minimum celów i zasad z wykluczeniem maksymalizmu ideologicznego. Właśnie w tych dniach rozstrzygnął się pierwszy akt przedwyborczego dramatu. „S” nie wzięła do łóżka z ROP-em, AW „S”, którą utworzyła pozwala dalej realizować nasz scenariusz, w którym jest, przy moim otymizmie, chociaż jakaś szansa na sukces.

Rolę Ruchu Stu widzę realistycznie. W sondażach jesteś-

my odnotowywani na poziomie 2 do 5% poparcia (2%, gdy respondentom przedstawiano listę partii, bez podania nazwisk liderów, 5% gdy nazwiska były podawane). To jest granica błędu statystycznego. Tyle, że większość odnotowywanych przez prasę i TV partii politycznych przedstawiających się jako centrowe lub prawicowe nawet tego nie miała: BBWR, Porozumienie Centrum Kaczyńskiego, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe Piłki czy konserwatyści Halla.

Naszym atutem jest to, że nie byliśmy zaplątani w potępieńcze swary, które od 1993 roku owocują kolejnymi klęskami; możemy dziś z wszystkimi rozmawiać. Moja ocena polskich polityków jest twarda: ci ludzie nie są zdolni do porozumienia. Gdy tylko zbiorą się razem przy stole to albo ktoś od razu wrzuci szczyra do zupy albo następnego dnia powie, że go pozostali otruli. Czekanie na nowe pokolenie – które Pan lubi postulować – jest mało obiecujące. Nowe pokolenie pod rządami tej koalicji po paru latach odnajdzie się już w Polsce jeszcze gorszej pod względem prywaty i samowoli niż ta, którą nasze pokolenie zbudowało. Zatem zaraża się tym politycznym syfilisem już w kołysce.

Jeśli Pan Redaktor ma tu wątpliwości, polecam przyrzeć się obecnemu ulubieńcowi publiczności – ministrowi kultury Podkańskiemu.

Na koniec, jako państwowiec ze szkoły Pana Redaktora dodam zgryźliwie, że oczywiście nie jestem zdania, że wszystko jedno, kto Polską rządzi, byle nie rządzą postkomuniści. Sam fakt, że od 3 lat rządy są stabilne już parę rzeczy rozwiązał, których rządy solidarnościowe nie przeprowadziły. Niemniej, pod rządami obecnej koalicji np. reforma administracji odległa jest i będzie, i od *Silnego państwa* – *minimum*, nad którym pracowaliśmy w grupie z Michałem Giedroyciem i do *Uczciwego państwa*, o którym pisał zespół Andrzeja Olechowskiego (może tylko przesadą był fakt wyznaczania standardów rzetelności przez Falandysza jako współautora). Każdorazowo władza chce reformować struktury, a dobór kadry i ich sposoby działania traktuje się faktycznie zgodnie z wygodą polityczną określonej ekipy. Michał Giedroyc przekonał mnie bez trudu, że jeśli chodzi o struktury, to wystarczy model roboczy – po napoleońsku „*On s'engage et puis on voit*”. Natomiast kadry i procedury są budulcem, który określa

jakość struktury i działań. Obecna koalicja, tak jak poprzednicy, doskonalili głowę i budowę organizmu zbiorowego bez korpusu i z dysfunkcją narządów ruchu. Nieprzypadkowo moje wystąpienie na ten temat w Instytucie Wałęsy zatytułowałem: „Uczciwi i skuteczni”. Występuje u nas negatywne sprzężenie zwrotne: im bardziej administracja jest nieskuteczna, tym więcej jest nieuczciwości, która próbuje ją udzielić.

Warszawa, 26.07.96

Czesław BIELECKI

P.S. Chcę Panu Redaktorowi powiedzieć, że z wiekiem staję się rasistą statystycznym. Tzn. nie mam uprzedzeń, ale kieruję się socjografią danej grupy. Gdy napotykam Wielkorusa liczę się ze statystyczną szansą, że w sprawach polityki zagranicznej czy podstępny, będzie znacznie inteligentniejszy niż sądzimy to po jego obyczajach i zalkoholizowaniu (vide Jelcyń przerywający rokowania z Czechenkami i zestawiający ich z europejskimi obserwatorami jako zakładnikami w Moskwie, by udać się na przedwyborczą wycieczkę do Czechenii).

Żydzi – zgodnie z moim statystycznym rasizmem – często-gęsto biorą się na własne efekciarstwo intelektualne i chcą być wciąż najlepsi, zamiast po prostu mieć klasę. Poza tym są fanatycznie sentymentalni w stosunku do siebie. Przykład tej manii dał właśnie Wiesiel w Kielcach. A co to, chrześcijanie nie ginęli w Oświęcimiu i nie mogą tego krzyżem zaznaczyć? Co za hucpa martyrologiczna.

Polacy – w złym i w dobrym – są przede wszystkim kompletnie nieodpowiedzialni, tzn. niestali w działaniach, lekkomyślni. Mam poczucie, że tym chętniej tracą wolność, iż mogą znów bohatercko o nią walczyć. Pijany krok w marszu do demokracji i wolności oraz ruchoma agenda (wszystkie terminy płyną). Uważam, że spełniliśmy już warunki przedrozbiorowe, na szczęście nikt nas jeszcze nie chce wziąć. Mam nadzieję, że to długie postscriptum było wystarczająco zgryźliwe, żeby się spodobać Panu Redaktorowi-Doktorowi.

Tyle, że jestem z Pana twardej szkoły: tylko z głębokiego sceptycyzmu rodzi się mój optymizm i wola działania.

Cz. B.

Z ukosa

Jest noc. Słyszę jak w pobliskim kasynie oficerskim brzęczą myte naczynia. Poczucie absurdu życia potrafi narodzić się nawet z brzęku widelców i łyżek, nie mówiąc już o nożach. Jeśli w taki czas przez pokój przefrunie mól, jest wielkości dużego drapieżnego ptaka, który zjada wełnę mojego życia.

Za ścianą cicho. Młodsza kobieta już nie zjada starszej. Hałasy dnia wiele tłumyły, ale nocą budziły mnie rumory nienawiści. One musiały słyszeć inne dźwięki z mojej sypialni, które po swojemu komentowały słowami – „pójdą do piekła”. By oszczędzić im i sobie cierpienie przeniosłem łóżko do drugiego pokoju, ale tam weszły mi na głowę bale w kasynie oficerskim. Przez okna kasyna wyływa gęsty zapach PRL, a ten zapach ma jeszcze swoje liczne zasiedziałe miejsca. I fruną przeboje z lat 60-tych. Zapachy i piosenki przenoszą mnie w młodość, a ta przymusowa nostalgia boli.

Tymczasem sąsiadka, staruszka, po jednej z awantur zrobiła co było w tej sytuacji jedynym rozsądnym wyjściem. Wzięła i umarła. Inna starsza kobieta z parteru wyszła w środku nocy przez okno. Przez półsen słyszałem jęki i wołania o pomoc. Przez półsen, coś powiedziało mi, że to pewnie znowu rozrabiają pijacy. Nie obudziłem się, nie podszedłem do okna. Czy sumienie dotyczy też półsnu? Został po niej ogródek przed domem, kwitnie i pachnie. Wielu pisarzy nie zostawi po sobie nawet tego.

Postawny, starszy mężczyzna z sąsiedniego domu widuje mnie w telewizji, dlatego zaczął mi się kłaniać. Dzisiaj poważnie traktuje się tylko ludzi, którzy moczą twarze w kanale telewizyjnym. Mały złośliwy piesek sąsiada należy do licznego stada domowych psów, które obok pijaków są udręką okolicy. Wściekle szczekają na wszystko co żyje. W krajach Europy o spokojniejszej historii nie widuje się takich psów. A ten mężczyzna nagle podszedł do mnie z widoczną determinacją. Poczulem zapach alkoholu. „Chciałbym się z panem redaktorem spotkać”.

„Tak jest” – odparłem krótko.

„Skąd Pan wie?” – zaniepokoił się.

„Poznaję byłych wojskowych” – odparłem, starając się by w tonie mego głosu nie było niechęci. Popatrzył łzawo. On tylko chce abym go opisał, bo właśnie umiera. „Rak mnie zre” – pokazał na okolice gdzie rozgrywa się tragedia – „Jak Pan widzi, ja nawet w finale pojądaczyć się nie mogę”. Każdy chce zostawić po sobie ślad.

Spotykam sąsiadkę, kobietę której mąż zginął w Katyniu. Użala się na biedę tego podwórka, opowiada, jakie cuda i luksusy były tu przed wojną, stróż siedział przy wejściu, a słońce grało w kolorowych szkiełkach na stalowej bramie, która dzisiaj jest goła i zardzewiała. „Zamienili ten kraj w publiczną toaletę, a nasze podwórko to izba wytrzeźwień i toaleta naraz” – mówi. A ja naiwny pozytywista przekonuję, że teraz trzeba wszystko brać we własne ręce. Przecież sam odmalowałem klatkę schodową, mieniłem się kolorami główne drzwi, a reprodukcje, które powiesiłem, nawet lustro, to wszystko zmienia przestrzeń publiczną będąc niczyją, staje się naszą. Wszyscy to w domu zaakceptowali, lecz oprócz sąsiada stolarza, nikt palcem nie ruszy. Czekają, jak zwykle, że ktoś za nich to zrobi. Tego nauczył socjalizm. Starsi mają tylko zapał w dokarmianiu bezdomnych kotów i gołębi, których tak wiele, że czasami boję się, że wbijając się w powietrze wyciągną mi chodnik jak dywan spod stóp. Tyle widzę wokół czułości dla zwierząt, a tak mało dla ludzi.

Po drugiej stronie murku, który osłania osierocony ogródek, od świtu do zmroku biesiaduje horda pijaków, jakże podobna do stada małp. W kącie przy bramie stoją pijacy przechodni, po dwóch, po trzech, śpieszą się, zostawiają puste butelki i swój mocz.

Pobliskie kino „Moskwa” jest już duchem, żyć będzie tylko chwilę w pamięci. W dziurze po nim stanie wielki szklany gmach. Przez kilka dni ruiny „Moskwy” opierały się wielkiej stalowej kuli, która waliła weń jak serce dzwonu. Ruina syciła ten fragment miasta iluzją końca świata. I chociaż świat nie kończy się tak łatwo, ten nasz odchodzi na pewno i na zawsze.

Dręczy mnie szczupłość mojego mieszkania, a przecież są to dwa pokoje i kuchnia. Jak przystało na architekturę z lat

30-tych, wszystko zaprojektowane niezwykle prosto i racjonalnie. Czasami odczuwam dojmującą potrzebę posiadania jeszcze jednego pokoju i balkonu. Ale uświadamiam sobie, że to złudzenie, bo naprawdę potrzebuję dodatkowej przestrzeni wewnątrz siebie i balkonu psychicznego, na który mógłbym wejść i zobaczyć się z boku. Tyle w nas złudzeń i pozorów, które karmimy zaspakajając głód rzeczy. Pragniemy jednak tak naprawdę czego innego, stąd nienasycone ssanie. Oto wielkie koło napędowe kapitalizmu. Patrząc jak gdzieś nas wszystkich przesuwa...

Poczucie sympatycznego absurdu gdy w sali ZLP odbywał się „akt kanonizacji” Jerzego Giedroycia, w związku z jego urodzinami. Wszelkie zbiorowe i gadane obchody obdarzają mnie dreszczem nonsensu. Jeśli się kogoś bardzo lubi i ceni, to czy nie można by się zebrać w dużym gronie i pomilczeć? Dlaczego taki przywilej mają tylko zmarli? Siedzę obok Czesława Miłosza i jego żony Caroll, mówię do niej szeptem.

– Czasami Pani wiele traci, ale czasami ma Pani szczęście, że nie zna pani polskiego.

– Coraz więcej, niestety, rozumie – mówi Miłosz.

On też kanonizowany, bo kończy lat 85. Kanonizacja podwójna. Potem kolejne wystąpienia, a ja myślę, skoro tak wszyscy cenią Giedroycia, to czemu go nie słuchają.

Ta sala pachniała świeżym tynkiem, gdy z placówki dyplomatycznej przyjechał Miłosz i tu wystąpił. Było to niemal pół wieku temu. „Był to piękny, chociaż już dojrzały mężczyzna, trochę chłopiący” – opowiadał mi kiedyś pisarz Andrzej Braun. „Miłosz nas młodych, nas wyspanych przez komunizm, gromił z pozycji sztuki. Słuchałem łapczywie, może coś powie, nareszcie dowiem się co robić?” A Miłosz mówił o metrum wiersza. Wtedy Braun myślał, że to była pogarda w stosunku do nich, teraz wiem, że to był unik. Braun czuł, że w tym czasie wciąga go jakaś wielka mroczna siła, której nie mógł się przeciwstawić. Miłosz wkrótce ucieknie z Polski, by niezwykle przenikliwie opisać proces „zniewalania umysłu”, którego ofiarą, co uczniwie przyznaje, on też mógł paść.

Słuchając wystąpienia przeglądałam świeżo pożyczony z

biblioteki tom wierszy o Bolesławie Bierucie. Przez cały deszczowy lipiec siedzę po uszy zanurzony w tamtym czasie, pisząc książkę o stalinizmie. Próbuję polski stalinizm zobaczyć przez odsłonięte okna domu na ulicy Iwickiej w Warszawie, gdzie znani pisarze zostali dobrą wolą partii zgromadzeni w jednym budynku, a gdzie ja spędziłem kawał swego życia. Coraz bardziej czuję, że to nie ja piszę książkę, ona mnie pisze, czy raczej bazgrze. A w oknach tamtego domu zaskakująco wiele mroku. Jeśli mimo wszystko książkę ukończę, dam tylko pokarm dla hien, kórych dzisiaj tak wiele. Jak wampiry do krwi zlatują się do ludzkich słabości, a tamten czas był czasem powszechnego upadku intelektualistów. Jak o tym pisać? Gdzie leży granica ujawniania prawdy, w imię prawdy kaleczenia pamięci bliskich i dalekich ludzi, przedtem i potem niemal zawsze tak publicznie uczciwych. To właśnie wskazuje na szczególność tamtego czasu i jego strasznego ciśnienia. Żyjący w innych okolicznościach nie mogą sobie tego wyobrazić. I co jest prawdą, jeśli nie możemy jej ujawnić żywej, w swoim gęstym otoczeniu, a tylko po latach oglądamy jej szczątki, więc to jednak zawsze tylko ekshumacja? W tomie wierszy o Bierucie, są utwory ludzi potem znacznych, niektórzy są na tej sali. Pokazuję mojemu wielkiemu sąsiadowi wiersz Jarosława Iwaszkiewicza, bo to jednak utwór szczególny.

„List do prezydenta”

*Bo kiedy, Prezydencie, Ty dobrze wiedziałeś
Jaką trzeba iść drogą i jak nas prowadzić
Ja zbyt zaufałem przebrzmiałej mądrości,
Zmęczone oczy pasąc piękności widokiem –
I olśniony tęczami wtedy nie dostrzegłem
Ugiętego pod jarzmem prostego człowieka.
Ja wiem, ja teraz już dużo rozumiem,
I staram się zrozumieć to, co przeminęło,
Nie oglądam się nawet, lecz trochę mi szkoda
„Zachodów promienistych” i „róż” i „marmurów”...
I widzisz, Prezydencie, mnie dzisiaj jest trudno,
Ja już nie jestem młody, a iść prędko trzeba,
Myślałem, że już w życiu coś niecoś zdobyłem,*

*A tu trzeba pojmować wszystko od początku.
Ty wiesz, że nie chwaliłem wielkich tego świata,
I ten list do Ciebie nie dlatego piszę,
Że stoisz w ostrym świetle niby na cokole. (...)*

Starczy znęcania się nad starym, świetnym pisarzem, który był zawsze na dworze i wbrew temu co pisze w wierszu, chwalił zawsze możnych tego świata. Niemal wszyscy poszli wtedy tą drogą. Ale Iwaszkiewicz szedł nią do końca, co nie zniszczyło jego twórczości. W końcu po czasie tylko to zostaje, lub nie zostaje, kilka zdań. Ten wiersz jest wzruszającą wykładnią zniewalania umysłu i budowy świata od nowa. Pomyśleć, że ten sam mechanizm stworzył łagry i piramidy czaszek w Kambodży. Życie człowieka, a tym bardziej jego twórczość należy oceniać globalnie, jeśli w ogóle mamy prawo wydawać wyroki. Tylu teraz jest w Polsce sędziów, a zarazem tak wiele obojętności na nawet najsurowsze wyroki. Jak źródlanej wody szukam ludzi, którzy nie oceniają, a o innych mówią dobrze. Już wiem dlaczego najbardziej odpoczywam patrząc w oczy psa mojej znajomej. Ten pies to rzadki w Polsce okaz zwierzęcia nie zneurotyzowanego, może dlatego, że właścicielka nie jest Polką?

U stóp wakacji wzbiera brzuch partii budowanej na sukcesie wyborczym Jana Olszewskiego, oto jeden z mecenasów, który stał się namiętym sędzią. To brzuch Ruchu Odbudowy Polski (ROP). I jest poruszenie wypowiedziami szefa ursuskiej „Solidarności” Zygmunta Wrzodaka. Na uroczystościach upamiętniających czerwiec roku 76, w rocznicę wystąpień robotniczych w Ursusie, kiedy narodził się KOR, szef ursuskiej „Solidarności”, korzystając z tej rocznicy, powiedział: „Sfrustrowani ateści i doktrynerzy postanowili wykorzystać Ursus i Radom dla swoich własnych – niepolskich – celów politycznych. Kuroń, Michnik i towarzysze, zapiekli w swej nienawiści do polskości, cynicznie rozegrali nasze nieszczęście, krew i naiwność. Deklarowali faryzeuszowską pomoc, by podstępnie wkupić się w nasze polskie, katolickie i robotnicze środowisko. Wszystko po to, by dorwać się na naszych plecach do władzy. Dogadać się ze swoimi ideowymi pobratymcami, komunistami” – i powiedział też – „różowe hieny polityczne KOR, żerujące na robotnikach,

Kościele i ojczyźnie, miały jeden cel – dorwać się na naszych plecach do władzy”.

Owe słowa, jakby wyrwane z trzewi partyjnej propagandy z marca 68, łowił w swoje obszerne uszy prymas Glemp. I chyba mu się podobały, bo potem pytany nie chciał ich skomentować, a w duchu pewnie myślał: „dobrze chłop mówi, sam bym tak powiedział gdybym mógł”. Szef „Solidarności” Marian Krzaklewski publicznie umywa ręce, a mecenas Jan Olszewski nawet Wrzodaka rozumie, wedle mecenasa to, co mówił: „mieściło się w najlepszej tradycji ruchu robotniczego”.

Tak Zygmunt Wrzodak zrobił nagle wielką karierę, ale czy dogoni księdza Jankowskiego, nie sądzę, bo ksiądz ma lepszą ambonę. Ksiądz po ostatniej wpadce, przeprosił, ukorzył się, ale jest niepoprawny, bo znowu nagadał piramidalnych bzdur, Michnika porównał do choroby nowotworowej, już woli Urbana. Ja też wolę Urbana od księdza Jankowskiego. Na tym polega urok nowych czasów, że wolimy naszych dawnych śmiertelnych wrogów, od wczorajszych przyjaciół.

Najbardziej obrzydliwe paszkwile jakie na własny temat przeczytałem ukazały się w *Tygodniku Solidarność* i w *Tygodniku Powszechnym*. To też znak czasu, w jakimś przewrotnym sensie zabawny.

– Czy dasz w zęby felietoniście Jerzemu P. – pyta mnie kilka osób. Nie dam. Przy tak niehigienicznym trybie życia jaki prowadzi, nie może mieć już zębów. A z paszkwilami nie wolno dyskutować, trzeba im pozwolić by zgniły. Ich autorów zresztą też zwykle toczą procesy gnilne. Chorobą opozycji był brak wzajemnej krytyki, chorobą nowych czasów jest, że wszyscy o wszystkich źle mówią, a zawiść i ambicje straciły formy. Obsraliśmy się przez te kilka lat dokładnie nawzajem, nie ma już nigdzie czystego miejsca. Nasi dawni wrogowie nawet gdyby chcieli na nas napluć, a nie chcą, to i tak nie znajdą już wolnego miejsca.

Rocznica pogromu w Kielcach. Czasami wydaje się, że Pan Bóg wymyślił Żydów, by pognębić Polaków. Nawet fakt, że Oświęcim był na naszej ziemi, powoduje nieustanne perturbacje, a czas tylko je powiększa. I znowu świat stawia pytanie, czy Polacy są antysemitami? Pytanie jest źle posta-

wione, nie wolno tak globalnie pytać. Już prędzej, czy istnieje dzisiaj w Polsce jakiś problem z uprzedzeniami na tle rasowym? Odpowiem, tak, ale on przypomina jeden, wielki supeł. Przecież w Polsce nie ma Żydów, więc to gra uprzedzeń z duchami.

W Polsce nie mieszka więcej głupoty niż gdzie indziej, ale posiada ona tu niezwykłą pewność siebie oraz witalność. Co inni mówią w myśli lub szeptem, tu od razu się wykrzykuje. Laureat nagrody Nobla Eli Wiesel, też nie powinien mówić na głos, że krzyże w Oświęcimiu to dla Żyda obelga. Jeśli tak czuje, mógł to powiedzieć szeptem, a nie na kieleckich obchodach. Rozwinął płachtę, na którą oczywiście ruszył z kopyta i ślepo nasz głupi byk. „Co nam żydki będą dyktować, gdzie mamy stawiać krzyże”. Przez rok będą się brandzlować tymi słowami Eli Wiesela. A on i jemu bliscy, będą się karmić potwierdzeniem, że Polacy to... itd.

Delektuję się od dawna dziennikami Andrzeja Bobkowskiego. Na wszystkie polskie plagi można u niego znaleźć trafione w punkt fragmenty. Co szczególnie zdumiewa, bo on strzela do „lotek” w roku 1940 jadąc na rowerze przez struchlałą Francję, której gnaty łamią Niemcy. Oto dobry przypis do naszego tematu, „ten brak taktu, który tak często my zarzucamy Żydom. Jesteśmy do nich bardzo podobni, tu pewnie znajduje się źródło naszego antysemityzmu. (...) A my? Wieczny stosunek zbankrutowanego arystokraty do Żyda-pachciarza. Patrz Żydzie na portrety moich przodków, patrz na broń na ścianach, patrz na blizny odniesione w pojedynkach o honor – pożycz chacie parę groszy”.

Ileż ja takich scen widziałem, ucieleśnionych kolorowo i orientalnie, gdy przed laty bawiłem w Indiach z polską wycieczką handlową. W polskiej kolejce, która dzierżyła kryształ i aparaty Zenit do sprzedania rozpartemu w fotelu Hindusowi, ileż było dla niego pogardy! Jak wysoko sterczały stojącym husarskie skrzydła! Nie zapomnę tego do końca życia, a obraz ów będą restaurował, bo odchodzi on jednak w przeszłość. Młode pokolenie jest inne.

Boleją nad tą młodzieżą pisma narodowo-prawicowe, odnotowują, że nieocenionej w demaskowaniu spisków *Gazecie Polskiej*, przybył przyjazny konkurent w postaci pisma *Nasza Polska*. Jeszcze niedawno ten tygodnik był strawny,

dzisiaj można nim truć szczury. I jak zawsze, w redakcji jest ktoś kogo znam, kto przed laty wydawał mi się rozsądny. Jak ci ludzie musieli się kiedyś męczyć powstrzymując tak długo przed wydaleniem swoich fobii.

Redaktor naczelny Piotr Jakucki odmawia litanie grozy, której treść w podobnych wariantach powtarza całe patriotyczne towarzystwo: „Dziś Polakami nie rządzi już patriotyzm i tradycja, moralność i wiara. (...) Dziś u młodych, choć nie tylko, patriotyzm został zastąpiony przez mamonę, ojczyzna przez europejskość, godność narodowa przez wygodnictwo i kult pieniądza. Dzisiejszego Polaka interesuje przede wszystkim własny portfel i własny talerz. Ojczyzna? To dla większości puste słowo. Obojętne czy naszym krajem rządzą Polacy czy też antynarodowi komuniści, Niemcy, Żydzi”. Temat żydowski zajmuje okazałą część tego pisma, które jest jednym z dzwonów, które biją na alarm – ojczyzna nasza umiera. W piśmie ma stały felieton, kiedyś dobry reportażysta Krzysztof Kąkolewski. Uważa, że są dwie Polski, jedna ta komunistyczna, a druga narodowa, granice między nimi są „jak między Koreą Północną, a Południową”. Ta granica przechodzi nawet „między domami, a nawet między pokojami poszczególnych mieszkań”? Tak pisze Kąkolewski. Oto nagle zamieszkałem w Korei Północnej, gdzie z pewnością Kąkolewski umieściłby też Jerzego Giedroycia i całą paryską *Kulturę*. I na co nam przyszło? A z drugiej strony, biedny człowiek ten Kąkolewski. Gdzie się nie ruszy widzi granicę między Koreami. Jak z czymś takim żyć?

Nawet jeśli była przepaść między postkomunistami a tymi co buntowali się przeciw komunizmowi, to właśnie populizm ROP-u, bredzenia księdza Jankowskiego i Wrzodaka, majaczenia kilku pism prawicowo-narodowych, grudowatość Wałęsy, to wszystko tę przepaść zasypało. I naturalna ludzka skłonność do idealizowania przeszłości i równie naturalna potrzeba poczucia bezpieczeństwa, którego nie daje czas przebudowy. Nie można więc wszystkiego zwać na „okrągły stół”. A na tle polskiego bęcwalstwa narodowego, postkomuniści zyskują na wszystkim, a nawet na urodzie! To jest doprawdy okropny spektakl, tym straszniejszy, że kto by się tego kiedyś spodziewał, no kto?

Dzielę pewne obawy co do naszej Ojczyzny z *Naszą*

Polską, ale jakoś inaczej. Co dla nich najważniejsze, niech sobie umiera. Co im zawadza, dla mnie jest nadzieją, bo nie mam wątpliwości, że nadzieją Polski jest najmłodsze pokolenie. Ich patriotyzm nie jest martwy, ma tylko inny kolor, smak i słuch. Jest otwarty na świat, a nie zamknięty jak puszcza sardynek z XIX wieku.

Myślenie spiskowe rośnie tu i ówdzie, wydając zdumiewające owoce. Wojskowy grunt bywał w czasach PRL-u niezwykle żyzny dla paranoi. Przeglądam nowe pismo *Magazyn Militaria*. Ale niektórym pokiełbało się w głowach! Kwitnie tam spiskowe myślenie, ale odmienne niż w gettach prawnicowo-narodowych. Wojskowi zachowali pewne dawne cechy, innych chirurgicznie się pozbywając. Są antykomuniści, ale też antykościelni, nie lubią Wałęsy, właściwie już nie ufają nikomu, piszą: „W plugawej walce na pomyje, której jesteśmy świadkami od kilku lat nie wiadomo już, kto i kogo zdradza”. Wnioski są takie, że wszyscy zdradzają wszystkich, tylko *Magazyn Militaria* jest godny zaufania. Miesięcznik chłascze całe polskie społeczeństwo, bezlitośnie. W piśmie jest wkładka erotyczna. Nieszczęsna, niezbyt ładna dziewczyna z wojskowymi atrybutami obnaża się nieporadnie, jakby obiektyw przyłapał ją kiedy rozbierała się w ginekologicznym gabinecie. Jakież osobliwe postacie przybiera nasza wolność!

I jak tu nie wrócić do księdza Jankowskiego. Wielebny z Gdańska ostatnio uwierzył, że Żydzi chcą nam zabrać Oświęcim. Polska posiada tak mało atrakcji i miejsc rozrywki, a tu żydki po nocach próbują podkraść taką międzynarodową atrakcję.

Książd Jankowski i Wrzodak bywają idolami grup narodowo-prawniczych, a dla ludzi o poglądach liberalnych są uosobieniem polskiej ciemnoty. Ta ciemnota ma jedną zaletę: dużo gada, mało robi, dużo pluje, ale zęby ma jak niemowlę. Nikt nie wie jaka jest skala zjawiska. Dlatego intelektualści piszą listy protestacyjne, bohaterowie podziemia Frasyniuk i Bujak rzucają na Wrzodaka kłatwę. Spora grupa dawnych bohaterów, ludzi-symboli, jest tam nawet świetny Bogdan Borusewicz, piszą list w którym oświadczają, że „nie podadzą mu ręki”. Proszę, jacy eleganccy, może dlatego, że sami jako postowie są nietykalni więc nie chcą tykać. Wrzodak zasłużył

na mordobicie, a oni mu ręki nie podadzą. Listy piszą oburzeni intelektualiści. Proponowano mi niedawno, abym podpisał jakiś list, bodaj przeciw ministrowi kultury Zdzisławowi Podkańskiemu. To rzeczywiście groteskowa postać. Nie podpisałem. Jeśli nic za to nie grozi, takie listy są tylko towarzyskim salonem intelektualistów, trochę śmiesznym w swoim patetycznym geście.

Patrzę na szlachetną twarz Władka Frasyniuka. Ja mu nadal pamiętam jego heroiczną przeszłość, ale jestem chyba tylko żalonym mamutem pamięci. Jego wrocławska towarzyska podziemia Basia Labuda jest teraz dekoracją kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego, oszalała z niechęci do Polski wałęsowskiej, zaściankowej i patriarchalnej, zakazującej aborcji, ona feministka, tańczy teraz na dworze Kwaśniewskiego. Ale się porobiło! A Wrzodak dobija mit „Solidarności”, nie sztyletem jak torreador na corridzie, lecz młotkiem.

I proszę, KOR-u bronią nawet postkomuniści. SDRP tworzy nowy program, gdzie już śmiało atakuje się przeszłość, że była zła. „Stalinowska wersja stalinizmu narzucona Polsce po wojnie przyniosła wiele niegodziwości i zła”. Coś takiego?! SDRP ostrzega, że narasta w Polsce „atmosfera nietoleracji, a nawet nienawiści wobec inaczej myślących”. I dalej wrzeszczące zdanie: „atakowani są ludzie uczciwi i zasłużeni dla Polski”. To o działaczach KOR-u.

Już widać, że na przyszłoroczne wybory do parlamentu, opozycja w wielkich bólach, w licznych szeptach a potem w krzykach, urodzi trzy bloki. Można powiedzieć, że o dwa za dużo, by pokonać postkomunistów. ROP nie chce wejść do Akcji Wyborczej „Solidarność”, on może najwyżej ją zjeść. Unia Wolności marginalizuje się i jest skazana, by iść własną, coraz chudsza drogą. Gdyby to wszystko połączyło się do kupy, to można by pokonać postkomunistów, ale jak połączyć tak sprzeczne żywioły? I co potem? Już w ramach Akcji Wyborczej „Solidarność” są krzyczące sprzeczności, bo co Ruch Stu ma wspólnego z dzisiejszym związkiem zawodowym „Solidarność”, który jest przeciwnikiem gospodarki rynkowej? Jeśli obrona reform i obecnego kursu w gospodarce jest sprawą najważniejszą, to należy sprzymierzyć się z postkomunistami. A nie. Nie wolno.

Wszystko tak się rozmydliło w naszej polityce, że nie

można o niej mówić, nie puszczając z ust baniek mydlanych.

Komunizm wsysał w politykę nawet ludzi do szpiku kości apolitycznych. Ja kiedyś byłem przesiąknięty polityką całkowicie, teraz mam tak mało politycznych emocji, że nawet chwilami czuję niepokój. Już tylko poczucie obowiązku każe mi oglądać naszą polityczną scenę. Najdziwniejsze, że tak skarłały emocje wobec postkomunistów. Do prezydenta nie czuję nic, jakby mi znieczulili tę część ciała, widzę, że zachowuje się poprawnie, wmontował sobie w głowę liberalno-europejski komputer w pełni kompatybilny z siecią komputerową Zachodu. Jednocześnie z wielu źródeł słyszę, że jego dawna partia, że postkomuniści, koalicja rządowa, po cichu wszystko obsadzają swoimi. Dlaczego nie drą mi się szaty ze zmartwienia? Czy dlatego, że widziałem i widzę, jak nasi wydzierali i obdzielali się wszystkim nawzajem, a tak rzadko kryterium były umiejętności? W zbyt wielu miejscach i wariantach to widziałem, by zapomnieć. Kiedy więc mówi się, że postkomuniści nie mają ideologii, są cynnikami, to ja pytam: a kto teraz nie jest? Nie są może cynnikami nawiedzeni z partii skrajnych. Ale jak na nich popatrzę, jak ich posłucham, to już wołę cyników. Oni przynajmniej wiedzą, że nie wolno zatapiać statku, na którym się płynie robiąc interesy. To ich cynizm każe im dzisiaj być za włączeniem nas do Wspólnoty Europejskiej i NATO. A w *Dzienniku Katolickim* mogę sobie przeczytać takie oto słowa, bynajmniej nie cyniczne: „Obecnie III Rzeczpospolita pod obce dyktando dostosowuje prawodawstwo do 'standardów' Unii Europejskiej zamiast tworzyć własne. Niepostrzeżenie rozmywa się unitarny charakter państwa, tworząc tzw. euroregiony. Hanna Suchocka (UW) wnioskuje, aby nowa konstytucja upoważniała władze do cesji suwerenności na rzecz struktur międzynarodowych itp. itd. Na traktaty rozbiorowe przyjdzie czas. A może będą nawet niepotrzebne?”

Jan Parys, strach pomyśleć kiedyś minister obrony, widzi same upiory w Unii Europejskiej, z upiorem pedalskim na czele: „biurokraci próbują zmusić wolne narody do uznania zбочzeń seksualnych za związki małżeńskie”. Jednym słowem czeka nas w tej Europie tylko Sodoma i Gomora. Ruch Odbudowy Polski, prawica narodowa, Jan Parys i jego koledzy,

jak przejmą władzę, to nas poprowadzą inną, polską drogą...

Mimo lipca i wakacji wybucha afera z dziennikarzami telewizyjnymi, którzy mieli w klubie „Dekadent” bawić się ze znanymi postaciami warszawskiej mafii. Co za czasy, Warszawa ma swoich Al Capone, którzy jednak mają swojskie pseudonimy, „Masa” i „Kiełbasa”. Nasza dzielna policja oskarża ludzi, że bawią się z nimi w jednej knajpie, lecz ani im w głowie ich zamykać. Ameryka! I znowu, jak w przypadku sprawy Oleksego, nie widać jasności, jest ciemność. Czy minister sprawiedliwości sprawę ujawnił, by skompromitować dziennikarzy, którzy nie są przyjaźni postkomunistom? A może rzeczywiście coś jest na rzeczy? *Mass media* cieszą się sporym zaufaniem społecznym, bo patrzą na ręce naszej demokracji. Czy to próba stłuczenia im okularów. Po takiej „bombie” znowu przyrośnie grupa obywateli, którzy w nic i nikomu nie wierzą.

Czy Stocznia Gdańska, kolebka „Solidarności” tonie, bo pada ofiarą wolnego rynku, czy to jest spisek byłych komunistów? A może to jedynie nieudolność? Tu też mgła. Już nie czuję emocji, nawet wobec Stoczni, gdzie przeżywałem największe swoje wzruszenia. Ale to było w innym kraju, w innym życiu.

„Tu jest witalność, tu ludziom jeszcze o coś chodzi” – tak wzdycha wielu przybyszy z Zachodu, po krótkim w Polsce pobycie. Rozmawiam z Jonathanem Carollem, autorem światowych bestsellerów. Silny facet, kiedyś bokser, lubię połączenie sprawności fizycznej z umysłową. Wydaje się zamknięty jak bunkier, ale kiedy otworzy stalowe drzwi widać ile w nim ciepłych miejsc. On też jest pod wielkim wrażeniem polskiej witalności. Moja przyjaciółka, świetna amerykańska dziennikarka, też poruszona polską witalnością. Była tu ostatni raz kilka lat temu. „Ruszyliście bardzo do przodu” – mówi. „Tylko nie idźcie amerykańską drogą”. Ostrzegają wszyscy.

Ciekawe, że my sami nie widzimy się tak entuzjastycznie. Czyżbyśmy więcej widzieli, na przykład, że wiele z tej energii ma charakter autodestrukcyjny. Partie prawicowo-narodowe uważają, że Polska jest rozkradana, demoralizowana, zmierza do katastrofy. Ludzie o poglądach centrowych, liberalnych

albo lewicowych, ubolewają nad upadkiem cnót obywatelskich i chamstwem, które bujnie rośnie na bagnach naszego kapitalizmu.

A Sławomir Mrozek z dalekiego Meksyku wraca na łono ojczyzny, w której w język powszechny weszło powiedzenie: „to jest jak z Mroźka”. Pisarz uciekł najpierw z komunistycznej i prowincjonalnej Polski, gdzie jak przyznaje, sam przez chwilę wdepnął w g... A potem czmychnął z dekadentycznej Europy, do Meksyku, gdzie też się rozczarował. Mówi: „Polska ma witalność, której gdzie indziej zabrakło. Nie ma jeszcze tego zmęczenia wolnością, przesytu dobrobytem i strasznie męczącego pytania: co dalej? (...) A w Polsce ciągle jeszcze są marzenia, wizje, są wielkie aspiracje”. Jak Mrozek pomieszka sobie w Krakowie, a tam wraca, to ciekaw jestem czy mu ta opinia nie odfrunie. A na razie stał się konserwatystą. Opisuje krach wszelkich zasad i wartości, i globalny kryzys naszej cywilizacji. Odkrywa co świat uważał za oczywiste jeszcze w XIX wieku: „że ludzie nie są równi”. To ciekawe, że dzisiaj takie oświadczenie ma wymiar nonkonformistycznego odkrycia Ameryki. Ale pisarz nie wie jakie wnioski z tego można wyciągnąć. „Chyba żadnych wyciągnąć się nie da” – mówi, ale to chyba nie jest prawda. Bo logicznym wnioskiem jest powrót do przeszłości. Tylko, że tego się zrobić nie da i tego robić się nie powinno. Zgodzę się, za równość płacimy wysoką cenę, ale to jednocześnie największy sukces naszej epoki. Można więc sobie poważnie pożartować, śmiertelnie poważnie, co robi Mrozek w wywiadzie, ale oprócz paradoksalnego piruetu, który wykonał, nic z tego nie wynika, oprócz znaku, że sam się źle czuje i nie może sobie znaleźć miejsca w świecie. Świetnie go rozumiem.

Jadę 45 kilometrów, za Warszawę, na prawdziwą wieś. Tak blisko stolicy, a pachnie XIX wiekiem, ten zapach przeganiają sunące piaszczystą drogą w obłokach kurzu samochody prowadzone przez pijanych w dym kierowców. Jest niedziela. Karłowate i nieładne, ale nie biedne gospodarstwa. Las pełen jest śmieci. Widać miejsca, gdzie chłopi podjeżdżali by je zrzucić. Opakowania jednorazowego użytku zalały polską wieś, a ona zachowuje się jakby las i okolice też były do jednorazowego użytku.

Polska prowincja od razu uświadamia nam, że jest wielkim problemem prawie nie do rozwiązania. To jedna z pętli na szyi tego kraju, której nie widzimy, bo na szczęście wisi na niej luźno. I być może kiedyś nagle zniknie. Faktem jest, że o wiele mniej młodzieży wiejskiej idzie na studia niż przed wojną. Piją niemal wszyscy, jest całkowity upadek dawnej wiejskiej kultury, a w to miejsce kanałami telewizji wpłynęła pustka. Każdy chłop, którego zagadnie się o naszą politykę powie, że to tylko walka o stołki. Nie zauważyli czy zlekceważyli, że Premier RP był podejrzany o szpiegostwo na rzecz Rosji, bardzo dokładnie natomiast pamiętają, że gen. Jaruzelski oraz Wałęsa dostali od Sejmu dożywotnią pensję. Czyli wszyscy w mieście dogadali się kosztem wsi. Pamiętają wysokość tej pensji i przeliczają co mogliby za nią kupić.

A jednak ta wieś też się przesunęła do przodu, mimo wszystko. Podobnie jak w miastach część ludzi sobie radzi znakomicie, część fatalnie, nikt jednak nie jest głodny.

Dobry występ Polaków na Olimpiadzie w Atlancie. A co mówią nasi medaliści robi sympatyczne wrażenie. Mija czas zapaści w naszym sporcie, te wyniki są znakiem, że coś w Polsce „zaskoczyło”. Sport był kiedyś jednym z narzędzi propagandy. Doprowadzono nas do tego, że kibicowaliśmy przeciwnikom naszych zawodników. Teraz już są inne czasy. I mamy znak, że tworzą się nowe mechanizmy, że mięśnie, a nawet serce nowego modelu ekonomicznego i społecznego zaczyna pracować. Sportowcy mówią jak uczyli się inwestować w siebie, liczyć tylko na siebie. Są przy tym zwykle bardzo rodzinni, medale dedykują swoim dzieciom. Ojczyzna to dla nich mniej orzeł na biało-czerwonej fladze, a bardziej grupa najbliższych. Dają przykład, że jednak nie jesteśmy gorsi, a to poczucie gorszości, przy wielkich ambicjach, było dotychczas gorzkim polskim tłem.

Trudno nie patrzeć na to z sympatią i z pewnym optymizmem, oraz z nadzieją, że nas nie zjedzą z obu stron marginesy. One łatwo w naszych oczach rosną, tak wiele gadając a nawet krzycząc. Zdrowy rozsądek ma tę cechę, że zwykle milczy, więc łatwo o spaczoną perspektywę.

Polska polityka ekologiczna

Polityka ekologiczna ostatnich kilku lat spotyka się w Polsce z zasłużoną krytyką. Zaniepokojenie wzbudza niedocenianie rozmiaru katastrofy ekologicznej i jej konsekwencji. Degradacja polskiej przyrody nie uległa niestety zahamowaniu, wzrasta liczba gatunków zagrożonych, coraz większa powierzchnia lasów dotknięta jest skutkami zanieczyszczeń (w ciągu zaledwie jednego roku powierzchnia lasów dotkniętych chorobami zwiększyła się o 12,8%), zamierać zaczęły także lasy liściaste. W rejonach klęski ekologicznej (w których żyje przynajmniej 35% Polaków) średnia życia jest niższa nawet o osiem lat, nikt wreszcie nie jest w stanie przewidzieć konsekwencji jakie będą miały dla przyszłych pokoleń Polaków zaburzenia genetyczne spowodowane zanieczyszczeniami. Straty wymierne w sensie ekonomicznym, spowodowane degradacją środowiska naturalnego, pochłaniają zdaniem niektórych ekspertów nawet 20% produktu krajowego brutto. Przy podobnym stanie środowiska naturalnego zdziwienie wzbudzać muszą pełne samozadowolenia ministerialne deklaracje na temat polityki ekologicznej państwa.

Wśród zarzutów wysuwanych wobec poczynań Ministerstwa Ochrony Przyrody, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa najczęściej wymienia się: niewywiązanie się z obietnic powiększenia Białowieskiego i Bieszczadzkiego, i powołania Mazurskiego Parku Narodowego, brak kompleksowych programów gospodarki energetycznej i surowcowej oraz koordynacji w gospodarowaniu zasobami wodnymi, brak koncepcji ograniczenia przyrostu odpadów zarówno komunalnych jak i przemysłowych, złą politykę ekonomiczną charakteryzującą się m.in. brakiem mechanizmów podatkowych sprzyjających inwestycjom proekologicznym (zbyt niskie opłaty i kary nie motywują do instalowania filtrów czy budowy oczyszczalni), rozwiązanie Krajowego Centrum Edukacji Ekologicznej, zahamowanie programu czystej produkcji, a także niepowołanie Głównego Konserwatora Przyrody (funkcję tę obecnie minister sprawuje osobiście).

Rozgoryczenie społecznych organizacji ekologicznych pogłębia fakt, że jakże często w ostatnim czasie oficjalne deklaracje stoją w jawnej sprzeczności wobec podejmowanych działań. W jakim sposób można pogodzić uporczywą odmowę powiększenia Białowieskiego i Bieszczadzkiego, i powołania Mazurskiego Parku Narodowego z zapisem mówiącym, iż „powołanie nowych parków i powiększanie istniejących stanowi podstawowe cele polityki ekologicznej państwa” (Program wykonawczy do polityki ekologicznej państwa do 2000 roku, Załącznik 2 do oceny realizacji Ustawy o Ochronie i Kształtowaniu Środowiska)? Jak interpretować wobec decyzji przyjętych przez Ministerstwo w sprawie Białowieży przyjęcie przez Polskę 4,5 miliona dolarów z Globalnego Funduszu Powierniczego Ochrony Środowiska (GEF) na realizację „Projektu ochrony leśnej bioróżnorodności biologicznej” w celu wspierania prac nad zachowaniem najcenniejszych ekosystemów leśnych w Puszczy Białowieskiej i Sudetach?

Niepokój organizacji ekologicznych i niezależnej prasy wzbudza także upolitycznienie instytucji finansujących ekologię. Polityka Ministerstwa zdaje się zmierzać w kierunku utrzymania, niedopuszczalnej ze względu na interes narodowy, praktyki traktowania spraw ochrony środowiska jako karty przetargowej w międzypartyjnej grze politycznej. Postępowanie to utrudnia, a czasem wręcz uniemożliwia budowanie systemu, w którym bezpieczeństwem ekologicznym zajmują się, niezależne od chwilowych koniunktur politycznych, instytucje państwowe. Niestabilność polityki ochrony przyrody potęguje brak skutecznego mechanizmu kontroli wydatków z ekologicznych funduszy, do których trafiają opłaty i kary za zanieczyszczenie środowiska. Prasa informuje, że opanowanie owych funduszy przez polityków doprowadziło do sytuacji, w której pieniądze przeznaczone na proekologiczne inwestycje często wydawane są niezgodnie ze swoim pierwotnym przeznaczeniem. Nieufność komentatorów wzbudza sposób, w jaki część tych funduszy trafia do prywatnych firm konsultingowych i spółek. Ze zdziwieniem można zresztą zauważyć, że nawet dla opracowania bardzo ogólnikowego „Programu wykonawczego do polityki ekologicznej państwa do 2000 roku” Ministerstwo zwróciło się do

dwóch firm konsultingowych i to pomimo faktu, iż w pracach nad tym programem brał udział zespół specjalistów z Ministerstwa oraz kilku wyższych uczelni i instytutów badawczych.

Zastrzeżenia muszą budzić ekologiczne aspekty polityki państwa wobec własności prywatnej. Nawet w dość beztroskich dokumentach Ministerstwa jak np. „Informacja o stanie lasów w 1993 roku” mówi się o wadliwej gospodarce leśnej w lasach nie stanowiących własności Skarbu Państwa, wynikającej z nadmiernej liberalizacji przepisów ustawy o lasach. Tym większe zdziwienie wywołuje odrzucenie przez Sejm drugiej kadencji rezolucji grupy posłów, przestrzegających przed działaniami wywołującymi katastrofy ekologiczne, „W sprawie masowego i niekontrolowanego wycinania państwowych i prywatnych lasów”. Sejm odrzucił rezolucję pomimo faktu, iż w wyniku kradzieży w lasach państwowych i dewastacyjnej wycinki lasów prywatnych w ciągu jednego tylko roku utracono ponad 70 tys. m³ drzewa.

Wiele do życzenia pozostawia wreszcie międzynarodowa polityka ekologiczna. Zmiany z końca lat osiemdziesiątych stworzyły szansę prowadzenia przez Polskę samodzielnej polityki zagranicznej. Jednocześnie nowa sytuacja stworzyła szereg nowych problemów. Jest oczywiste, że podstawowym zadaniem polskiej polityki wschodnioeuropejskiej w dziedzinie ekologii jest stworzenie systemu bezpieczeństwa chroniącego nasz kraj przed ewentualnymi skutkami złej polityki ekologicznej naszych sąsiadów. Nie jest to oczywiście problem wyłącznie Polski. Przypomnijmy, że raport Sekretarza Generalnego ONZ z 1985 roku na temat koncepcji bezpieczeństwa we współczesnym świecie wskazywał, że obok sfery wojskowej pojawiło się szereg nowych globalnych wyzwań politycznych i gospodarczych. Powszechnie wskazuje się na wzrost znaczenia ekologicznych aspektów bezpieczeństwa międzynarodowego. Doświadczenia związane z reakcją Zachodu wobec katastrofy w Czernobylu jak i z niedocenieniem irackiego potencjału wojskowego, w tym atomowego i chemicznego dowodzą, że Polska aby zachować bezpieczeństwo ekologiczne nie może zdać się wyłącznie na działania organizacji międzynarodowych i zachodnioeuropejskich partnerów. Pierwszą i najbardziej nagłą potrzebą wydaje się stworzenie własnych

źródeł informacji, włącznie z siecią monitoringu zanieczyszczeń. Jak dotychczas, np. nadgraniczna sieć monitoringu zanieczyszczenia powietrza przeprowadza jedynie pomiary dwóch podstawowych gazów, stężenia pyłu i dwóch wskaźników radioaktywności. Zróżnicowanie zagrożeń ekologicznych wschodniej granicy Rzeczypospolitej jest tak duże, że przedstawianie owych punktów pomiarów jako „osiągnięć” jest delikatnie mówiąc nieporozumieniem. Nawet zanieczyszczenia uznawane przez Ministerstwo za główne czynniki zakłócania ekosystemów leśnych nie są w całości uwzględniane w nadgranicznej kontroli.

Znany francuski przyrodnik i jeden z pionierów ochrony przyrody Haroun Tazieff po wizycie w kilku z krajów niegdyś wchodzących w skład ZSSR, oświadczył w jednym z wywiadów: „nie tylko władze polityczne nie uczyniły niczego aby zmniejszyć rozmiar katastrofy ekologicznej, ale sprawiają wrażenie działania jakby pragnęły ów kryzys pogłębić”. Rozpad struktur państwowych i kryminalizacja życia w Rosji doprowadziły do sytuacji, w której – jak to ujmuje raport rosyjskiej policji – „dzisiaj nawet ziemniaki są lepiej pilnowane niż materiały radioaktywne”. Dodatkowe zagrożenia stworzy także rozbrojenie i restrukturyzacja rosyjskiej armii. Już dzisiaj wiadomo, że likwidacja arsenałów chemicznych kosztować będzie Rosję około trzech miliardów dolarów. Operacja ma się rozpocząć w 1997 roku i polskie władze powinny być przygotowane na zagrożenie powstania nietypowych zanieczyszczeń na terenach znajdujących się w bezpośrednim sąsiedztwie naszego kraju. Trudno liczyć na odpowiedzialność władz kraju, w którym policja aby wykryć obieg mafijnych pieniędzy zanieczyszcza radioaktywnie banknoty, nie zważając na bezpieczeństwo dziesiątków tysięcy swoich własnych obywateli. Dodajmy, że Królewiec już w latach 80-tych uznawany był za jedno z najbardziej zanieczyszczonych miast ZSSR i zdaniem wielu specjalistów miasto to ze swoim przemysłem chemicznym i nieznaną zawartością baz wojskowych może okazać się ekologiczną bombą regionu. Po dzień dzisiejszy brak także jakiegokolwiek wiarygodnego raportu na temat zagrożeń związanych z centralą w Ignalinie i wiertniczymi platformami litewskiego wybrzeża. Wobec braku danych trudno także ocenić wpływ na polskie środowisko tragicznego stanu wód i powietrza Białorusi.

Oczywiście społeczeństwa krajów byłego ZSSR, a zwłaszcza Ukrainy, są pierwszymi i najbardziej poszkodowanymi ofiarami wschodnioeuropejskiego kryzysu ekologicznego. Często możliwości oddziaływania obywateli tych krajów są dużo mniejsze niż możliwości działania państwa polskiego. Nie zapominajmy, że społeczeństwa te często nie mają żadnego wyboru. Wobec sytuacji energetycznej Litwy czy Ukrainy trudno jest przecież oczekiwać zgody na zrezygnowanie z użytkowania ryzykownych central atomowych. W naszym własnym interesie leży wspieranie tych krajów w poszukiwaniu alternatywy energetycznej i pomocy na Zachodzie, a także prowadzenie jak najszerszej wspólnej polityki ekologicznej. Powołanie pełnomocnika i podjęcie działań zmierzających do uzgodnienia z Ukrainą i Białorusią wspólnego zagospodarowania i ochrony wód Bugu jak i współpraca w ramach programu „Ochrona bioróżnorodności lasów Karpat Wschodnich” są niesłychanie ważne i cenne, ale należy mieć świadomość, że stanowią zaledwie pierwszy, niewielki krok w budowaniu systemu ekologicznego bezpieczeństwa w tym regionie Europy.

Także wobec zachodniej części naszego kontynentu polityka ekologiczna powinna być nieco bardziej aktywna. W ankiecie jaką przeprowadził niedawno francuski miesięcznik *L'Environnement* na temat *lobbingu* w ekologicznej polityce Wspólnoty Europejskiej mówi się o działaniu około trzech tysięcy różnorodnych, działających praktycznie na wszystkich etapach podejmowania decyzji, często znakomicie zorganizowanych grup nacisku. Niestety grupa polska jest praktycznie niewidoczna, choć nawet kraje trzeciego świata nierzadko potrafią skutecznie wpływać na decyzje Wspólnoty. Niedowartościowane pozostają polskie (także węgierskie i czeskie) badania, choć kraje Środkowej Europy mają wiele do zaoferowania w zakresie ekologicznego *know-how*. Zbyt ostrożna i rzadka wydaje się być krytyka wobec zachodniej pomocy, która często służy bardziej jako narzędzie zachodnioeuropejskiej polityki wobec własnego rynku pracy, a nie jako rzeczywista pomoc ekologiczna. Przyznawana w ten sposób pomoc staje się złotą żyłą dla ekspertów i ich współpracowników z administracji, nie przyczyniając się niestety do rozwiązania problemów ekologicznych.

Polskę stać na prowadzenie własnej, niezależnej polityki ekologicznej. Dopóki jednak takie miasta jak Łódź czy Kraków nie będą posiadać własnych oczyszczalni ścieków, a urzędy powołane do chronienia polskiej przyrody będą zajmowały się uzasadnianiem jej niszczenia, trudno będzie uznać nasz kraj za nowoczesny. Najwyższy czas aby polityka polska wypracowała globalną wizję problematyki ekologicznej. Cenę niekompetencji polityków płaci niestety całe społeczeństwo.

Piotr DASZKIEWICZ

Małe, prowincjonalne miasto na T.

Toruń jest niewielkim, nieco ponad 200-tysięcznym, miastem o szczególnych uwarunkowaniach, które czynią go stolicą kulturalną całego Pomorza. Te uwarunkowania to zabytkowa, znakomicie zachowana i pielęgnowana architektura starego miasta, aktywność naukowa środowiska najstarszego w regionie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika oraz przedsiębiorczość animatorów kultury. Widać to szczególnie w różnorodności i trwałości podejmowanych w Toruniu i regionie działań i inicjatyw kulturalnych o ogólnopolskim i międzynarodowym zasięgu, z tegorocznych na uwagę zasługują na przykład:

- IV Akademickie Spotkania Teatralne KLAMRA
- XXX Ogólnopolski Festiwal Teatrów Jednego Aktora OFTJA
- III Festiwal Muzyki Kameralnej i Sztuki Krajów Nadbałtyckich PROBALTICA
- VI Międzynarodowy Festiwal Teatralny KONTAKT

III Toruńskie Artystyczne Spotkania Młodzieży Akademickiej TASMA

XVI Międzynarodowe Spotkania Kapel Ludowych

V Spotkania Teatrów Ulicznych

XII Świętojańskie Koncerty Muzyki Organowej

III Toruńskie Spotkania Teatrów Lalek

IV Międzynarodowy Konkurs Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży

IV Międzynarodowy Festiwal Sztuki Operatorów Filmowych CAMERIMAGE

Ogólnopolski Festiwal Muzyki Bluesowej BLUES MEETING

X Ogólnopolski Konkurs Literacki „O liść konwalii”

III Toruński Maj Poetycki (prezentacje książki poetyckiej)

III Toruński Festiwal Książki (organizowane na nim spotkania z pisarzami były szeroko omawiane w prasie)

IV Ogólnopolski Festiwal POBOCZA TEATRU (prezentacja eksperymentów teatralnych i parateatralnych oraz kontrowersyjnych pomysłów z pogranicza teatru i skandalu)

II Dni Kultury Słowackiej w Toruńskim.

Nie są to naturalnie wszystkie imprezy, które odbyły się lub odbędą w Toruniu w 1996 roku. Spróbujmy zatem scharakteryzować najważniejsze z nich.

Najgłośniejszym festiwalem toruńskim jest organizowany w tym roku po raz czwarty Międzynarodowy Festiwal Sztuki Operatorów Filmowych „Camerimage”. Jego twórcy, Marek Żydowicz i Kazimierz Parucki, od początku zmagają się z kłopotami finansowymi i niechęcią decydentów politycznych miasta, lecz mimo to festiwal z roku na rok zyskuje coraz większą sławę, a nagroda (Złota Żaba) promuje filmy na całym świecie i zyskała już wysoki prestiż w środowisku filmowców. „Camerimage” jest najlepszym dowodem na to, że o powodzeniu festiwalu artystycznego decyduje przede wszystkim atrakcyjny pomysł i ludzie.

PROBALTICA, organizowany już po raz trzeci, festiwal

muzyki i sztuki krajów nadbałtyckich, miał w maju tego roku szerszy niż poprzednio zakres propozycji i znacznie większe zainteresowanie. Nie ma on ambicji festiwalu awangardowego, jak np. „Warszawska Jesień”, chociaż jego inicjatorzy (pomysłodawcą był Henryk Giza) chcą propagować muzykę XX wieku. Tegoroczny festiwal dedykowany był zmarłemu w 1986 roku w Paryżu kompozytorowi polskiemu, Aleksandrovi Tasmanowi.

Koncerty festiwalowe, z udziałem orkiestr, solistów, zespołów kameralnych i chórów z 10 krajów nadbałtyckich (Polski, Rosji, Niemiec, Litwy, Estonii, Szwecji, Danii, Finlandii, Norwegii i Łotwy) odbywały się w Toruniu, Gdańsku a nawet w Warszawie. Prócz muzyki prezentowane były ekspozycje plastyczne. Najważniejszą z nich stała się zorganizowana z okazji jubileuszu 200-lecia nauczania w zakresie sztuk plastycznych w Wilnie oraz 50-rocznicy utworzenia Wydziału Sztuk Pięknych na UMK w Toruniu, wystawa „Kształcenie artystyczne w Wilnie i jego tradycje” zaświadcza o ciągłości tradycji malarskiej szkół wileńskich i toruńskiej. Wystawa prezentowała dorobek artystyczny profesorów i absolwentów szkół w Wilnie, a także w międzywojennym Kownie i powojennym Toruniu, dokąd po 1945 roku przeniosła się ogromna większość kadry Uniwersytetu Stefana Batorego. Ekspozowane były dzieła malarskie, rzeźba, grafika i rysunek – w sumie niemal 700 prac ponad 300 artystów, podzielonych na siedem chronologicznych działów:

Oddział Sztuk Pięknych Uniwersytetu Wileńskiego 1797-1832; Okres międzypowstaniowy 1831-1863; Szkoła Rysunkowa 1866-1915; Wydział Sztuk Pięknych USB 1919-1939; Szkoła Sztuk Pięknych w Kownie 1922-1944 (pierwsza prezentacja tego malarstwa w Polsce); Litewskie szkolnictwo artystyczne po 1944 roku; Wydział Sztuk Pięknych UMK 1945-1996.

Wystawie towarzyszył katalog.

Rozmach, z jakim „Probaltica” potrafiła zintegrować środowiska muzyczne wszystkich państw Morza Bałtyckiego, organizatorzy zawdzięczają głównie paraciu finansowemu Fundacji Polsko-Niemieckiej oraz entuzjastycznym recenzjom w prasie niemieckiej i skandynawskiej.

Po znakomitym KONTAKCIE '95 (omówionym w *Kulturze* przez Bolesława Taborskiego) tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Teatralny musiał być trochę gorszy, co nie znaczy, że był nudny. Nie składał się z samych arcydzieł, ale uhonorowane pierwszą nagrodą przedstawienie berlińskiego teatru Volksbühne am Rosa Luxemburg Platz pt. „Załatw Europejczyka” wzbudziło entuzjazm tak krytyków, jak i publiczności. Spektakl ten zebrał większość nagród, wyróżniono ponadto: Teatr Miejski z Tallina („Pianola albo mechaniczne pianino”) oraz „Immanuela Kanta” Teatru Polskiego z Wrocławia. Prócz przedstawień kameralnych prezentowane były, podobnie jak w latach ubiegłych, wielkie widowiska plenerowe. KONTAKT z festiwalu, który miał być spotkaniem teatrów z sąsiadujących krajów, stał się międzynarodową imprezą, na którą zaprasza się zespoły teatralne z całej Europy, w tym roku m.in. z Irlandii, Norwegii, Hiszpanii), choć nadal promowane są przede wszystkim spektakle teatrów z Europy Środkowej i Wschodniej. Nie wykluczone jednak, że w przyszłym roku KONTAKT przeniesie się do Krakowa, dokąd wyjeżdża, by objąć kierownictwo Teatru Starego, dyrektor festiwalu, Krystyna Meissner.

W dniach 24-25 maja odbywał się najstarszy toruński festiwal – Ogólnopolski Festiwal Teatrów Jednego Aktora OFTJA, organizowany już po raz 30 (w tym po raz 20 w Toruniu). Niewykluczone, że był też ostatnim w długiej swojej historii. Niski poziom konkursowych przedstawień wynikał nie tyle z braku pieniędzy na organizację festiwalu, co z braku dostatecznej liczby wartościowych monodramów, na które warto je wydać. „Teatr jednego aktora” jest instytucją, która po latach świetności – a bywali w Toruniu: Tadeusz Łomnicki, Krystyna Janda, Zbigniew Zapasiewicz i wielu innych – przeżywa swego rodzaju upadek. Jednak ogromne zainteresowanie publiczności tym, skądinąd bardzo trudnym i wymagającym wszechstronnego przygotowania rodzajem ekspresji teatralnej pozwala wierzyć, że OFTJA będzie kontynuowany w roku przyszłym.

W ostatnich miesiącach wydarzeniami dużego formatu były trzy majowe wystawy zorganizowane w salach Muzeum w Ratuszu. O pierwszej, poświęconej malarstwu wileńskiemu, wspominałem wyżej, drugą była wystawa „Katyń– Charków.

Ziemia oskarża”, na której pokazywane były po raz pierwszy obiekty wydobyte z grobów pomordowanych policjantów i oficerów WP w trakcie ekshumacji w 1995 roku i poddane zabiegom konserwatorskim.

Na przełomie maja i czerwca, jako impreza towarzysząca Festiwalowi KONTAKT, prezentowana była również wystawa „Documenta w Kassel – Dzieje, program, znaczenie”, poświęcona jednemu z najstarszych wydarzeń w życiu artystycznym Europy po 1945 roku, odbywającym się od 1955 roku w Kassel, międzynarodowym prezentacjom zagadnień sztuki współczesnej i sposobów jej ekspozycji. Materiał ikonograficzny – seria dokumentacyjnych zdjęć, plakaty oraz znaczące dzieła sztuki wszystkich dziewięciu edycji Documenta – pochodził ze zbiorów Documenta Archiwum z Kassel, instytucji zajmującej się naukowym opracowywaniem i dokumentowaniem sztuki współczesnej.

Organizowane w Toruniu festiwale o międzynarodowym rozgłosie nie zmieniają faktu, że toruńskie środowiska artystyczne nie potrafią zaistnieć w Polsce. Toruń nie doczekał się niestety dobrego czasopisma literackiego, takiego jakie posiadają np. Lublin, Olsztyn, czy Rzeszów, które zintegrowałyby środowiska twórcze miasta. Czy zamieszczone w nim teksty literackie byłyby dostatecznie atrakcyjne dla czytelników i czy starczyłoby ich na zachowanie cykliczności pisma? To zupełnie inna rzecz. Redagowany na wysokim poziomie bydgoski (zatem pobliski) *Kwartalnik Artystyczny* opiera się jednak przede wszystkim na współpracownikach spoza Bydgoszczy czy Torunia.

Mirosław Adam SUPRUNIUK

Wywiady „Kultury”

Otwarty regionalizm

ROZMOWA Z ROBERTEM TRĄBĄ

BASIL KERSKI: – *Należysz do powojennej generacji Polaków, którzy urodzili się na Warmii i Mazurach, na tak zwanych „ziemiach poniemieckich”. W 1990 roku razem z przyjaciółmi założyliście w Olsztynie Wspólną Kulturową „Borussia”. Co was skłoniło do utworzenia tego towarzystwa?*

ROBERT TRĄBA: – Głównym motywem założenia towarzystwa była przede wszystkim chęć uczestnictwa w przemianach, które się wtedy w Polsce rozpoczęły. Chcieliśmy w tym całym procesie wyrazić siebie samych, bez istniejących struktur i form, chcieliśmy wnieść coś własnego. „Borussia” powstała jako głos generacji trzydziestolatków, która chciała odreagować to, co uważała za obciążenie systemem komunistycznym. Przez kilka miesięcy spotykaliśmy się u mnie prywatnie w domu, dyskutowaliśmy i to nabierało coraz bardziej skonkretyzowaną formę, z której wyszło towarzystwo. Nasze pismo o podobnej nazwie co towarzystwo powstało równoległe. Wychodząc z jednego z tych spotkań zapytałem się Kazimierza Brakonieckiego o możliwość założenia pisma. Trzeba zrozumieć, że myślenie o takim działaniu oddolnym, takim, przy którym nikt nam niczego nie wyznaczał – do tego byliśmy przecież przyzwyczajeni, w tym wyrastaliśmy – było przeżyciem.

B.K.: – *Mam wrażenie, że członków „Borussii” łączy duża fascynacja regionem Warmii i Mazur, w którym się wychowali. Fascynacja ta musiała być tak silna, że skłoniła wielu z was w latach 80-tych do powrotu na tę peryferię Polski ze studiów w Warszawie czy w Toruniu. Była to fascynacja przeszłością tego regionu, której wtedy jeszcze nie wolno było wam otwarcie poznać. Czy założenie towarzystwa „Borussia” było formą odreagowywania tej ciekawości?*

R.T.: – To prawda, „Borussia” dawała i daje możliwość odreagowywania tej ciekawości. W moim przypadku zdecydowanie tak było. Nie powiedziałbym, że fascynacja tym regionem skłoniła mnie do powrotu na te ziemie. Powody do powrotu były u mnie i u innych często banalne, tu mogliśmy wrócić do naszych rodzin, tu dostaliśmy mieszkania. W moim przypadku fascynacja przeszłością Warmii i Mazur nastąpiła dopiero po powrocie ze studiów historycznych w Toruniu. Impuls dla tej fascynacji wynikał z konfrontacji zebranej wiedzy historycznej, tego co znajdowałem w archiwach, z płytkim obrazem przeszłości Warmii i Mazur, który otrzymywałem czytając literaturę, czytając naukowe opracowania. Stąd się zrodziła refleksja nad historią tego regionu, byłych Prus Wschodnich, stąd wziął się sprzeciw wobec tego płytkiego obrazu historii, który był nam wpajany.

B.K.: – *Głównym motywem założenia towarzystwa była zatem chęć podjęcia próby zrekonstruowania całego bogactwa kulturowego, całej historii waszego regionu, odświeczenie balastu ideologicznego. W jaki sposób próbowaliście i próbujecie ten cel osiągnąć?*

R.T.: – Źródłem naszej działalności była próba odnalezienia siebie w tym miejscu, w którym żyjemy z jego obciążeniami i zaletami, z całym światem różnorodności, który nas otacza. Była to ucieczka od tych wszystkichizmów i balastu, którego byliśmy częścią. Każdy z nas jest obciążony tym ideologicznym balastem ostatnich dekad – choćby nie wiem jak się od nich odzęgnywał. Po dyskusjach między nami, po burzy która

nastąpiła w nas, zastanawialiśmy się nad środkami dla naszej działalności. Zaczęliśmy od konferencji na temat dziedzictwa byłych Prus Wschodnich, na której pierwszy raz w Olsztynie spotkali się Polacy, Niemcy i Rosjanie. Konferencja ta, która stała się punktem wyjściowym dla nas, była konfrontacją starego, tego co było przed wojną z naszym dzisiejszym miejscem; była próbą określenia naszego miejsca. Nasza świadomość dorastała z tym co robiliśmy, nie mieliśmy i nie mamy gotowych recept. Dlatego „Borussia” jest nadal żywą i poszukującą wspólnotą. Środkiem do tego poszukiwania jest nasze czasopismo. Na początku bardzo ważnym wątkiem czasopisma był problem historii Warmii i Mazur. Nie chcieliśmy tworzyć czegoś nowego posługując się splotem fałszu i ćwierćprawdy. Daleki jestem od twierdzenia, że dokonaliśmy jakiegoś wielkiego przełomu. Próbowaliśmy podejść do historii autentycznie, tak jak czujemy, bez mówienia w imieniu czyimś, w imieniu społeczeństwa czy narodu.

B.K.: – *Wasze czasopismo ukazuje się nieregularnie, mniej więcej co sześć miesięcy. Dotychczas wydaliście dwanaście numerów. Obok wspomnianego motywu historycznego zauważyłem w czasopiśmie duże zainteresowanie literaturą niemiecką, nie tylko pisarzami, którzy pochodzą z byłych Prus Wschodnich, jak na przykład Johannes Bobrowski. Interesują was także pisarze innych niemieckich pograniczy, jak na przykład Rose Ausländer czy Horst Bienek. Czy można wskazać jeszcze inne linie w czasopiśmie Borussia?*

R.T.: – To, co wymieniałeś jest rzeczywiście bardzo istotne dla naszego czasopisma i jest też w innych środowiskach postrzegane jako swoisty fenomen *Borussii*. Nie podejmowaliśmy przy tym świadomej próby wpasowania się w istniejące prądy kulturalno-literackie w Polsce. Nam tematy dla czasopisma podsuwało to, w czym byliśmy, z czym się konfrontowaliśmy na co dzień. Charakterystyczne dla *Borussii* stało się bardzo osobiste łączenie wątku lokalnego, regionalnego z tym, co jest uniwersalne; identyfikowanie rzeczywistości, tej uniwersalnej, niezależnie od tego gdzie się

żyje, poprzez naszą własną perspektywę miejsca, w którym akurat żyjemy. Stąd można znaleźć w naszym czasopiśmie nie tylko teksty pisarzy niemieckich czy polskich związanych z naszym regionem. Wydaliśmy na przykład poezję bretońską. Fascynują nas literatura i wątki historyczne, umożliwiające nam w jakiś sposób znalezienie paraleli między tym, co się dzieje tutaj a tym, co się dzieje tysiąc kilometrów dalej. Mówiąc o naszym czasopiśmie trzeba dodać, że na początku na charakter *Borussii* wpływała grupa osób, która z czasem stała się mniejsza. W zasadzie od pewnego momentu pismo bardzo mocno związane jest z osobą Kazimierza Brakonieckiego, który emanował w nim całą swoją wyobraźnią i możliwościami tego, co mógł sam zebrać i dostrzec. Apogium jego działalności był przedostatni, monograficzny numer *Borussii*, będący antologią nowej poezji Warmii i Mazur.

B.K.: – *Czy oprócz wydania czasopisma i zorganizowania konferencji na temat dziedzictwa Prus Wschodnich mógłbyś wymienić jeszcze inne inicjatywy towarzystwa?*

R.T.: – Oprócz czasopisma wydaliśmy pojedyncze książki. Wymienię tutaj napisane w 1848 roku przez niemieckiego historyka pochodzącego z Mazur, Ferdynanda Gregoroviusa, szkice pod tytułem „Idea polskości”, które są dokumentem fascynacji polskim republikanizmem. Intensywnie pracujemy z młodzieżą. Zorganizowaliśmy spotkania młodzieży z Polski, Litwy, Rosji i Niemiec, która rekonstruowała cmentarze z pierwszej wojny światowej. Oprócz tego organizujemy obozy kreatywne, plenery, muzyczno-teatralne spotkania z młodzieżą wymienionego czworokąta. Dochodzą do tego spotkania studentów na temat stereotypów, w formie seminariów oraz wycieczek. Staramy się organizować polsko-niemieckie warsztaty nauczycieli. Dotyczą one problemów w przekazywaniu obrazu wzajemnej historii i teraźniejszości, jakie istnieją w szkołach. Na przyszły rok podobne warsztaty zamierzamy przeprowadzić z grupą nauczycieli z Polski i Litwy. Dialog na temat stereotypów chcemy także zorganizować z przedstawicielami gmin. Obok tego zorganizowaliśmy spotkania, które nie miały charakteru naukowego, były formą wymiany

myśli i doświadczeń na tematy literackie, na temat naszego regionu.

B.K.: – *Skąd bierzecie pieniądze na wasze projekty? Stawiam to pytanie, ponieważ istnieje swoisty mit, że macie dużo pieniędzy ze strony niemieckiej.*

R.T.: – Wspólnota działa na zasadzie towarzystwa. Nie mamy stałych współpracowników ani stałych dotacji. Gdybym chciał wymienić wszystkich, którzy nam finansowo pomagali, to byłaby to spora lista zaczynająca się od Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej, Fundacji Eberta a kończąca się na Fundacji Batorego. Otrzymaliśmy także pieniądze od wojewody, prezydenta miasta Olsztyna oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki. Każdy projekt wymaga osobnego wniosku, osobnej walki o fundusze, co jest oczywiście obciążające.

B.K.: – *Na początku waszej działalności niektórzy rodacy, którzy chyba mało o was wiedzieli, zarzucali wam „ślepy germanofilizm”.*

R.T.: – *Borussia* nie przystawała do schematu, do którego byliśmy przyzwyczajeni. Nagle towarzystwo, grupa ludzi, zajęła się problematyką polsko-niemiecką, która jest tematyką newralgiczną tego regionu. Grupa ta odnosiła się do tego bez balastu stereotypów przyszłości. Nasza pierwsza konferencja „Prusy Wschodnie: Dziedzictwo i tożsamość” była taką pierwszą cegiełką. Odbiła się ona szerokim echem w prasie polskiej. Nasza próba krytycznego podejścia do siebie, do naszego bytu tutaj, wywołała w środowiskach podobnie do nas myślących pozytywną reakcję. Z kolei osoby o płytkim widzeniu stosunków polsko-niemieckich zarzucały nam filogermańskie podejście. Takie stereotypy w naszym społeczeństwie znajdują dość silne podłoże, co jest uwarunkowane kilkudziesięcioletnią propagandą i naszym urazem polsko-niemieckim.

B.K.: – *W niedawno opublikowanym w gdańskim Przeglądzie Politycznym eseju, Leszek Szaruga wpisał wasze*

czasopismo i towarzystwo razem z Krasnogrudą z Sejn, lubelskimi Kresami, gdańskim Tytułem, czy szczecińskimi Pogranicznymi, w literacki i kulturowy prąd „pisanie Polski nie od nowa, tylko na nowo”, który szczególnie wyraźnie można zaobserwować na peryferii kraju. Według Szarugi te wymienione inicjatywy i czasopisma próbują oczyścić obraz Polski od balastu nacjonalistycznej i komunistycznej ideologii. Szaruga pisze, że podejmują one „otwarte zarówno na przewartościowanie przeszłości i dialog z innymi, jeden z najistotniejszych wątków polskiej tradycji – ten, który związany jest raczej z jagiellońskim niż piastowskim modelem naszej państwowości: sprzeciw wobec postaw nacjonalistycznych, szacunek dla odmienności, troskę o całość dziedzictwa”.

R.T.: – Zgadza się z tym sformułowaniem Leszka Szarugi. Abstrahując od dokonań literackich, widzę *Borussię* w kategoriach pewnego – bałbym się użyć tutaj określenia „ruchu”, ale na pewno – „mini-ruchu” kulturalnego, który pojawił się na mapie Polski i jest pewnym *signum temporis* tego, co się teraz dzieje w naszym kraju. Uważam jednak, że nie powinno się traktować tego „mini-ruchu” jako zjawiska powszechnego. W dalszym ciągu istnieje bardzo mocna tendencja tradycyjnego rozumienia polskości w kategoriach nacjonalistycznych. Obok tego tradycyjnego podejścia zaistniała szansa w formie inicjatyw kulturowych i społecznych, które kojarzone są z ideą „powrotu od małych ojczyzn” czy „ideą regionalną”. Nawiązują one do polskości w kategoriach całego bogactwa, które je otaczało. Warto podkreślić, że inicjatywy te zainteresowane są kulturami mniejszości narodowych, które żyły i żyją w Polsce. Te prądy stanowią próbę wpisania w naszą tożsamość całego bogactwa, które niesie przeszłość i teraźniejszość. Są one ogromną szansą pisania Polski na nowo. Jest to zjawisko bardzo świeże, rozwijające się i nikt nie jest w stanie powiedzieć, czy ten kierunek będzie zachowany. My w *Borussii*, w dyskusji między nami określiliśmy nasze postrzeganie rzeczywistości – nasze „pisanie Polski na nowo” – mianem „otwartego regionalizmu”. Za tym pojęciem kryje się próba przewyciężenia tego, co było największym mankamentem, obciążającym życie

społeczne przed 1989, mianowicie zamkniętość społeczeństwa, brak kontaktów z sąsiadami, szczególnie z zachodnią Litwą i obwodem kaliningradzkim. Te kontakty były od początku bardzo ważnym elementem naszej działalności. Są to kontakty nie zawsze łatwe, chociażby z kaliningradzkim społeczeństwem rosyjskim przez dziesiątki lat skazanym na ideologizację. Na to nakłada się specyfika polskiego reagowania na Rosjan, która ma w sobie coś z odreagowywania kompleksu wielkiego brata i swojego rodzaju „kompleksu Zachodu”. Mając teraz przewagę lepszych warunków ekonomicznych odreagowujemy swoje dawne poczucie niższości na Rosjanach. W tym wszystkim my z *Borussii* szukamy jakiejś drogi do normalności. W naszym czasopiśmie drukujemy stale teksty rosyjskich pisarzy i historyków z Kaliningradu. Utrzymujemy kontakty z Litwinami z Kłajpedy. Mamy wspólne korzenie w przeszłości regionu byłych Prus Wschodnich, które tworzył zwarty organizm kulturowy i historyczny. Cieszy nas, że przy całym balaście kompleksów, win i wzajemnych oskarżeń Polaków i Litwinów, nasze kontakty ze środowiskiem litewskim są bardzo bliskie.

B.K.: – *Dla wielu osób regionalizm i wizja „małych ojczyzn” kojarzą się z tendencjami separatystycznymi.*

R.T.: – Niedawno temu wpadła w moje ręce tradycyjna próba określenia regionalizmu przez polskiego socjologa. Naukowiec ten widział regionalizm jako drogę do autonomii i odrębności. W tekście tym padły następujące hasła określające regionalizm jako „tradycjonalizm”, „ideologię kultury lokalnej i ludowej”, „nastawienie na zachowanie odrębności”, „ruch antymodernistyczny”. Jeśli do tego przyłoży się to, co my robimy, co rozumiemy przez nasze pojęcie „otwartego regionalizmu”, to w każdym punkcie odkrywamy przeciwieństwo. Nasze pojęcie „otwartego regionalizmu” nie jest ani antymodernistyczne – a wręcz odwrotnie – ani nie dąży do autonomii i odrębności. Poza tym nie odnosi się do wątków ludowych czy konserwatywnych. Ten negatywny schemat przykłada się do całego pojęcia regionalizmu, powiela się go w publikacjach często bez refleksji, wpisując w te definicje

tradycyjalne to, co się dzieje teraz w Polsce. Dlatego my, aby jasno odgraniczyć się od jakichkolwiek zarzutów separatyzmu, określiliśmy nasz regionalizm jako otwarty.

B.K.: – *W działalności Borussii odnaleźć można wymiar polityczny, nie w sensie organizacji politycznego ruchu regionalistycznego Warmii i Mazur, czy kierowania się ambicjami politycznymi. Można u was zaobserwować zainteresowanie wizją państwa zdecentralizowanego.*

R.T.: – Wynika to z naszych doświadczeń z przeszłości. Czynnikiem tworzenia zamykania sztucznej homogenizacji tego społeczeństwa była też wszechobecna centralizacja. W naturalny sposób chcąc tworzyć coś niezależnego występujemy automatycznie przeciwko centralizacji. Życie kulturowe Polski, w którym, szczególnie w tradycyjnych dziedzinach jak teatr czy opera, nadal dominuje Warszawa, częściowo coraz bardziej przenosi się na obrzeża. Nie wiem, czy jest to ruch przedwojennego polskiego obywatela, kiedy tworzyły się we Lwowie i Wilnie ważne centra kultury polskiej. Nie powiedziałbym, że to zjawisko dominuje, ale ta tendencja niesie nowy atrakcyjny potencjał kulturalny i intelektualny, powstający za Krakowem i Warszawą, w Sejnach, Gdańsku, Lublinie, Szczecinie czy Olsztynie. Ta mapa aktywności i inicjatyw kulturowych wyraźnie wskazuje na zjawisko decentralizacji kultury. *Borussia* to tylko fragment większej całości.

Rozmawiał Basil KERSKI

Robert TRĄBA jest urodzonym w 1958 roku historykiem, autorem wydanej w 1994 roku książki „Niemcy–Warmiacy–Polacy 1871-1914. Z dziejów niemieckiego ruchu katolickiego i stosunków polsko-niemieckich w Prusach”. W 1990 roku należał do współzałożycieli olsztyńskiej Wspólnoty Kulturowej BORUSSIA. Towarzystwo to, którego przewodniczącym jest Robert Trąba, zrzesza członków nie tylko z Warmii i Mazur, ale i z innych regionów Polski oraz z Litwy, Rosji i Niemiec. Wspólnota Kulturowa BORUSSIA wydaje pismo o tej samej nazwie co towarzystwo, którego redaktorem naczelnym jest poeta Kazimierz Brakoniecki.

Sąsiedzi

Białoruś

Z przyjemnością przeczytałem w majowej *Kulturze* doskonale napisany reportaż Smecza z jego podróży do Białorusi. Zachęcił mnie on do skreślenia niniejszych uwag, a to z powodu, który coraz częściej skłania mnie do polemiki z autorami wypowiedzi na tematy białoruskie. Chodzi mi o przedstawiany przez nich wizerunek prezydenta Łukaszenki, niemal z reguły odbiegający od rzeczywistości.

Zacznijmy od uzmysłowienia sobie faktu, że Białoruś nie jest państwem narodowym, lecz specyficznym tworem przypominającym do złudzenia liczne niewydarzone państwa Trzeciego Świata. Jej niepodległość została niejako spowodowana przez rozpad Związku Sowieckiego, wszyscy dookoła „usuwerennili się”, z Rosją włącznie. Rუსyfikacja Białorusi na niespotykaną w innych republikach b. ZSSR skalę nie nastąpiła wskutek jakiejś szczególnej presji Kremla. Znacznie energiczniejsze zabiegi w tym kierunku można było zaobserwować na przykład w Łotwie czy w Estonii. Nie wdając się w szczegółową analizę przyczyn tak niskiego poziomu białoruskiej świadomości narodowej, zgódźmy się na wstępnie, że wynaradawiają nie tylko imperialistyczni szowiniści, lecz także perspektywy lepszego życia, grubszej pajdy chleba. Oczywiście, na Białorusi szalał stalinizm, głód i ludobójstwo – tylko głupiec mógłby temu zaprzeczyć. Mam jednak na myśli czasy późniejsze, w których urbanizacja Białorusi zbliżyła się do średniej europejskiej. Obecnie ludności rolniczej jest tam procentowo dwa razy mniej, niż dajmy na to w Polsce. W mieście zawsze żyje się wygodniej, czy to w Mińsku, czy w Lyonie. Chłop białoruski nie wkraczał do metropolii z rozwiniętym

sztandarem, ale zawsze chyłkiem, ze skrytą nadzieją na lepszą dolę. Z pewną przesadą można by powiedzieć, że jeszcze do niedawna stolica Państwa Białoruskiego uchodziła w mentalności jego obywateli za przeogromną, prawie dwumilionową wieś. W nowożytnym imperium z jego sterowaną oświatą powszechną wynaradawianie przebiegało podobnie jak cementowanie jedności duchowej w średniowieczu. *Cuius regio, eius religio*. Formująca się narodowość Białorusinów, ograniczona historycznie do „muzyckiego” etosu, przepojona od początku socjalistycznymi tendencjami biedoty wiejskiej, z lekką domieszką klasycznego inteligenckiego nacjonalizmu, nie miała szans na samodzielność. Ówczesny Białorusin był w pełnym tego słowa znaczeniu hołyszem, skazanym niejako na bolszewizm. Zauważmy przy okazji, że w białoruskim krajobrazie literackim dopiero niedawno zjawilo się Miasto, chociaż kraj już w latach pięćdziesiątych zbliżył się do standardów europejskich, a literatura również wyszła z zaścianka.

To, że Łukaszenka odniósł druzgocące zwycięstwo w wyborach prezydenckich w niewielkim tylko stopniu jest zasługą jego „złowieszczej”, jak ją określa Smecz, osobowości. Nie wywindowali go też kołchoźnicy, bo jest ich mało. Łukaszenka wypłynął na fali „kompleksu sierociego” mas, ludzi należących do wielokrotnie opisywanego gatunku *homo sovieticus*, przeważających dziś na Białorusi. Ciekaw jestem – *per analogiam* – jak długo utrzymywało się pojęcie „Rzymianina” po upadku zachodniej części cesarstwa... Sławetne ubiegłoroczne referendum, dotyczące przede wszystkim imponderabiliów i języka urzędowego, wykazało, że świadomi Białorusini są jedynie dość sporą liczebnie mniejszością. Jednakże to do niej należy przyszłość tego kraju, który jeśli ma podwójne korzenie, to raczej polsko-białoruskie.

Każdy inny kandydat tegoż autoramentu, co Łukaszenka, też przeszedłby jak burza zmiatając po drodze rywali. Jest to kwestia zderzenia dwóch światów: starsze pokolenie nie wyobraża sobie innych warunków egzystencji, niż te *à la* ZSSR. Młodzi zaś dobrze wiedzą, że nie mają czego szukać na rosyjskich manowcach, chociażby z racji identycznej zapaści gospodarczej w obu państwach. Przede wszystkim jednak dlatego, że jako obywatele białoruscy zawsze będą w Federacji Rosyjskiej obcokrajowcami. Nastąpiła zamiana losu

i perspektyw życiowych, z globalno-imperialnych na krajowe. Ich ojczyzna nie sięga Pacyfiku i granic Chin, kończy się za Homlem, Orszą i Witebskiem. Tu trzeba mieszkać i coś robić, żeby dało się jakoś żyć. Tym bardziej, że potencjał ekonomiczny Białorusi wcale nie jest mniejszy od potencjału niejednego z mniejszych państw zachodnioeuropejskich, a jego ukryta dynamika rozwojowa popadła jedynie w stan letargu po katastrofie systemu. Podczas niedawnych potężnych manifestacji antyrządowych w Mińsku widziało się na ulicach niemal same młode twarze, gdzieś tam tylko trafiały się osoby starsze. Nie do emerytów wszakże należy przyszłość!

Łukaszenka i jego pretorianie najwidoczniej nie zdają sobie sprawy z tego, że uruchomili swoistą bombę zegarową, mechanizm przyspieszonego dojrzewania narodowego Białorusinów. Swoim szytym grubymi nićmi kunktatorstwem władza sprokurowała sytuację „zatkanej butelki”. W rezultacie tych poczynań ruch odrodzenia narodowego przestaje być postrzegany przez społeczeństwo w kategoriach problematyki kulturalno-oświatowej i coraz częściej odbierany jest jako program generalnej strategii dla kraju: bez białoruskiej kultury nie będzie białoruskiej państwowości. A zatem – zamykając sylogizm – i własnego chleba. Słowo białoruskie, jeszcze za *pieriestrojki* Gorbaczowa wykpiwane na wielkomiejskiej ulicy jako dziwaczny anachronizm i synonim zapleśniałej ciemnoty, dziś spotyka się już z atencją lub... obłądną nienawiścią ze strony rusofilów, a także miejscowych wyorderowanych weteranów władzy sowieckiej. Przeistoczyło się ono w narzędzie walki politycznej, w znak rozpoznawczy zwolenników demokracji i reform rynkowych. Agentom policyjnym zaś ułatwia wyłapywanie opozycji.

Przemiany te, ma się rozumieć, wymagać będą sporo czasu. Na razie rozwój patriotyzmu wyprzedza znacznie restytucję języka. Białoruś się zbiałoruszczy i pozbędzie na zawsze kompleksu parobka w cudzym dworze dopiero po zmianie pokoleń. Nie ma wszakże innego wyjścia. W przeciwnym wypadku nastąpi nieuchronna degradacja kraju do rzędu wewnątrzrosyjskich obwodów autonomicznych.

Europa nie może zrozumieć, dlaczego Białoruś nie wkra-
cza na drogę reform i przepędza zagranicznych inwestorów.

Przyptyw obcego kapitału wynosi obecnie równowartość dwudziestu centów w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Tymczasem Łukaszenka – po prostu siedzi i czeka. Wygrana Jelcyna z Ziuganowem oznacza zapewne przyhamowanie szaleńczego galopu prywatyzacyjnego. Na Białorusi prywatyzacja objęła dotychczas od 2 do 4 % substancji ekonomicznej kraju, w Rosji – ponad 50%. Integracja białoruskiego socjalizmu z rosyjskim kapitalizmem jest dziś zupełnie nierealna. Ale przecież Łukaszenka i Jelcyn mieli zupełnie inne cele na widoku. Pierwszy z nich chciał się dopchać do wyższych i donośniejszych trybun wszechrosyjskich, drugi zaś przeciagnąć na swoją stronę sporą część elektoratu Ziuganowa. Prawdziwe znaczenie obszaru białoruskiego dla Moskwy nigdy nie wykraczało poza potrzeby sztabu generalnego (już Lenin oddawał go z lekkim sercem Polsce w 1919 roku).

Przemówiła do mnie refleksja Smeczka, że Łukaszenka chce się pogrzać w zachodzącym sowieckim słońcu... Na więcej go po prostu nie stać. Czekaj, choć gra idzie o dużą stawkę. Wszystko, albo nie!

Białoruś ochrzczono sowiecką Wandą. Bardzo mnie to boli i smuci. Tak bym chciał, żeby mojemu narodowi udało się uniknąć upokorzeń i nieszczęść, które na niego czyhają. Rosja, Ukraina, wyhamowują „jздę w dół”, Białoruś pędzi na złamanie karku! Wpływy budżetowe państwa wynoszą raptem kilkanaście procent w stosunku do planowanych na pierwszy kwartał bieżącego roku. Opozycja skwitowała to aforystycznie: „Nie ma pieniędzy, nie będzie reżymu”. Kredyty zagraniczne omijają Republikę Białoruś. Finansowanie zaczyna się wkrótce z pomocą maszyny drukarskiej.

Poparcie dla prezydenta Łukaszenki opiera się na iluzorycznych kalkulacjach. Ich źródłem jest pamięć o korzyściach ze ścisłego związku z rosyjskim olbrzymem, kiedy to w Białoruskiej SSR żyło się znacznie dostatniej, lepiej nawet niż u „starszego brata”. Teraz ów „brat” sporo co prawda obiecuje, ale na obietnicach wszystko się kończy. Rachunki natomiast za ropę i gaz egzekwuje bezwzględnie z mińskiej kasy, mimo radosnego proklamowania SSR (Stowarzyszenia Suwerennych Republik). Wariant zerowy czyli anulowanie ponad miliardowego (licząc w dolarach) długu, Moskwa uzależnia już teraz od wystawienia stosownych

weksli przez rząd Łukaszenki, co przekreśla jakiegokolwiek jego aspiracje odegrania ponadbiałoruskiej roli. Będzie tańczył tak, jak mu zagrają w „trzecim Rzymie”, który w końcu pozbędzie się niedorajdy. Rosja chce mieć bufor białoruski z międzynarodową podmiotowością, a nie banalną gubernię na swoich zachodnich rubieżach. Wygodny balkon z widokiem na Ukrainę, Polskę i kraje bałtyckie. Musi tylko uważać, żeby ten balkon nie został niebawem wysadzony w powietrze przez „charyzmatycznego” postsowieckiego partofę.

Krynki

Sokrat JANOWICZ

Notatki rosyjskie

Główny problem, wydawałoby się, został rozwiązany. Borys Jelcyn uzyskał większość głosów i znów został prezydentem Rosji. W stosunku do wyborów 1991 roku różnica polega na tym, że ówczesna Rosja, chociaż głosiła, że jest państwem suwerennym, była jedną z republik ZSSR. Związek Sowiecki przestał istnieć, a nowa Rosja z nowym, choć starym prezydentem, może otworzyć nowy rozdział swojej historii. Szykowano się do uroczystej inauguracji. Słowa takiego w języku rosyjskim nie ma, przejęto je z amerykańskiego. Święto miało się odbyć na Placu Cerkiewnym przy Kremlu, przy biciu dzwonów i chóralnych śpiewach ód na cześć prezydenta. Oda, rodzaj wprowadzony do poezji rosyjskiej przez Łomonosowa, kwitła w XVIII wieku, lecz później została zapomniana. Mało znany poeta Borys Dubrowin przywrócił ją do życia. Oda powyborcza, jak na gatunek przystało, była optymistyczna i pełna zapału: „Kraj jest pełen sił i on sam dokonał wyboru”.

Dwie okoliczności zepsuły święto. Po pierwsze, stan

zdrowia Borysa Jelcyna. Ceremonię trzeba było nie tylko przenieść do zamkniętego pomieszczenia, mianowicie do kremłowskiego teatru, zainstalowanego na rozkaz Chruszczowa, ale i skrócić do trzydziestu minut. Drugą tyżką dziegciu okazali się Czeczeńcy, którzy przypuścili kolejny atak i odnieśli kolejne zwycięstwo. Pierwotny program inauguracji przewidywał „środki przeciwdeszczowe” (meteorolodzy zapowiadali złą pogodę): specjalne aparaty miały rozwiać chmury. Chmur nad Czeczenią nie przewidziano.

Pierwsze decyzje ponownie wybranego prezydenta świadczą o tym, że Borys Jelcyn ma niezłomny zamiar zachowania władzy. Między dwiema turami wyborów mianował sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Aleksandra Lebiedia, który w pierwszej turze zajął trzecie miejsce. Cena, jaką Jelcyn mu zapłacił, była wysoka: usunął ze stanowiska ministra obrony Graczowa, szefa własnej ochrony Aleksandra Korżakowa i przewodniczącego Federalnej Służby Bezpieczeństwa Barsukowa. Innymi słowy, przegnał najbliższych dworzan, którym ufał, rozstał się z tarczą, która była zarazem ścianą.

Po zwycięstwie nadal komponował nowe „komando”. Zostawił na stanowisku premiera Wiktora Czernomyrdina, ale posłał do rządu swoich ludzi: Olega Łobowa, który zwolnił stanowisko sekretarza Rady Bezpieczeństwa dla Lebiedia i Wiktora Iliuszyna. Szef Biura Prezydenta Nikołaj Jegorow został odesłany do Krasnodarskiego Kraju, a jego miejsce zajął Anatolij Czubajs, ojciec rosyjskiej prywatyzacji, który cieszy się opinią liberała. Żeby osłabić wpływy Rady Bezpieczeństwa, Borys Jelcyn powołał nowe ciało, Radę Obrony, której sekretarzem został Jurij Baturin, były pomocnik prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Skomplikowana struktura władzy, w której wszyscy jej depozytariusze nawzajem sobie wiążą ręce i zależą od ostatecznej decyzji prezydenta, zastępuje w dzisiejszej Rosji strukturę państwa prawa, w którym prezydent, parlament i sądownictwo nawzajem się równoważą. Specyficzną cechą obecnej rosyjskiej władzy jest brak partii. Komuniści przegrali wybory i starają się stworzyć jakiś „sojusz patriotyczny” wszystkich lewicowych partii opozycyjnych. Giennadij Ziuganow jest jedynym politykiem rosyjskim, który opiera się na organizacji. Jego porażka świadczy niewątpliwie o tym, że czasy się

zmieniły: dzisiejszej organizacji komunistów daleko do siły partii Lenina.

Kruchą równowagę prezydenckiej struktury władzy naruszyła sierpniowa ofensywa partyzantki czeczeńskiej. Świat był zdumiony nie tylko zwycięstwem, ale i tępym uporem, z jakim dowództwo rosyjskie odpowiedziało na wyzwanie. W grudniu 1995 roku, w marcu 1996 przeciwnicy postępowali tak samo: czeczeńscy bojownicy unicestwiali rosyjską obronę grupami złożonymi z 5-10 bojowców, a rosyjskie wojska rzucały do walki czołgi, artylerię i helikoptery. Wynik był zawsze taki sam: samodzielne małe grupy partyzantów niszczyły czołgi, a artyleria i helikoptery zabijały cywilną ludność. Celem obecnej ofensywy Czeczeńców było zatrucie jelcynowskiej inwestytury i zmuszenie Jelcyna do prawdziwych negocjacji. Pierwszy cel Czeczeńcy osiągnęli. Niewykluczone, że zrobili też decydujący krok w kierunku drugiego celu. Aleksander Lebied' został mianowany osobistym przedstawicielem prezydenta do spraw Czeczenii. Nie mniej ważny jest fakt, że funkcji tej pozbawiony został Oleg Łobow.

Strategię rosyjską w konflikcie czeczeńskim można nazwać strategią Łobowa. Zwolennikiem wojny z Czeczenią był też Paweł Graczow. Jednak w Czeczenii po stronie rosyjskiej walczy nie tylko – i nie tyle – armia, co formacje Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Łobow jako przewodniczący Rady Bezpieczeństwa koordynował działania wszystkich wojennych ministerstw. Oprócz tego jednak sporządził plan polityczny. To on wybrał do roli marionetki Moskwy byłego pierwszego sekretarza partii czeczeńsko-inguszczyjskiej republiki, Doka Zawgajewa.

Strategia Łobowa jest w głównych zarysach kopią strategii kniazia Bariatyńskiego, który dowodził wojskami rosyjskimi na Kaukazie w latach 60-tych ubiegłego wieku. Kniaziowi Bariatyńskiemu udało się zakończyć wojnę, która trwała blisko pięćdziesiąt lat, bo umiejętnie posługiwał się siłą – wojska wdarły się w głąb Czeczenii, wyrabując lasy – i równie umiejętnie złotem, przekupując klany. Udało mu się podzielić Czeczeńców na „ugodowców”, którzy pragnęli końca wojny i „nieugiętych”, którzy dalej wojowali z „niewiernymi”, zwiększając liczbę „ugodowców”, spychając w góry „nieugiętych”, rosyjski generał w zasadzie położył kres wojnie na

Kaukazie. Strategia Łobowa poniosła porażkę z wielu powodów, między innymi dlatego, że wybór Zawgajewa był stuprocentową pomyłką.

Nowa misja Aleksandra Lebiedia to „zatruty podarunek”, jak mówią Francuzi. To tak, jak w anegdocie. Były generał ma dwa wyjścia. Może nie wynegocjować pokoju i jego gwiazda zgaśnie równie szybko, jak weszła. Może też wynegocjować. Rozwiązanie kwestii czeczeńskiej składa się z dwóch części. Pierwsza: znaleźć formułę, która zadowoliliby pragnienie niezawisłości Czeczeńców i pragnienie Rosji, by Czeczenia została jej częścią. Nie jest to łatwe zadanie, ale możliwe. Rozdział drugi to wyprowadzenie rosyjskich wojsk z Czeczenii. Jest to trudniejsze, ale nie niemożliwe.

Sukces Aleksandra Lebiedia – o ile mu się uda – nada mu status delfina (pretendenta do tronu). Do wyborów prezydenckich stanął pod hasłem: „Jedną wojnę już skończyłem”. Miał na myśli konflikt w Mołdawii. Jeśli będzie mógł powiedzieć: skończyłem też drugą, otworzy się przed nim świetlista droga na Kreml. Nie jest to tor bez przeszkód. Pierwszą stanowi Wiktor Czernomyrdin. W tej chwili Lebied' i Czernomyrdin są przeciwnikami różnej wagi. Za Lebiediem nie stoi na razie żadna siła, która by na niego stawiała. Zależy w całości od widzimisę prezydenta. Stanowisko sekretarza Rady Bezpieczeństwa (która jest organem konsultacyjnym) nie jest zapisane w konstytucji, istnieje tylko w ramach sieci organów władzy prezydenta. Wiktor Czernomyrdin natomiast został wybrany przez prezydenta i zatwierdzony przez Dumę. Zgodnie z konstytucją, w razie śmierci prezydenta zajmuje jego miejsce na sześć miesięcy, w czasie których zostaną zorganizowane wybory. Pojęcie „organizowania wyborów” może mieć różne znaczenia, tym bardziej, że za plecami premiera stoi kompleks energetyczno-przemysłowy, którego główną siłą stanowi „Gazprom”, główny dostawca dewiz dla kraju.

Przetasowania w strukturze władzy znowu postawiły pytanie, które chętnie zadają dziennikarze i politycy: kto rządzi Rosją? Odpowiedź wydaje mi się prosta: rządzi Borys Jelcyn, póki zdrowia staje. Kiedy zdrowie szwankuje, nie rządzi nikt, Rosja porusza się siłą inercji. Kłopoty z władzą powodują niezliczone problemy we wszystkich dziedzinach

życia. Przede wszystkim – ekonomiczne. Liczni specjaliści uważają, że Rosję czeka jesienią katastrofa gospodarcza. Grigorij Jawlinski, kandydat demokratów w ostatnich wyborach prezydenckich, który zebrał 8% głosów, przytoczył szereg liczb w wywiadzie, którego udzielił Irinie Ilowajskiej, redaktorce paryskiej *Russkoj mysli*. Podatków zebrano 65%, a wydatki przekroczyły przewidziany w budżecie poziom o 75%. Robotnikom i urzędnikom nie wypłaca się pensji. Długi państwowe – mówi Jawlinski – wynoszą 27 trylionów rubli. Po wojnie domowej, kiedy szalała inflacja, Majakowski pisał, że obywatelom sowieckim odległość do księżyca wydaje się głupstwem. Dziś – jeśli mierzyć odległość w rosyjskich pieniądzach – nawet Mars stał się bliski.

Na pytanie, co trzeba zrobić natychmiast, dziś, „dla państwa rosyjskiego, biorąc pod uwagę jego obecną sytuację”, Grigorij Jawlinski, z zawodu ekonomista, odpowiada jak polityk: „W Rosji nie istnieje państwo. W Rosji istnieje reżym... To znaczy, że jeśli ministrem obrony okaże się Sidorow, armia może zostać zreformowana. Natomiast jeśli ministrem obrony zostanie Pietrow, to może zacząć się wojna. Jeśli wokół Jelcyna zbiorą się jakieś indywidualności, to sytuacja będzie taka; jeśli zbiorą się inni, to wszystko może się okazać całkiem inne”.

Sens wypowiedzi Jawlinskiego jest jasny. Jawlinski bardzo chciałby okazać się „indywidualnością wokół Jelcyna”, z którym spotykał się między dwiema turami, a także później. Można jednak w jego słowach znaleźć sens dodatkowy: że mianowicie nie uważa, by obecny reżym rosyjski był skazany na zagładę ani żeby był niereformowalny. Wracamy więc do punktu wyjścia: wszystko zależy od Borysa Jelcyna. Możliwości poprawy sytuacji istnieją.

Za główną specyfikę obecnej sytuacji w Rosji należy uważać, jak mi się wydaje, stosunek ludności do niej. Wojna w Czeczenii trwa półtora roku i – po pierwszym, krótkim okresie niezadowolenia – przestała ludzi oburzać. Protesty ustały. Obojętność ludności Rosji można tłumaczyć umiejętną propagandą, której udało się zrobić z Czeczeńców urodzonych bandytów, krwiożerczych nożowników, mafiosów itd. W piśmie *Itogi* (23.7.96) przeczytałem tekst pt. „Mała Czeczenia nad rzeką Moskwą”. Wynika z niego, że w stolicy

Rosji działa organizacja przestępcza, znana jako „ugrupowanie czeczeńskie”. Kontroluje ona banki, hotele, restauracje, kasyno i rozmaite firmy. Artykułowi towarzyszy mapa, na której oznaczone są kontrolowane przez Czeczeńców banki i inne instytucje. Grupa liczy ponad trzy tysiące ludzi. Autor kończy tekst pytaniem: dlaczego nie podejmuje się kroków? Organy milicji i służby bezpieczeństwa są o wszystkim poinformowane. Rzeczywiście, co znaczą trzy tysiące ludzi wobec 8-10 milionów mieszkańców Moskwy? Okazuje się: „Nie ma rozkazu”. Nikt nie każe zlikwidować przestępców. Komuś są potrzebni. Dla zarobku, dla tworzenia atmosfery „zagrożenia czeczeńskiego”.

Nienawidź do obcych ras nie trudno rozbudzić. Ale już od kilku lat państwo nie wypłaca pensji albo wypłaca je z ogromnym opóźnieniem. Nie wywołuje to żadnych burz społecznych. Niedawno strajkowali górnicy Workuty. Kiedy im wypłacono część zaległych poborów, a resztę obiecano wypłacić później, górnicy wrócili do kopalń. Niektórzy obserwatorzy tłumaczą bierność społeczeństwa rosyjskiego jego tradycyjną cierpliwością. W 1945 roku na bankiecie ku czci zwycięstwa, Stalin wznosił toast za „wytrzymałość” jako główną zaletę narodu rosyjskiego. Jest jednak w tej bierności wobec trudności życia codziennego i nowy element – pragnienie znacznej części społeczeństwa, by się przystosować do nowych warunków i nowego życia. Jedną z postaci Ilfa i Pietrowa opowiadała, że obudził się w niej prywaciarz, a prywaciarzowi zachciało się pohandlować. Na początku lat 30-tych, kiedy ukazywały się powieści Ilfa i Pietrowa, było to pragnienie dziwne, by nie powiedzieć przestępcze: intensywna budowa socjalizmu była w pełnym toku. Dziś buduje się kapitalizm. Miłość do handlu jest uczuciem dozwolonym. Handluje kto i czym może. Siedmiu byłych szpiegów sowieckich (z wywiadu!) napisało właśnie „Przewodnik KGB po krajach świata”. Zainteresowany czytelnik znajdzie w nim opisy restauracji i innych miłych miejsc w Paryżu, Londynie, Rzymie, Nowym Jorku, Bangkoku, Kairze, Mexico City. Pisarze (wiadomo, najbardziej wyczuleni) też nadążają za duchem czasów: w ciągu pierwszych miesięcy 1996 roku wyszło dwanaście biografii Stalina (w tym „Kochanki Stalina” L. Hendlina i W. Zubrilowa, dostępne już, o ile się nie mylę,

czytelnikowi polskiemu), dwie powieści o Rasputinie, pierwsza powieść o Gorkim („Pod znakiem Skorpiona” A. Szalszyna). Kiedy Giennadija Ziuganowa zapytano, co myśli o Stalinie, wódz komunistów odparł: „Stalin – to dla Szekspira”. W latach 20-tych wiele mówiono o tym, że pierwsze w świecie państwo socjalistyczne potrzebuje czerwonych Szekspirów, Henryków Heine, Byronów. Którzy się, jak wiadomo, pojawili. Widocznie każda epoka ma takich Szekspirów, na jakich zasługuje. Tak to ludzie uczą się nowego życia.

Byłem niedawno w Warszawie z serią wykładów. Pytano mnie trwożliwie: dlaczego Aleksander Lebid' powiedział, że jest demokratą w pięćdziesięciu procentach? Odpowiedziałem, że dla mnie pięćdziesięcioprocentowy demokratą Lebid' to wielkie zwycięstwo demokracji. Jeśliby były dowódca 14-tej Armii oświadczył, że jest demokratą stuprocentowym, jak Clinton, mielibyśmy powody do wątpienia. Ale 50%? 100% to lepiej niż 50% – przyznaję – ale pięćdziesiąt to lepiej niż zero.

Działanie bakcyli demokracji trwa. Pod koniec naszego stulecia w Federacji Rosyjskiej mają się odbyć terenowe wybory. Będzie to jeszcze jedna próba demokracji.

13.8.96

Adam KRUCZEK

Ukraina – pięć lat niepodległości

Choć bieda piszczy ze wszech stron i ludzie żyją w nędzy, Kijów przywdział na piątą rocznicę niepodległości odświętne szaty. Stojnie wygląda szeroki jak Pola Elizejskie w Paryżu, Chreszczatyk. Tylko stalinowskie gmachy ze wschodnimi wieżyczkami i ornamentami jak na warszawskim Pałacu Kultury przypominają czasy sowieckiego kolonializmu. Powoli stają

się symbolem dziwnej egzotyczności, coraz bardziej niezrozumiałej i tajemniczej dla młodego pokolenia, wyrastającego w atmosferze własnego państwa. Tylko ci, co budowali te domy na zgliszczach doszczętnie zniszczonego miasta przez cofające się wojska niemieckie, patrzą na dzieło swych rąk z nostalgiczną dumą. Znajomy architekt, który mnie czasami oprowadza po stolicy twierdzi, że te domy będą długo stały. Budowano je solidnie, bo głównie rękami jeńców niemieckich, którzy pracowali w wrodzoną sumiennością i strachem przed następstwami jakiegokolwiek fuszerki. Późniejsze osiedla, tak zwane „chruszczowówki”, już się rozlatują. Ale najpierw dawny Chreszczatyk wyleciał w powietrze nazajutrz po wejściu Niemców. Sowietci przed opuszczeniem Kijowa podminowali główne gmachy bulwaru i wysadzili je po wkroczeniu Niemców przy pomocy zdalnie kierowanej aparatury. Winę za zbrodnię przypisali w swej propagandzie nowym okupantom. Nie wszystko obróciło się w perzynę. Wiele starych domów na Żytomierskiej, Włodzimierowskiej, koło Wałów Jarosława lub przy Zjeździe Andrzejowskim zachowało się po dziś dzień. Mało z nich odrestaurowano w porę. Wiele przepięknych zabytków z okresu secesji z przemysłowymi fasadami, sztukaterią i freskami rozpada się w oczach. Państwo nie ma pieniędzy, a Rada Miejska stolicy zajęta politycznymi sporami i intrygami, zaniedbuje sprawę ratowania cenneści.

Kuczma nadał pięcioleciu niepodległości charakter uroczystości najwyższego rzędu, postępując zgodnie z zasadą, która przetrwała wszystkie epoki od starożytności, że jak nie ma *panem*, czyli chleba, to trzeba dać tłumom *circenses*, czyli rozrywkę. Na Ukrainie, a szczególnie w stolicy, nie ma głodu, ale istnieje powszechna bieda. Państwo nie płaci na czas pensji i emerytur, zmuszając ludzi do szukania dodatkowej pracy lub pokątnych zarobków. Obraca się to w niechęć do demokracji, apatię polityczną, a u starszej generacji w nostalgiczne nastroje retro według prostej filozofii, że za komunistów była praca, było co jeść i był porządek. Stary weteran obwieszony medalami siedzi w cienistej alei na ławce i kosturem pokazuje na lawinę lecących po Chreszczatyku mercedesów, fordów i toyot, pouczając: „Widzi Pan, to ci – jak się mówi – ‘Nowi Ukraińcy’, kapitalistyczne rekiny,

kradną nasze pieniądze i żyją w luksusie”. Takich jak on, rozczarowanych z powodu reform, po których sobie obiecywali złote góry a otrzymali utratę skromnych oszczędności i codzienny niedostatek, są wielotysięczne rzesze. Istotnie, rodzący się stan właścicieli i przedsiębiorców, jest brutalny i nie przebierający w środkach. Ustawodawstwo, które by czuwało nad praworządnością i jako taką sprawiedliwością społeczną, jest słabo rozwinięte. Podobnie jak w Rosji kwitnie korupcja. Często nie wiadomo gdzie się zaczyna normalna działalność przedsiębiorcza a gdzie struktura mafii. Granice są płynne i dla postronnego obserwatora niedostrzegalne, a wręcz idiotyczny system podatkowy stanowią główną barierę dla ujawnienia nielegalnych interesów i zatrzymania rodzimego kapitału przed ucieczką do obcych banków.

Wiadomo, że blaskiem odświętnych akademii i ogniem iluminacji, zdobyć sympatii społeczeństwa na dłuższy okres niepodobna. Ale Kuczmie i rządzącemu obozowi chodziło przy uroczystych zebraniach i pierwszej po pięciu latach tak reprezentacyjnej defiladzie wojska na Chreszczatyku, nie tylko o załatwienie dziury zaufania. Szło przede wszystkim o wzmocnienie świadomości państwowej i patriotycznej. Dla młodego państwa, borykającego się z tysiącem trudności, ma to kluczowe znaczenie. Reformy ekonomiczne zbyt późno zaczęte i tylko połowicznie zrealizowane, muszą być teraz okupione większymi ofiarami, niż to było u początku drogi. A zanim prywatyzacja przyniesie oczekiwane owoce, Ukrainie przyjdzie jeszcze bardziej zacisnąć pasa na i tak już mocno wychudzonym organizmie. Aby temu zadaniu sprostać, trzeba przynajmniej zdobyć zaufanie dużej części społeczeństwa. Nie jest to sprawa łatwa. Społeczeństwo przestało wierzyć w sukces reform i nikt nie wie jak tę utraconą wiarę przynajmniej częściowo odtworzyć i spowodować większe zaangażowanie a nie trwanie – jak obecnie – w biernym oczekiwaniu.

Brak cudotwórców

Współczesna Ukraina w pięć lat po uzyskaniu niepodległości cierpi na brak mężów stanu z siłą osobistego uroku i umiejętnością roztaczania optymistycznej wizji przyszłości.

Taki dar posiadał u progu swej prezydentury Leonid Krawczuk, wielki krasomówca i autor urzekających wówczas planów. Ale brakło mu w równym stopniu rozwiniętej siły woli do szukania i powierzania władzy zdolnym administratorom. Czas wielkich słów i potężnych wieców, oparty bardziej na poetach i propagandystach, niż na inżynierach i pragmatykach, skończył się w połowie dotychczasowej drogi, po dwóch z hakiem latach, potężnym kacem rozczarowania.

Miejsce Krawczuków, Pawłyczków i Horyniów, reprezentujących fuzję Kijowa z Wołyniem i Galicją, zastąpiła inna formacja, głównie z klasy przemysłowych organizatorów i wyższych grup inżynierów pod przewodnictwem Leonida Kuczmy, dyrektora a przedtem konstruktora największej na świecie fabryki rakiet międzykontynentalnych w Dniepropetrowsku. Ale tak jak pierwsza formacja państwowotwórcza mobilizowała emocję i nadzieję, tak jej następczyni postanowiła stanąć na gruncie rzeczywistości i trzymać się tylko faktów i liczb. W ekipie Kuczmy zabrakło tego elementu, którego było za dużo w obozie Krawczuka. Sam Leonid Kuczma nie jest mówcą. Początkowo, po częściowym zruszczeniu, miał nawet trudności w swobodnym operowaniu ukraińskim słowem. W międzyczasie mówi płynnie i nienagannie w ojczystym języku, z lekkim śladem rodzimej czernichowszczyzny. Ale kreatywnego wizjonerstwa nie można się wyuczyć, zwłaszcza przekonany pragmatyk-racjonalista. Dlatego też cały program sanacji Ukrainy, chorej na jednostronność i technologiczne zacofanie od początków industrializacji, forsowany przez Kuczmy i jego otoczenie, od początku jakby zawisł w martwej przestrzeni.

W ekipie Kuczmy nie znalazł się nikt – albo prezydent nie szukał takich talentów z uporem – kto by umiał w sposób przystępny, ale jednocześnie atrakcyjny, systematycznie wyjaśniać idee reform społeczeństwu. Jest to tym bardziej niepokojące, iż struktura życia politycznego nad Dnieprem jest niedorozwinięta. Na skutek najbardziej chyba głupiej – oprócz istniejących jeszcze ustrojów totalitarnych – ordynacji wyborczej i wciąż jeszcze trwającego blokowania ustawy o partiach politycznych, ani prezydent, ani premier i jego gabinet, nie reprezentują konkretnego stronnictwa politycznego. Dlatego tak trudno rozróżnić polityków sprawujących

władzę według przekonań i kierunków. Tylko komuniści, lewicowi socjaliści i nacjonaści, stanowią łatwe do odcyfrowania grupy polityczne. Natomiast nie wiadomo jak ustalić linię podziału pomiędzy tak zwaną „partią władzy” i opozycją. Stąd też zagmatwana kwestia ponoszenia odpowiedzialności za popełnione błędy i wyboru następców na opróżnione fotele ministerialne.

Dopóki te podstawowe mankamenty młodej demokracji ukraińskiej nie ulegną poprawie, dopóty będzie trwał okres niedowład politycznego przypominającego raczej nieforemną galaretkę niż jasno określone i wzajemnie od siebie odgródzone programowo struktury. Wyłonionych w międzyczasie w Werchownej Radzie, czyli parlamencie, rozmaitych frakcji nie można utożsamiać z ugrupowaniami według klucza partyjnego, gdyż są to zespoły często przypadkowe, oparte nie na bazie odmiennych celów i zadań, lecz na porozumieniu pomiędzy grupami posłów w imię ustalonych wspólnych interesów. Zresztą frakcje te nie ponoszą żadnej odpowiedzialności przed wyborcami i nie ujawniają im wyraźnie swych orientacji. Rzecz jasna, że nie wzbudza to zaufania do formalnie istniejącego ale bardzo kulejącego systemu parlamentarnego.

Większość istniejących stronnictw, albo nie jest w ogóle reprezentowana w parlamencie, albo, jeżeli tak, to z wyjątkiem komunistów i Ruchu, bardzo fragmentarycznie. Opozycja pozaparlamentarna, zwykle między sobą skłócona, nie jest w stanie – podobnie jak w Polsce – wytworzyć formacji alternatywnej. Dlatego też nie stanowi takiego czynnika, z którym musieliby się liczyć prezydent i premier. Powoduje to chaotyczne stosunki zwłaszcza na prowincji i paraliżuje w konsekwencji powstanie jeżeli nie prężnej – bo o tym na razie nie można nawet marzyć – to przynajmniej uczciwej administracji terenowej.

Rezultatem takiego niedorozwoju jest *vacuum*, którego nie jest w stanie wypełnić żadna instytucja lub jednostka. Związki Zawodowe, rozdrobnione i słabo zorientowane w swoich kompetencjach, nie mają żadnej siły przebicia. Jeszcze gorzej przedstawia się brak autorytetu moralnego kościołów. Żaden z żyjących dostojników prawosławnych i grekokatolickich nie rozporządza takim wpływem na społeczeństwo,

który mógłby się stać oporą moralnego odrodzenia ludu zdeprawowanego pod rządami sowieckimi. Ostatnio usiłuje w tę lukę wskoczyć inteligencja, ale nie wszyscy pisarze, poeci, czy naukowcy mają tak nieskazitelną przeszłość, by mogli objąć rządy dusz, jakby tego chcieli albo jak im się to wydaje.

Ukraińskie Siły Zbrojne

Armia, liczebnie jest po rosyjskiej największą w Europie. Ale ilość – to nie jakość. Głównym problemem jest redukcja od sześciuset tysięcy żołnierzy do przewidzianego stanu dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Takie są zamiary rządu, ale co zrobić z tysiącami zwalnianych oficerów, którzy oprócz wojaczki nie znają innego zawodu. Ci, co służą w lotnictwie, lub przy czołgach i w jednostkach zmotoryzowanych mogą znaleźć – i to jest na porządku dziennym – pracę w cywilnym lotnictwie lub w zawodzie szoferskim. Organizowane są kursy przeszkolenia. Niektórzy starsi oficerowie po zwolnieniu znaleźli pracę w prywatnych firmach.

Inny problem to reforma armii. Zmienia się stary podział Ukrainy na wojskowe okręgi, które były wynikiem strategii sowieckiej. Główne siły armii były skoncentrowane na zachodzie nad granicą z Polską i Węgrami – zgodnie z planami Moskwy ofensywy na wypadek trzeciej wojny światowej. Natomiast granice z Rosją, Białorusią, były odłonięte. Obecnie następuje dyslokacja wojsk według odmiennego planu, ale jest to problem skomplikowany i kosztowny. Ogromny poligon niedaleko Lwowa pod Jaworowem służy obecnie jako pole ćwiczeń wojsk ukraińskich i amerykańskich. Dyslokacja może być tylko częściowa, bo nie można zamykać rozbudowanych baz lotniczych lub czołgowych, koszar i budować nowych obiektów gdzie indziej. Na to nie ma pieniędzy. Jako wyjście przewidziane są zmiany strukturalne, a mianowicie tworzenie sił szybkiej dyslokacji, głównie desantowych.

W spadku po armii sowieckiej Ukraina odziedziczyła olbrzymi przemysł zbrojeniowy i wielkie ilości najlepszego na owe czasy sprzętu technicznego. Ale niedługo trzeba będzie modernizować uzbrojenie. Największym szkopułem dla

ukraińskiego przemysłu zbrojeniowego jest utrzymanie zdolności produkcyjnych w wytwarzaniu rakiet – oczywiście bez głowic atomowych, które pochodziły z Rosji i tam też zostały wywiezione, samolotów, najnowocześniejszych czołgów i okrętów bojowych, ale nie krążowników i lotniskowców, których produkcja w stoczniach w Mikołajewie została – oprócz zamówień Rosji – zlikwidowana. Buduje się małe jednostki przybrzeżne, ścigacze.

Prezydent Kuczma trzyma wojsko z dala od polityki. Po generałach Morozowie i Radeckim, którzy byli kolejnymi ministrami obrony za Krawczuka, nowy prezydent próbował i na tym polu upodobnić swój kraj do państw zachodnich. Mianował ministrem cywila, inżyniera z przemysłu zbrojeniowego, Szmarowa. Ale eksperyment się nie udał. Szmarow narobił wiele błędów, popodpisywał umowy z Rosją na niekorzyść własnych sił zbrojnych, wmieszał się w jakieś machlojki, a przede wszystkim zraził sobie generację. Na początku lipca 1996 Kuczma zwolnił Szmarowa i ministrem nazaczył znowu generała, 42-letniego Oleksandra Kuźmuka, dotychczasowego dowódcę Narodowej Armii Sztabu Generalnego w dziedzinie wojsk pancernych.

Uchwalenie konstytucji

Najważniejszym wydarzeniem, zamykającym pięcioletni okres budowania zrębów państwowości, było uchwalenie w dniu 28 czerwca, zaraz po powrocie prezydenta Kuczmy z oficjalnej (i bardzo udanej) wizyty w Warszawie, nowej konstytucji. W ten sposób zakończył się długotrwały spór pomiędzy przeciwnikami demokracji i jej obrońcami. Cała sprawa wlokła się od lata 1990 roku, czyli od czasu uchwalenia suwerenności w dniu 16 lipca tegoż roku, a więc w rok przed proklamowaniem niepodległości 24 sierpnia 1991. Co kilka miesięcy zmieniały się komisje przygotowujące projekt nowej ustawy zasadniczej, bo wciąż jeszcze, choć niejednokrotnie przerabiana, obowiązywała konstytucja z czasów sowieckich z kwietnia 1978 roku. Kuczmie po dojściu do władzy marzyła się konstytucja na wzór francuski. Ale lewacka większość w Werchownej Radzie nie chciała o tym

słyszeć. Nie czekając na zakończenie prac nowo powołanej komisji mieszanej, prezydent postanowił wprowadzić na czas przejściowy prowizoryczną Małą Konstytucję, opartą nieomal w całości na obowiązującej obecnie w Polsce. Po długich pertraktacjach parlament dał zgodę na wprowadzenie takiego prowizorium 18 maja 1995 roku, ale zaraz potem odmówił uchwalenia przepisów wprowadzających Małą Konstytucję w życie. Wobec tego Kuczma zagroził zwróceniem się do narodu, aby ten zdecydował o konflikcie. Posłowie przestraszyli się konfrontacji i dali zgodę na wprowadzenie przejściowego układu konstytucyjnego pomiędzy prezydentem i parlamentem do czasu opracowania i uchwalenia nowej konstytucji. W marcu 1996 projekt był gotowy i dawał ogromne kompetencje prezydentowi. Przeciwno tym planom wystąpili komuniści, którzy liczyli prawdopodobnie na zwycięstwo swoich kamratów w prezydenckich wyborach w Rosji. Demokratyczni posłowie zaproponowali kompromis w postaci osłabienia prerogatyw prezydenta. W tym celu utworzono komisję arbitrażową. 4 czerwca przedstawiony został Izbie nowy, przerobiony tekst. Ale i to nie znalazło akceptacji u komunistów. Jeszcze z Warszawy prezydent Kuczma nakazał swym doradcom pozostałym w Kijowie, aby zapowiedzieli rozporządzenie głowy państwa o plebiscycie „za”, lub „przeciw” nowej konstytucji. Wróciwszy z Polski Kuczma wydał edykt o przeprowadzeniu referendum na temat przyjęcia lub odrzucenia projektu w dniu 25 września. W takich warunkach 27 czerwca wieczorem rozpoczęła się najdłuższa debata w historii ukraińskiego parlamentu. Rozpatrywano po kolei każdy ze 161 artykułów projektu. W toku nocy załamał się jednolity dotychczas front lewicy. Nawet towarzysze z komunistycznej frakcji nie podporządkowali się dyscyplinie partyjnej. 23 komunistycznych posłów oddało głosy „za”. Po dwunastu godzinach gorących polemik, nowa konstytucja została uchwalona olbrzymią większością 315 głosów. 30 posłów głosowało przeciw, 12-tu wstrzymało się od decyzji.

I choć Kuczma nie osiągnął konstytucji na modłę francuską, to jednak w rękach prezydenta nadal skoncentrowano więcej kompetencji niż u premiera. Tylko w porównaniu z pierwszym wariantem projektu, wzrosła rola parlamentu.

Taka była cena kompromisu. Tekst nowej konstytucji wprowadza państwo ukraińskie w poczet demokratycznych krajów świata. Najsilniejszą stroną tego ładu jest konstytucyjna gwarancja nieskrępowanych praw i swobód ludzkich i obywatelskich. W ten sposób został zatwierdzony dokument, wokół którego może i powinna koncentrować się identyfikacja społeczeństwa ukraińskiego i równoprawnych mniejszości narodowych. Taki też był sens uroczystości na pięciolecie niepodległości, oraz przeprowadzenie po raz pierwszy wielkich manewrów marynarki wojennej i piechoty morskiej na Morzu Czarnym z udziałem prezydenta Kuczmy oraz największych dotąd ćwiczeń ukraińskiego lotnictwa bojowego na bazie w Winnicy, gdzie przed laty służył generał Dżochar Dudajew i gdzie podobno znalazła schronienie wdowa po nim – Ałła Dudajewa.

Bohdan OSADCZUK

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: W roku ubiegłym niemieckie obroty handlowe z krajami byłego bloku wschodniego wzrosły o 13,4% i osiągnęły 120 miliardów marek (9% całości obrotów). ■ Według monachijskiego Instytutu Badań Gospodarczych, w bieżącym roku inwestycje w Niemczech Wschodnich będą niższe o 5% niż w roku ubiegłym (20 miliardów) i mają osiągnąć 16 miliardów marek. Tym samym zmniejszą się po raz pierwszy od chwili zjednoczenia Niemiec. ■ Nowy rekord osiągnęły w roku ubiegłym inwestycje gospodarki niemieckiej zagranicą. Inwestycje bezpośrednio zwiększyły się o 80% do sumy 48 miliardów marek (28 miliardów w roku 1994). Inwestycje zagraniczne w Niemczech zwiększyły się natomiast tylko o 2,7 miliarda i osiągnęły 13,9 miliardów marek. ■ Przeciętne płace gwarantowane umowami zbiorowymi osiągnęły w nowych landach

w roku 1995 poziom 87% płac w landach zachodnich. ■ Zdaniem przedstawicieli gospodarki z Berlina i Brandenburgii koszty produkcji w nowych landach są obecnie wyższe niż w USA, Francji i Włoszech. ■ Według ankiety Instytutu Gospodarki Niemieckiej (IW) 64% wschodnioniemieckich przedsiębiorstw w roku bieżącym planuje redukcję personelu a tylko 11% stworzenie nowych miejsc pracy. ■ Od roku 1990 niemiecki przemysł branży elektrotechnicznej przeniósł 100.000 miejsc pracy zagranicę. 80% ankietowanych przedsiębiorców podało jako powód zbyt wysokie koszty produkcji w Niemczech. ■ Zdaniem ekspertów szwajcarskich z Lausanne Niemcy znajdują się na czwartym miejscu na świecie pod względem atrakcyjności dla nowych inwestycji po USA, Singapurze i Japonii. ■ Od roku 1985 do 1993 liczba osób utrzymujących się z zapomóg na życie zwiększyła się z 2 na 3,5 miliona, a wysokość średniej zapomogi na osobę wzrosła z 385 na 514 marek. ■ Mimo pogorszenia się koniunktury gospodarczej i sytuacji finansowej gospodarstw domowych, obywatele Niemiec wydali w roku ubiegłym na podróżę zagraniczne rekordową sumę 69,5 miliardów marek. ■ Jeden niemiecki rolnik produkuje żywność przeciętnie dla 91 ludzi – w roku poprzednim dla 87, a w roku 1989 dla 53 ludzi. ■ Zmiany strukturalne w gospodarce krajów byłego bloku wschodniego przyniosły korzyść tylko landom zachodnim, których eksport do tych krajów w ciągu ostatnich 10 lat się podwoił i osiągnął w roku ubiegłym 56 miliardów marek. Natomiast obroty (eksport w takim samym stopniu jak i import) landów wschodnioniemieckich z tymi krajami zmniejszyły się w tym okresie o 4/5. ■ W tym roku transfer finansowy ze środków państwowych do nowych landów wyniesie ma 181 miliardów marek. Zdaniem ministra w urzędzie kanclerskim Bohla transfer ten będzie konieczny także przez dłuższy okres po roku 2000. ■ Pod koniec maja br. na niemieckim rynku kapitałowym pojawiły się akcje Banku Gdańskiego jako pierwsze akcje polskie. ■ Firma Adam Opel AG zainwestuje w Gliwicach ponad 516 milionów marek w budowę jednej z najnowocześniejszych fabryk samochodów w Europie. Zdaniem przewodniczącego korporacji General Motors Johna F. Smitha jr. „europejska strategia Opla zwrócona jest na Polskę, która jest dla firmy najważniejszym krajem tego regionu”. ■ **POLITYKA:** Niemiecki minister obrony Rühle pragnie zwiększyć zdolność współpracy Bundeswehry w międzynarodowych jednostkach interwencyjnych.

W tym celu ma zostać polepszony sektor rozpoznawczy i transportowy oraz zwiększona siła bojowa. ■ Po zakończeniu „zimnej wojny” ze wszystkich państw przemysłowych Niemcy najbardziej (o 42%) zmniejszyły wydatki na cele militarne (przeciętnie 30%). ■ Brytyjskie jednostki lotnicze opuszczają Niemcy do roku 2002. ■ W roku ubiegłym wnioski o azyl złożyło w Niemczech 128.000 osób (127.210 w 1994 r.); 33.000 wnioskodawców pochodziło z terenu byłej Jugosławii a 25.000 z Turcji. Wskaźnik odpowiedzi pozytywnych wynosił średnio 9%. ■ W roku 1995 niemiecka straż graniczna (Bundesgrenzschutz) ujęła na granicy niemiecko-polskiej 13.276 nielegalnych imigrantów (300 mniej niż w 1994). Tylko 1293 spośród nich złożyło następnie wniosek o azyl polityczny. Większość z nich odesłano natychmiast do Polski na podstawie umowy o readmisji. ■ Pełnomocnik federalny d/s przesiedleńców Horst Waffenschmidt stwierdził, iż rocznie w Niemczech można zintegrować 220.000 przesiedleńców pochodzenia niemieckiego bez niebezpieczeństwa konfliktu z ludnością miejscową. Przeciw tej pozycji występuje przewodniczący SPD Oskar Lafontaine, który zażądał ograniczenia liczby przesiedleńców do 100.000 rocznie. ■ Ostre kontrowersje i reakcje szeregu polityków oraz publicystów niemieckich wywołało stwierdzenie ministra d/s rozwoju Carla-Dietera Sprangera, który w czerwcu br. ostrzegł przed konsekwencjami „możliwej nieograniczonej imigracji 800.000 Żydów z Ukrainy do Niemiec. ■ Co trzeci mieszkaniec nowych landów ma zaufanie do partii niemieckich postkomunistów PDS. Największe zaufanie (41%) PDS posiada wśród bezrobotnych. ■ Zdaniem redaktorów telewizyjnego programu publicystycznego „Panorama”, coraz więcej obywateli niemieckich nabywa nielegalnie ziemię w Polsce za pomocą pośredników. Według nich, wśród kupców przeważają wypędzeni po roku 45 byli właściciele i Niemcy szukający tanich parceli pod budowę domków na wypady weekendowe i miejsca spędzenia starości oraz spekulanci. ■ W ciągu ostatnich 4 lat, 52 byłych mieszkańców miasta Liberec/Riechenberg w Czechach złożyło wnioski o zwrot mienia przejętego przez rząd czechosłowacki po roku 1945. Władze Liberca odrzuciły wnioski stwierdzając, iż są one w sprzeczności z prawem czeskim. ■ Prezydent Federalnego Związku Wypędzonych (BdV) Fritz Wittmann zażądał w połowie czerwca br. od władz RFN włączenia kwestii „prawa wypędzonych do ojczyzny” do rokowań na temat rozszerzenia

NATO i UE z krajami kandydackimi. Podał też, iż jego organizacja powołała specjalną grupę roboczą d/s odszkodowań dla wypędzonych, gdyż „nie wolno dopuścić do nowego wypędzenia”. Wittmann zaproponował ponadto transfer skonfiskowanego majątku, będącego obecnie własnością państwową, do specjalnego funduszu. Uzyskane w ten sposób środki finansowe miałyby następnie służyć wypędzonym i ich rodzinom, gotowym do „zaangażowania się i osiedlenia w ich ojczyźnie”. ■ 17.06.1996 r. odbyło się w Poczdamie oficjalne objęcie stanowiska przewodniczącego fundacji Niemiecko-Polska Wymiana Młodzieży ze strony polskiej przez dr. Stanisława Sułowskiego. Ze strony niemieckiej stanowisko to piastuje nadal dr Michael Lingenthal. Od chwili założenia w roku 1992 fundacja sfinansowała spotkania 220.000 młodocianych z obu krajów (w roku ubiegłym 77.000). Liczba odnośnych wniosków jest dwa i pół raza większa. ■ KULTURA: Po corocznym zjeździe PEN-Clubu Zachodnioniemieckiego (West-PEN) w połowie maja br. ze stanowiska sekretarza generalnego tej organizacji ustąpił Manfred Schlösser. Ustąpienie było reakcją na gwałtowną krytykę kilku uczestników po skrytykowaniu prezeń autorów zachodnioniemieckich wstępujących do PEN-Clubu Wschodnioniemieckiego (Ost-PEN). Nadal kwestią kontrowersyjną pozostają plany fuzji obu organizacji z powodu groźby opuszczenia zjednoczonego PEN-Clubu przez takich pisarzy jak np. Günter Grass. ■ W Weimarze otwarto pierwszy wschodniemiemiecki Instytut im. Goethego. W 78 krajach na całym świecie rząd RFN finansuje działalność 150 przedstawicielstw Instytutu. ■ W Lipsku otwarty został „Dom Książki” (*Haus des Buches*). Jest on obecnie największym centrum literackim w Niemczech, w którego powstanie Związek Branżowy z Frankfurtu nad Menem zainwestował 42 miliony marek. ■ W czerwcu br. z udziałem poety odbył się w Berlinie wieczór autorski poświęcony twórczości Tadeusza Różewicza zorganizowany przez DAAD. ■ Od marca do kwietnia br. miał miejsce w Bonn cykl wieczorów autorskich zorganizowanych przez dziennikarkę i tłumaczkę Danke Spranger. Udział wzięli m.in. Marek Nowakowski, Janusz Rudnicki i Józef Hen. Cykl odbył się w ramach programu „Zbliżenia – Niemcy i Polacy 1945 do 1995”. ■ Stanowisko Dyrektora Polskiego Instytutu Kultury w Berlinie po Dorocie Paciarelli, która piastowała je od roku 1990, objął w kwietniu br. prof. Bohdan Rymaszewski z Warszawy. W ciągu swej

kadencji Dorota Paciarelli wraz ze swą zastępczynią Anną Zinserling stworzyła z PIK najważniejszą instytucję popularyzującą kulturę polską w stolicy Niemiec. ■ Na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, gdzie jedną trzecią studiujących stanowią studenci polscy, powstało pierwsze studium doktoranckie. Wspierane jest ono przez Niemieckie Zrzeszenie Badawcze i podlega Instytutowi Literatury i Polityki im. Heinricha von Kleista. ■ W kwietniu i maju br. w siedzibie Gminy Żydowskiej w Berlinie miała miejsce wystawa fotografii Piotra Jantosa i Agencji Światowid pt.: „Było kiedyś takie życie. Kazimierz – żydowska dzielnica Krakowa”. ■ Nagrodę Fundacji Boscha i Niemieckiego Instytutu Kultury Polskiej w Darmstadzie „Förderpreis für polnische Uebersetzer deutscher Literatur” wręczono pod koniec marca br. tłumaczce dr Annie Wołkowitz z Warszawy i tłumaczowi dr. Janowi Garewiczowi. ■ Na początku maja br. odbył się w Zgorzelcu 5. Kongres Niemiecko-Polski z udziałem m.in. przedstawicieli 25 regionalnych Towarzystw Niemiecko-Polskich. ■ Pierwsze tegoroczne wydanie niemiecko-polskiego magazynu dwujęzycznego *Dialog* poświęcone jest w całości Polonii w Niemczech. ■ Na terenie Republiki Federalnej ukazuje się ponad 9.000 tytułów czasopism i gazet o każdorazowym łącznym nakładzie 390 milionów egzemplarzy. ■ Według danych fundacji „Lesen” w Niemczech żyje 4 miliony wtórnych analfabetów, którzy po skończeniu nauki w szkołach nie potrafią obecnie czytać i pisać. ■ Nie ulega zmianie negatywna postawa Rosji w sprawie niemieckich żądań zwrotu tzw. „skarbu Pryjamosa” oraz pozostałych około 200.000 przedmiotów sztuki wywiezionych tuż po wojnie z Niemiec przez wojska sowieckie. ■ W ramach Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie nad Menem (02-07.10.96 r.) odbędą się po raz pierwszy Międzynarodowe Targi Prasowe. Planuje się wprowadzenie tej imprezy jako stałej części składowej targów książki.

Andrzej STACH

Notatki Redaktora

50-lecie założenia Instytutu Literackiego zbiegło się z ukończeniem przeze mnie 90 lat. Ku mojemu prawdziwemu zaskoczeniu spowodowało to prawdziwą ulewę życzeń, artykułów, różnych akademii i obchodów. Zaskoczenie tym większe, że zawsze miałem wrażenie, że stanowisko *Kultury* – idące jakże często wbrew opinii publicznej, kontrowersyjne i naruszające różne tabu – nie było popularne.

Nie ukrywam, że te dowody sympatii bardzo mnie wzruszyły. Nie były tylko obrzędową pianą, zawsze towarzyszącą tego rodzaju uroczystościom. Nie brakowało głosów krytycznych, ale były one poważne, dotyczące zagadnień naprawdę istotnych, była w nich prawdziwa troska o Polskę, o jej rolę, jaką może i powinna odegrać. Była to wspólna troska.

Chyba po raz pierwszy nie poczułem się samotny. Ta spontaniczna reakcja ludzi, których cenię i szanuję, przyjaźń i solidarność moich bliskich współpracowników i autorów, dziesiątki i dziesiątki listów od młodych, którzy dopiero wstępują w życie, liczne głosy od naszych sąsiadów nie tylko ze Wschodu (nie wyłączając Rosji), ale również z Niemiec, dają mi dzisiaj pewność, że praca, której poświęciłem całe życie będzie kontynuowana. Po raz pierwszy patrzę z pewną nadzieją w naszą przyszłość.

Wszystkim dziękuję.

17-go sierpnia br. została utworzona Rada Polityki Zagranicznej, w skład której wchodzi 22 osoby, które – wed-

ług komunikatu – „tworzyły i wprowadzały w życie politykę zagraniczną i bezpieczeństwa odrodzonego państwa zwłaszcza w latach 1989-93”. Rada jest pozarządowa i nie mogą do niej należeć osoby aktualnie pełniące funkcje w urzędzie prezydenta i w rządzie, ani osoby zajmujące wysokie stanowiska w administracji rządowej, dyplomacji lub w wojsku. Wśród członków założycieli są, poza Krzysztofem Skubiszewskim, Andrzej Olechowski, Władysław Bartoszewski, Tadeusz Mazowiecki, Jan Krzysztof Bielecki, Hanna Suchocka, Andrzej Ananicz, Bronisław Geremek, Kazimierz Dziewanowski, Janusz Reiter.

Powstanie Rady należy przyjąć z największym uznaniem. Jest ona dowodem, że wśród opozycji narasta zrozumienie polskiej racji stanu i konieczności precyzowania naszej polityki zagranicznej.

Również zjawiskiem pozytywnym jest powołanie przez Ruch Stu Instytutu Polsko-Ukraińskiego z siedzibami w Krakowie i Kijowie. Powinno się to przyczynić do zacieśnienia stosunków polsko-ukraińskich.

W nr. 32 z 28 sierpnia 1996 *Polityka* przypominała wypowiedź Romana Dmowskiego z jego książki „Myśli nowoczesnego Polaka”. Dmowski pisze:

„Nienawidzę sędziów, którzy miast czynić sprawiedliwość, nadużywają prawa do obrony tych lub innych interesów, do prześladowania politycznych przeciwników. Nienawidzę urzędników, którzy będąc organami machiny państwowej, powinni ułatwiać organizację życia i przyczyniać się do jego postępu a tymczasem pracują nad unicestwieniem najlepszych wysiłków, nad powstrzymaniem a nawet cofnięciem życia w jego rozwoju. Nienawidzę duchownych, którzy postawieni dla podnoszenia ludu moralnie i zaopatrzeni w tym celu w tak potężne środki jak konfesjonał i kazalnica, używają ich na rzecz bieżących interesów politycznych...”

Gdybym na Rusi galicyjskiej spotkał nauczyciela Polaka prześladowającego dziecko za to, że jest ono dzieckiem ruskim, że po rusku mówi, czułbym do niego

nie mniejszy wstręt od tego jaki budzi we mnie moskiewska i pruska kanalia pedagogiczna...

W moim przekonaniu nauczyciel, sędzia, urzędnik, duchowny nie ma prawa zaniedbywania swych obowiązków względem kogokolwiek, nie ma prawa, przy pełnieniu swych czynności, robić różnicy między ludźmi ze względu na ich przekonania polityczne, narodowość itp.; a jeżeli nadużywa swej władzy do celów ubocznych, jest zwykłym przestępcą. Tyle wieków, ileśmy przeżyli w cywilizacji, wystarczy do wyrobienia poczucia moralnego, umiającego ocenić całą niskość podobnych przestępstw i nie potrzeba do tego żadnych kodeksów fikcyjnych, ‘ogólnoludzkich’, ‘międzynarodowych i tym podobnych’.

Przypuszczam, że wielu działaczy mogłoby obecnie z pożytkiem odczytać te myśli Romana Dmowskiego.

Obecnie pracuje się w Polsce nad reformą aparatu państwowego. Sądzę, że warto też zastanowić się nad zlikwidowaniem Ministerstwa Kultury i Sztuki i – wzorem przedwojennym – stworzyć autonomiczny departament kultury i sztuki w Ministerstwie Edukacji Narodowej.

Również należałoby uporządkować problematykę narodowościową. W tej dziedzinie, rozsypanej w szeregu dykasterii, jest kompletny chaos. Czy nie byłoby celowe stworzenie biura spraw narodowościowych przy premierze?

Należy żałować, że premier, Włodzimierz Cimoszewicz, nie znalazł czasu by uczestniczyć w dorocznym święcie na Świętej Górze Garbarce. Byłoby również dobrze, by jako poseł z Białostocczyny zajął się uporządkowaniem Puszczy Białowieskiej, która jest bezmyślnie niszczona (stale o tym piszemy w *Kulturze*) i doprowadził do utworzenia na całym jej terenie parku narodowego.

Tak samo pilną sprawą jest stworzenie katedry historii i kultury białoruskiej na uniwersytecie w Białymstoku.

W Polsce od dłuższego czasu panuje mania przenoszenia prochów wybitnych Polaków do kraju oraz stawiania pomników. 3-go sierpnia z inicjatywy biskupa polowego ks. gen. Sławoja Leszka Głódzia, przeniesiono prochy biskupa Bandurskiego z katedry wileńskiej do Warszawy. Bp Bandurski był bardzo związany z Legionami Marszałka Piłsudskiego i z Wilnem. Zaszczycił mnie swoją przyjaźnią i wiem dobrze o jego przywiązaniu do tego miasta.

Powinniśmy dbać o spuściznę narodową na Litwie. Znacznie bardziej celowe byłoby zabezpieczanie grobów zasłużonych Polaków. Nie pomyślano jednak o utrzymaniu grobu biskupa Bandurskiego w katedrze wileńskiej, który znajdował się w fatalnym stanie.

Obecne przeniesienie prochów biskupa Bandurskiego do katedry polowej WP zakrawa na ironię, gdyż w odrodzonej Polsce nie otrzymał on upragnionej godności biskupa polowego.

PSL projektuje postawienie pomnika Stanisławowi Mikołajczykowi, który odegrał w najnowszej historii Polski bardzo dużą – choć kontrowersyjną – rolę i na pewno zasługuje na uczczenie, ale PSL powinno pamiętać, że w PRL-u zawsze go zwalczało... Tak samo akaparovanie Wincentego Witosa jest nieporozumieniem.

REDAKTOR

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja
Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Kronika kulturalna

Retrospektywa dzieł Tadeusza Kantora

Od 18-go września do 1-go grudnia będzie prezentowana w Kunsthalle w Norymberdze, retrospektywna wystawa fragmentów dzieła Tadeusza Kantora. Obejmuje ona wszystkie domeny aktywności artysty począwszy od końca lat 30-tych po koniec 80-tych. Tadeusz Kantor utrzymywał mocne i głębokie związki z Norymbergą, gdzie wielokrotnie pracował począwszy od lat 60-tych. Tam też zrealizował swe dzieło teatralne „Niech szczeną artyści”.

Obecna wystawa jest przygotowana przez Jaromira Jedlińskiego, byłego dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi, autora tekstów i wystaw poświęconych Tadeuszowi Kantorowi oraz reprezentującego Fundację im. Tadeusza Kantora, zrealizowaną w bezpośredniej kooperacji z Kunsthalle w Norymberdze i niejako podsumowującą owe wcześniejsze związki Kantora z tym miastem.

Na wystawie będzie eksponowanych około 30 obrazów, 60 rysunków, 20 obiektów i 20 fotografii.

Równocześnie prezentowane będą filmy dokumentalne poświęcone przede wszystkim dziełom teatralnym Kantora.

Wystawie towarzyszy katalog w języku niemieckim, w którym zamieszczone zostały teksty dr Luciusa Grisebacha, dr. Evy Meyer-Hermann, dyrektora Kunsthalle Nürnberg, Jaromira Jedlińskiego, Wiesława Borowskiego, prof. Andrzeja Turowskiego, dr. Krzysztofa Pleśniarowicza oraz Lecha Stangera, a także barwne i czarno-białe reprodukcje dzieł Tadeusza Kantora.

Planowany jest kolejny pokaz norymberskiej wystawy fragmentów dzieła Kantora w zmodyfikowanej wersji w

Muzeum Ludwig w Budapeszcie w ramach szerokiej prezentacji powojennej sztuki w Polsce, która będzie miała miejsce w licznych galeriach i muzeach w Budapeszcie oraz innych miastach Węgier na początku 1997 r. Przygotowywana jest ona w całości przez Jaromira Jedlińskiego i Andę Rottenberg.

Nagrody

Gustaw Herling-Grudziński został laureatem włoskiej nagrody literackiej Premio Vittorini za tom opowiadań „Portret wenecki”.

Nagrodę im. prof. Zbigniewa Raszewskiego, ufundowaną przez miesięcznik *Ruch Teatralny* dla najciekawszego krytyka teatralnego publikującego w prasie codziennej, otrzymał Janusz R. Kowalczyk recenzent teatralny *Rzeczypospolitej*.

Stanisław Barańczak został laureatem prestiżowej nagrody przyznawanej za tłumaczenia na język angielski przez amerykański PEN-Club wraz z klubem książki *Book-of-the Month*. Wyróżnioną książką był tomik wybranych wierszy Wisławy Szymborskiej zatytułowany *View with a Grain of Sand*, którą Barańczak przetłumaczył wraz ze swoją uczennicą z Harvardu, Clare Cavenagh.

Jerzy Turowicz, redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego*, został laureatem specjalnej nagrody polskiego PEN-Clubu za wybitne zasługi dla piśmiennictwa polskiego i kultury polskiej. Nagrodę przyznano w związku z przypadającym w br. 50-leciem pisma.

LISTA CZŁONKÓW WSPIERAJĄCYCH TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

INSTYTUCJE

Gmina Miasta Krakowa, Kraków	5.000 ZŁ
NSZZ Solidarność – Huta „Zawiercie” S.A., Zawiercie	100 ZŁ
NSZZ Solidarność – Polskie Książki Telefoniczne, Katowice	50 ZŁ
P.P.H. „Wkra”, Sp. z o.o., Hurtownia, Warszawa	4.000 ZŁ

OSOBY PRYWATNE

Zygmunt Augustowski, Warszawa	12 ZŁ
Jan Bandrowski, Gliwice	100 ZŁ
Roman Barczak, Warszawa	100 ZŁ
Bogumiła Berdychowska, Warszawa	100 ZŁ
Witold Binder, Bydgoszcz	25 ZŁ
Ewa Chmielecka, Warszawa	100 ZŁ
Tadeusz Chrzanowski, Kraków	100 ZŁ
Krzysztof Waclaw i Maria Czerniejewscy, Oświęcim	20 ZŁ
Władysław Dadak, Kraków	100 ZŁ
Jerzy Dmuchowski, Warszawa	15 ZŁ
Tadeusz Dubicki, Łódź	100 ZŁ
Zygmunt Gemel, Przyglów	20 ZŁ
Bogusław Gołębiowski, Mińsk Mazowiecki	50 ZŁ
Zdzisław Grabowski, Nowa Sól	100 ZŁ
Adam Gruszecki, Kraków	25 ZŁ
Mieczysław Jackiewicz, Olsztyn	30 ZŁ
Helena Kacperska, Warszawa	20 ZŁ
Maciej Kaczmarzyk, Słupsk	50 ZŁ
Andrzej Kalinin, Olsztyn k/Częstochowy	10 ZŁ
Anna Kaszyca, Warszawa	25 ZŁ
Piotr Kaszyca, Warszawa	25 ZŁ
Jan Kawalec, Lubaczów	100 ZŁ
Andrzej Kędziński, Toruń	100 ZŁ
Wanda Korulska, Warszawa	100 ZŁ
Michał Krawczyk, Warszawa	20 ZŁ

Mariusz Kubik, Sosnowiec	20 ZŁ
Jadwiga Kwiecińska, Łódź	100 ZŁ
Maciej Łukasiewicz, Warszawa	300 ZŁ
Bohdan Michałowski, Poznań	100 ZŁ
Kazimierz Orłoś, Warszawa	50 ZŁ
Antoni Lesław Ostrowski, Wrocław	100 ZŁ
Irena Ostrowska, Wrocław	100 ZŁ
Karol Pluskiewicz, Gliwice	100 ZŁ
Aldona Podolska, Warszawa	50 ZŁ
Teresa Remieszewska-Damsz, Sopot	50 ZŁ
Andrzej Rzepliński, Warszawa	50 ZŁ
Jan Schaitter, Warszawa	100 ZŁ
Joanna Sokół, Warszawa	100 ZŁ
Adam Ściskalski, Warszawa	20 ZŁ
Ryszard Tupin, Warszawa	50 ZŁ
Barbara Węgrowska-Krawczyk, Warszawa	20 ZŁ
Witold Wiśniowski, Wrocław	50 ZŁ
Jan Witkiewicz, Przemyśl	50 ZŁ
Lucjusz Włodkowski, Łódź	10 ZŁ
Marek Wójcicki, Ostrowiec Świętokrzyski	50 ZŁ
Pola Żydkowicz, Warszawa	360 ZŁ

Apelujemy do Czytelników *Kultury* w kraju i zagranicą o wsparcie naszych działań. Wystarczy zadeklarować wysokość rocznej składki członkowskiej i przekazać odpowiednie kwoty na nasze konto:

Bank Zachodni S.A. II Oddział Warszawa: 380014-7520-132-3000

Wpłaty z zagranicy prosimy przysyłać bezpośrednio na:

Fundusz Kultury w Instytucie Literackim w Paryżu.

Książki

Młodość polskiego kościoła

Jestem pod dużym, niezmiernie pozytywnym wrażeniem tego okazałego tomu, który prezentuje się jako tylko jeden numer bieżącego czasopisma, prawda że kwartalnika*. Jest to dosłownie, jak mówi jego łaciński tytuł, pismo szkolne – najmłodszy z tych *scriptores*, o ile zdołałem się zorientować, jest uczniem zaledwie pierwszej klasy licealnej, choć przeważają uczniowie klas trzeciej i czwartej, i młodzież uniwersytecka i po uniwersytetach – ale uderza przy tym ogromna dojrzałość tych młodych ludzi. Zorientowałem się też, że poprzedni numer miał charakter ekologiczny, a następny ma być teatralny. Ten, który mnie przysłano do omówienia jest poświęcony prawie wyłącznie tematyce religijnej i ma charakter wybitnie ekumeniczny.

Pismo wychodzi w Lublinie i redaktorzy, jak o tym piszą w słowie wstępnym, są dumni z historycznej roli swojego miasta jako pomostu między Wschodem i Zachodem. Począwszy od Unii Lubelskiej, Lublin był zawsze miejscem spotkania wielu kultur, wielu narodowości i wielu religii: chrześcijaństwa z judaizmem (w mniejszym stopniu z islamem), łacińskiego katolicyzmu z greckim i słowiańskim prawosławiem. Przypuszczam, że wszystkie numery pisma w jakiś sposób odzwierciedlają ten *genius loci*, ale w tym numerze spotkania kultur i religii są szczególnie zaakcentowane. Obecni są w nim Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Łemkowie, Czesi, Rosjanie i Niemcy. Ta narodowościowa mozaika

* *Scriptores scholarum*. Kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich przyjaciół. Rok IV. Nr 10, zima 1996, Lublin, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Stowarzyszenie „Brama Grodzka”, stron 230.

artykułów jest zbiorem niesystematycznym i dosyć przypadkowym, zapewne dlatego, że pismo jest niejako poligonem młodych talentów, które na jego łamach próbują swoich sił. Natomiast temat *Spotkania religii* stanowi starannie przemyślany zestaw artykułów i wywiadów, które razem składają się na bardzo ciekawy obraz całego polskiego życia religijnego. Łączy oba bloki tematyczna przenikająca cały ten tom atmosfera zrozumienia i sympatii dla kultur i religii czasem niewiele, a czasem bardzo od siebie różnych. Właśnie w tej otwartości mózgow i serc młodych rodaków i autorów reprezentowanych w tym tomie, widzę najdobitniejszy przejaw ich wewnętrznej dojrzałości. Napawa to wielką nadzieją na przyszłość, także na przyszłość polskiego Kościoła. Dlatego religijnej tematyce tego numeru *Scriptores scholarum* chcę poświęcić nieco więcej uwagi.

Większość piszących w tym numerze pisma to wychowankowie lubelskich szkół i uniwersytetów, zwłaszcza katolickich, a więc w pierwszym rzędzie KUL-u. Ale kolejność prezentacji poszczególnych religii i wyznań wyznacza (rzecz znamienna) czas ich powstania, wskutek czego na pierwsze miejsce w całej panoramie wysuwa się judaizm, mimo, że o Żydów w dzisiejszym Lublinie jest bardzo trudno i na przeprowadzenie wywiadu z rabinem redaktorzy musieli pojechać aż do Warszawy. Obszerny obraz stanu dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, w tym także dialogu polsko-żydowskiego, przedstawia znany żydowski publicysta Stanisław Krajewski. Wzruszającym elementem jest rozmowa z księdzem Romualdem Weksler-Waszkinielem, którego żydowska matka przekazała jako niemowlę w ręce polskiej matki, i który dopiero w wieku 35 lat, dowiedział się że jest Żydem; był już wtedy od 12 lat katolickim księdzem. Dopiero po tym *spotkaniu z judaizmem* następuje duży zestaw wywiadów i artykułów na temat stanu polskiego katolicyzmu, następnie kilkuczłonowe *spotkanie z prawostawiem* oraz *spotkanie z protestantyzmem* (wywiad z duchownym kościoła ewangelicko-augsburskiego) i wreszcie, znowu rzecz znamienna, spotkanie z jedną z religii indyjskich.

Na tym szerokim tle różnych religii i wyznań, redaktorzy – jak się pięknie wyrażają – „dokonują namysłu” nad swą własną, katolicką i polską religijnością. Obraz polskiego

katolicyzmu, jaki się z tego wyłania, daleki jest od doktrynalnego i instytucjonalnego monolitu, za który kościół katolicki zwykle uchodzi. Rozmowa z redaktorem *Tygodnika Powszechnego* Jerzym Turowiczem nosi tytuł „Kościół dialogu i otwarcia”, natomiast redaktor częstochowskiej *Nadzieli* Karol Klauza prezentuje swym rozmówcom Kościół pod hasłem „Jesteśmy znakiem sprzeciwu”. Są to jak gdyby dwa całkiem różne Kościoły – i czytelnik nie ma żadnej wątpliwości, po której stronie leżą sympatie redaktorów *Scriptores scholarum*. Zasadnicze znaczenia dla nich ma oczywiście rozmowa z ich własnym duszpasterzem, ordynariuszem diecezji lubelskiej arcybiskupem Bolesławem Pylakiem. Tu staje się widoczna inna polaryzacja: między starym a młodym pokoleniem. Arcybiskup Pylak, lat 75, zbliża się do końca swej duszpasterskiej służby i jego postawa jest obciążona dość ciężkim bagażem przeszłości. Wnikliwe pytania jego młodych rozmówców wywołują mało wnikliwe i raczej stereotypowe odpowiedzi. Jakkolwiek arcybiskup uważa, że „przyszłością Kościoła są ruchy religijne”, to jednak wzory tych ruchów widzi w takich organizacjach jak Sodaliczka Mariańska czy bractwa różańcowe, w neo-katechumenacie czy Akcji Katolickiej. Ruchy takie jak akcje „My jesteśmy Kościołem” w Austrii i w Niemczech uważa za wytwory wrogiej anty-kościelnej propagandy. Odnosi się również podejrzliwie do akcji charytatywnych podejmowanych przez ludzi świeckich niezależnie od Kościoła (przyпускаjąc, że chodzi m.in. o akcje Owsiaaka czy Kotańskiego), choć arcybiskup obawia się równocześnie, że zbyt rozbudowane akcje charytatywne Kościoła mogłyby skłonić władze państwowe do przerzucenia całej troski o biednych i upośledzonych, na barki zbyt ubogiego na to Kościoła. W sumie nie sądzę, by rozmowa z arcybiskupem lubelskim stała się dla młodych katolickich *scriptores* źródłem twórczych natchnień.

Natomiast znajdują się oni całkowicie w swoim żywiole w rozmowie z wybitnym polskim ekumenistą ks. Wacławem Hryniewiczem, którą chyba z tego względu wysunęli na samo czoło numeru. I tytuł, który nadali tej rozmowie: „Ekumenizm musi się zacząć w każdym z nas!” stanowi nutę przewodnią wszystkiego, co następuje po niej w tym tomie. Jest to ekumenizm religijny, narodowościowy i kulturowy. Ks.

Hryniewicz jest szczególnie aktywny w dialogu ekumenicznym między katolicyzmem a prawosławiem, dialogu niezwykle trudnym i bolesnym, ponieważ oba te kościoły, tak sobie bliskie, że określają się wzajemnie jako kościoły „siostrzane”, są jednak od tysiąca lat głęboko między sobą poróżnione. I dziś, paradoksalnie, do dawnych napięć doszły jeszcze nowe. Prawosławie – nie tylko rosyjskie, ale całe prawosławie wraz a patriarchą ekumenicznym Konstantynopola – jest ogromnie zaniepokojone tym, co uważa za katolickie próby „nawracania” siostrzanego kościoła. I w tym kontekście głównym kamieniem obrazu jest tak drogi nam, bo dopiero niedawno spod przemocy sowieckiej wyzwolony, kościół grekokatolicki czyli unicki. I z tego dylematu w tej chwili zupełnie nie ma wyjścia. Jest to sytuacja w obecnej ekumenicznej epoce wprost tragiczna i ks. Hryniewicz jest jednym z nielicznych katolickich myślicieli, który tragizm tej sytuacji naprawdę rozumie i bardzo boleśnie odczuwa. I to go szczególnie blisko łączy z grupą katolickiej młodzieży lubelskiej, z którą na początku tego tomu rozmawia. Jest to młodzież bodaj równie intensywnie zainteresowana sprawą jedności chrześcijaństwa i równie dobrze rozumiejąca piętrzące się na tej drodze przeszkody. I chyba się nie mylą sądząc, że wszyscy oni są ludźmi rzetelnej wiary i równocześnie ludźmi, którzy nie boją się myśleć. Dałby Bóg, by tak kiedyś wyglądał cały młody polski Kościół.

Antoni POSPIESZALSKI

Wątpię, więc wierzę

Środowisko *Znaku* powołało kilka lat temu Ośrodek Myśli Politycznej. Wymiernym pokłosiem jego działalności jest wydawana sukcesywnie „Biblioteka Myśli Politycznej”, w której ukazują się klasyczne pozycje z dziedziny filozofii

polityki, chrześcijaństwa, zasad funkcjonowania demokracji. Dla przykładu, pojawiły się takie ważne książki, jak: Otfrieda Höffe „Etyka państwa i prawa”, Ernsta-Wolfganga Böckenförde „Wolność – Państwo – Kościół”, Ursa Altermatta „Katolicyzm a nowoczesny świat”, czy Lorda Actona „Historia wolności”.

Ostatnio wydaną pozycją „Biblioteki” jest zbiór studiów Nikolaua Lobkowicza „Czas kryzysu, czas przełomu”¹. Autor należy do najwybitniejszych współczesnych myślicieli chrześcijańskich. Jest uczniem Ojca Józefa Bocheńskiego, filozofem polityki, religii i kultury. Obecnie pełni funkcję prezydenta katolickiego uniwersytetu w Eichstätt w Bawarii, kierując tamtejszym Instytutem Studiów Środkowo-Wschodnioeuropejskich, oraz przewodniczy Komitetowi Doradczemu Radia Wolna Europa w Pradze.

Książka składa się z dwóch części: pierwszej, dotyczącej problemów polityki, historii, religii i etyki (rozdziały: „Dziedzictwo Europy”, „Chrześcijananie a Duch Święty”, „Obietnice konserwatyzmu”, „Chrześcijanin a polityka”) i drugiej, *stricte* filozoficznej („O pojęciu osoby”, „Od substancji do refleksji. O drodze zachodniej metafizyki”).

W swoich sądach o współczesnym Kościele i chrześcijaństwie Nikolaus Lobkowicz jest wolny od wszelkiego dogmatyzmu, wciąż zadaje pytania i dokonuje rachunku. Jego myślenie jest klasycznie personalistyczne, nastawione na chrześcijanina dokonującego nieustannie krytycznej refleksji o sobie samym, o wspólnotce, Kościele, wreszcie o swoim powołaniu go przez Boga: „Czego tu i teraz oczekuje odeń Bóg?” Dla autora książki wędrówka Kościoła przez dzieje nie jest triumfalnym pochodem, przypomina raczej chwiejny krok. Kościół, zdaniem Lobkowicza, był powołany przez Chrystusa do krzewienia wolności – i z tym od samego początku nie umiał sobie poradzić. Nikolaus Lobkowicz opisuje zwłaszcza sytuację Kościoła w pierwszej połowie XX wieku, kiedy papieństwo i hierarchia kościelna nie zdołały przejąć zasad wolnego i sprawiedliwego społeczeństwa.

1. Nikolaus Lobkowicz, „Czas kryzysu, czas przełomu”, przełożył Grzegorz Sowiński, Wydawnictwo WAM, Wydawnictwo Znak, Kraków 1996, ss. 185.

Odrzucały „epokę, w której ludzie zaczęli najpierw przeczekać, a później także pojmować, że wszyscy równi wobec Boga, winni być równi już w tym świecie, co w konsekwencji oznaczało, że wszyscy nie tylko muszą być wolni, lecz muszą także mieć możliwość korzystania z tej wolności” (s. 14). Pierwsza oficjalna wypowiedź Kościoła oceniająca pozytywnie ustrój demokratyczny pojawiła się dopiero pod koniec II wojny światowej, gdy Pius XII w swym głośnym bożonarodzeniowym orędziu radiowym „Benignitas” z 1944 roku, wyraził zgodę na kształtowanie się „prawdziwej i autentycznej demokracji”. Stało się to nie bez wpływu – jak zaznacza autor – poglądów chrześcijańskiego myśliciela Jacques’a Maritaina, z którym papież Pius XII utrzymywał bliskie kontakty.

Lobkowiczowi obcy jest zarówno programowy konserwatyzm, jak i progresizm. Podnosząc znaczenie rozwoju we wszystkich dziedzinach życia, jednocześnie oponuje on przeciw gloryfikacji idei jednego, globalnego postępu. Co daje nam konserwatyzm, w tym światły konserwatyzm Kościoła – zapytuje autor w świetnie skonstruowanym eseju „Obietnice konserwatyizmu”. Według Lobkowicza siłą konserwatyizmu jest to, że odsyła nas do źródeł: nieusuwalnych prawd zawartych w Dekalogu, w Starym i Nowym Testamencie. „Dzieje – jak puentuje – są mieszaniną ciągłości i zmiany, nieciągłości i kontynuacji” (s.51). I w tym procesie był i jest ciągle obecny Kościół.

Kościół utracił dawniejsze prerogatywy, jest jedną z wielu „sił społecznych” na wolnym rynku idei, co prowadzi do różnorodnych komplikacji, w tym konieczności wyzbycia się przekonania o swojej *potestas directiva*. Ujawnia się to dla przykładu w kwestii stosunku Kościoła do aborcji. Tutaj Lobkowicz jako liberalny chrześcijanin skłania Kościół do głębszej refleksji. Wprawdzie uznaje, że likwidacja płodu ludzkiego jest naruszeniem praw boskich, z drugiej jednak strony stawia problem karalności aborcji i jego etycznych konsekwencji dla Kościoła.

Najciekawszy w zbiorze wydaje się być tekst „Chrześcijanin a polityka”, napisany z prawdziwie publicystycznym zacięciem. Otóż dla Lobkowicza nie ma „chrześcijańskiej polityki”, tak jak nie ma „chrześcijańskiego rolnictwa”, „chrześcijańskiej aeronautyki”, „chrześcijańskiej fizyki”.

W polityce liczy się fachowość i skuteczność działania, stąd religia nie może być dla chrześcijanina ideologiczną podpórką, służyć maskowaniu jego politycznej nieudolności. Z tymi dylematami na styku polityki i religii spotykamy się na co dzień w Polsce. Książka jest pouczająca, gdyż autor racjonalnie rozdziela, co w życiu współczesnego chrześcijanina jest boskie, kościelne, a co świeckie. Warta jest do cytowania na koniec sformułowana przez Lobkowicza definicja idealnej polityki: „Dobra polityka wymaga dziś – kompetencji, jaką zasadniczo biorąc, dysponuje doświadczony naukowiec, rozsądku mędrca, stanowczości sternika przemysłu, przebiegłości bazarowego kupca i bezinteresowności świętego; nader rzadko można spotkać połączenie tych cech” (s. 72). Dodajmy, zwłaszcza w Polsce, gdzie główną cechą polityków jest „przebiegłość bazarowego kupca”.

Zbigniew BARAN

„I co z tego, że to prawda?”

Jest rzeczą interesującą, że bohaterami większości powieści i opowieści „stanowojennych” stali się dziennikarze. W „drugim obiegu” ukazało się kilka takich utworów, na ogół typu rozliczeniowego, by przypomnieć tylko mające charakter autobiograficznych spowiedzi „ABC” Krzysztofa Czabańskiego czy książkę Krystyny Jagiełło. Oczywiście – nie zawsze tak było: najlepsze prozy tego czasu i jego dotyczące, „Rozmowy polskie latem roku 1983” Jarosława Marka Rymkiewicza oraz „Ciemnia” Bogusławy Latawiec bohaterów mają innych, lecz i ci czasami pojawiają się w redakcjach pism literackich, żyją zatem w tej samej przestrzeni. Podobnie dzieje się z postaciami przedstawionymi w drugiej powieści Iwony Smolki (autorka wydała wcześniej pod pseudonimem

Maria Jarota powieść „Rozpad”) „Musisz siebie zjeść”*. O tyle ta powieść od pozostałych wydaje się odmienna, że na dobrą sprawę „druga strona” społecznego konfliktu prawie jest tu nieobecna, stanowi jedynie tło rozgrywających się wydarzeń. Świat dziennikarski okazuje się samowystarczalny – w jego obszarze mieści się wszystko, co konieczne do zarysowania istoty konfliktu, problemów związanych nie tyle z wyborem opcji, co z oceną innych.

Kto jest kim? Najprostszą sytuację ma Marek, ostry w osądach, wtopiony w racje wspólnotowe: „Wiedział, że nie zgadza się z argumentami szefa. Nie zgadza się wraz z tymi, którzy siedzą, zakładają głodówki, wykańczają się w więzieniach, trzepią dywany w czasie dziennika telewizyjnego, podpisują listy protestacyjne, drukują, kolportują, zbierają pieniądze, pomagają rodzinom tych, którzy siedzą”. Proste sądy i proste wybory. Andrzej, wyczulony na racje jednostkowe, raczej dzielący włos na czworo niż uznający oczywistość gotowych wyroków, ma sytuację gorszą – wie co prawda, po której stronie stanąć, lecz ma wątpliwości, zwłaszcza w ocenie szefa. Podobnie Kasia, która też konspiruje, lecz były szef – z kontaktami i układami, z „wejściami” i niejasnymi decyzjami – jest dla niej postacią, choć niemiłą, jednak zagadkową. Zaś sam szef, zdystansowany, uczciwy wobec innych, ironiczny, znajdujący się zawsze w odpowiednim miejscu, zdolny do odrzucenia słusznego artykułu (argument: „i co z tego, że to prawda?”), zarazem ratujący w podbramkowych sytuacjach, zawsze lepiej zorientowany, zgadujący posunięcia konspiracyjnych kolegów tak, jakby ich śledził: kim jest ten człowiek?

Jest kimś, kto wie, że „zawsze są jacyś oni” i zarazem kimś, kto umie przewidzieć skutki podejmowanych w atmosferze doraźności decyzji oraz ocen. Wyjaśniając odrzucenie artykułu Andrzeja napisanego jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego stwierdza: „Otóż Andrzej podsumował wszystko stwierdzeniem, że wybór, jaki jest dany, jeśli uwierzy się, że wolność jednostki nie istnieje, jest wyborem tylko między konformizmami. I wtedy zapytałem go – co z tego, że to prawda? On mnie zrozumiał”. Oczywiście – wolność jednostki, na-

* Iwona Smolka: „Musisz siebie zjeść”, Wyd. Trio, Warszawa 1996, s. 146.

wet w systemie totalitarnego imperium, istnieje. I każdy z bohaterów tej książki z tej właśnie prawdy wyciąga pewne wnioski dla siebie. Wnioski, które wyciąga szef, zaskakują wszystkich uczestników opisywanych wydarzeń, czytelnika również.

Jednocześnie jednak istnieje nie dające się do końca zredukować uwikłanie w sprawy wspólnoty. W sytuacjach napięć społecznych doprowadza ono do ulegania łatwości dwudzielnych, czarnobiałych schematów, ułatwionych wyborów, do ferowania jednoznacznych wyroków i eliminowania wątpliwości. Powieść Smolki poświęcona jest odsłanianiu zasad funkcjonowania tych właśnie mechanizmów. Poświęcona jest także kosztom – ponoszonym zarówno przez jednostki, jak przez całe grupy społeczne – życia w napięciu zmuszającym do nieustannego dokonywania wyborów, których skutki dotyczą nie tylko jednostek, życia poddanego ciśnieniu niezależnej od ludzi historii. To, co w tym utworze wydaje się najistotniejsze, to przyjęcie perspektywy psychologicznej raczej niż historycznej. W tej drugiej wszystko bowiem wydaje się oczywiste.

Zarazem „Musisz siebie zjeść” to opowieść o codzienności stanu wojennego – o jeszcze bardziej uciążliwym niż przedtem życiu kolejkowym, o paczkowych „zrzutach”, w których z opakowania budynku zamiast oczekiwanego proszku wylatuje nagle miniaturka *Kultury*, o kłopotach z wyprawianiem psa w czasie godziny milicyjnej i o tysiącach innych, pozornie drobnych spraw, które składały się na ponizającą codzienność tamtego czasu. I jest to, oczywiście, także opowieść o konspiracji – nieco zabawna przez to, iż ukazuje swoistą jej naiwność, amatorszczyznę, pocieszny patos: „Robi mu się gorąco, gdy wyobraża sobie Kasię niosącą ogromną torbę – na dnie blachy, na wierzchu jarzyny, wczesna sałata, której listki figlarnie sterczą do góry”. Kto z młodych czytelników za kilka lat będzie umiał, czytając to zdanie, powiedzieć co to za blachy znajdowały się na dnie owej torby? Otóż ten, kto przeczyta tę książkę w całości – proza Smolki ma bowiem tę zaletę, iż dba o czytelność detalu.

I choć czas tutaj wydaje się czasem życia przyspieszonego, owa dbałość o szczegół przywraca jego właściwy rytm. Dramaty indywidualnych wyborów osadzone zostają w zwykłych realiach, niecodziennosc konfrontowana jest z codzien-

nością, wzniosłość z przyziemnością. Dzięki temu skupiamy uwagę na osobach, nie na patosie – choćby i traktowanym z ironicznym dystansem – sytuacji. Zmiany punktów widzenia – narracja jest prowadzona naprzemiennie z perspektywy innej postaci – pozwalają na częściowe przynajmniej zobiektywizowanie widzenia.

Jednego wszakże żal – jak w każdej zresztą tego typu prozie: próby odtworzenia sposobu rozumienia rzeczywistości przez przedstawiciela „drugiej strony”. Można oczywiście założyć, że jednym z jej reprezentantów jest szef dokonujący nagle niespodziewanej zmiany, jest to jednak założenie bardzo ryzykowne. Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości: szef usytuowany jest gdzieś „pomiędzy” władzą i konspiracją, „pomiędzy” realizmem i marzeniem. Tu też pojawia się jeden z centralnych problemów tej powieści: zagadnienie granicy, sprawa – wcale nie marginalna – polaryzacji stanowisk (w tej kwestii bodaj najbardziej interesująco wypowiedział się w swym piśmarstwie Janusz Andermann). Jak w końcu nie od dziś wiadomo, często marzyciele – a tak było w naszej historii – nieraz okazywali się najbardziej niespodziewanie realistami. Ich wizje stawały się, wbrew wszelkim założeniom przyjmowanym przez przedstawicieli postaw realistycznych, rzeczywistością.

Problem rzetelnie napisanej i świetnie skonstruowanej powieści Smolki – także zresztą większości prozy „stanowowej” poza może książką Rymkiewicza rysując czarny scenariusz dziejowy kontynuowany konsekwentnie w następnych utworach – w tym, że żadna z występujących na jej kartach postaci nie prezentuje swej wizji. Bohaterowie tej prozy wyłącznie reagują na powstające sytuacje, jeśli zaś zajmują ich konsekwencje własnych wyborów, to jedynie w planie jednostkowym. Nikt z nich nie przywołuje ani perspektywy „szklanych domów”, ani – poza może szefem, ale ten wypowiada się wyłącznie w kategoriach niemożności – katastroficznego zagrożenia. Życie toczy się tak, jak dyktują okoliczności, z dnia na dzień, od zdarzenia do zdarzenia. Jest w tym zresztą wiele prawdy: tak właśnie było, tak jest nadal – pod tym względem ta proza stanowi rzetelny portret naszych elit. Lecz cóż z tego, że to prawda?

Leszek SZARUGA

Sodoma bez Gomory

Przystępując do omówienia niedawno odnalezionej, pełniejszej wersji niedokończonej powieści Aleksandra Wata (1900-1967) pt. „Ucieczka Lotha”^{*} wypada przypomnieć bio- i bibliograficzne dane na temat jej autora. Uczynię to jednak tylko w skrócie, ponieważ łączna objętość już istniejącego piśmiennictwa wokół jego osoby i twórczości z pewnością przewyższa *volumen* samego dzieła (wyjawszy może 2-tomowy „Mój wiek” [1 wyd. Londyn 1978] – magnetofonowy zapis rozmów Wata z Czesławem Miłoszem w Berkeley w 1964 r.). Najlepszym i stosunkowo związłym tego typu wprowadzeniem ogólnym wydaje mi się szkic Anny Micińskiej pt. „Aleksander Wat – elementy do portretu” użyty jako wstęp do jego „Poezji zebranych” (Wyd. Znak, Kraków 1992).

Życiorys Wata jest równie meandryczny jak jego piśmarstwo i rys ten przyczynił się do utrwalenia legendy tego „świadka wieku”, fascynującej wielu. Ten potomek warszawskiej rodziny żydowskiej o wielowiekowej tradycji intelektualnej (Wat chlubił się, że jednym z jego przodków był sławny uczyony Salomon z Troyes [XI w.]), jako dziecko wychowywał się niejako pomiędzy mozaizmem i katolicyzmem, studia filozoficzne zwróciły go na pewien czas ku ateizmowi i komunizmowi; w drugiej połowie życia religia znów stała się dlań ważnym wymiarem przeżywania świata (przyjął chrzest w 1953 r.). Był jednym z pierwszych futurystów – a ściślej: dadaistów – literackich w Polsce (sławny tekst „Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopożelaznego piecyka” [1920] został entuzjastycznie zrecenzowany przez Witkacego; próbka samego utworu: „Stare testamenty inkaustem przy ostatnim widzeniu się ze mną w synagodze łańskich rymów

^{*} Aleksander Wat, „Ucieczka Lotha”; (wstęp, opracowanie tekstu i przypisy: Włodzimierz Bolecki; postowie Tomas Venclova); Czytelnik, Warszawa 1996, 187 str. ISBN 83-07-02422-6.

szlochały nad grobem Rachel. Dużym wachlarzem źrenic odpędzały umierające przekleństwa” itd.). Następne „objawienie” – komunizm – miało inteligencko-literacki kształt tych lat: Wat nigdy nie wstąpił do partii, ale redagował wyrafinowanie kryptokomunistyczny *Miesięcznik Literacki*. Pismo to, mimo szybkiej likwidacji przez władze, przeszło w marksistowskim *high life*’ie do legendy, co sprawiło, że później nie-dobitki tegoż w PZPR zachowały poczucie pewnych zobowiązań i dzięki temu Wat (już dawno rozczarowany „przodującą ideologią”) mógł względnie swobodnie i wygodnie podróżować wraz z rodziną po krajach zachodnich. W 1963 r. zdecydował się na oficjalną emigrację; żył głównie (i zmarł) we Francji.

Okres wojenny Wata to najpierw zajęty przez Sowiety Lwów („To był najbrzydliwszy okres mojego życia, te kilka miesięcy we Lwowie. Tchorzyłem, kłamałem. Wiedziałem, że mnie zaaresztują, że Ola i Andrzej zginą – drżałem po prostu [...]”; *vide* „Mój wiek”), następnie rzeczywiście aresztowanie – wraz z innym eks-entuzjastą, Władysławem Broniewskim – sowieckie więzienia, zsyłka do Kazachstanu i powrót do Polski z (także w międzyczasie zesłanymi) żoną i synem w 1946. Przejścia te, poza definitywną *desillusion*, spowodowały u Wata rozwój dziwnej, nieuleczalnej choroby nerwowej, objawiającej się dotkliwymi bólami; cierpienie fizyczne było dominującym elementem ostatnich lat jego życia.

W pierwszym, względnie dlań ustabilizowanym (zdrowotnie i materialnie) dziesięcioleciu powojennym w Polsce, Wat powziął zamiar napisania swojego *opus magnum*. Miała nim być realistyczna powieść (jeszcze jeden meander tego eks-futurysty i poety!) obnażająca korzenie hitleryzmu w Niemczech u progu lat 30-tych. Źródłem tego pomysłu było przypuszczalnie ukazanie się w 1947 r. „Doktora Faustusa” Tomasza Manna – najwyższej ówczesnej instancji pisarskiej w Europie – ponadto zaś tematyka ta wówczas „wisiała w powietrzu” i próbowało się w niej wielu (por. np. „Niemców” Kruczkowskiego [1949]). Pierwszy fragment „Ucieczki Lotha” (z przypiskiem autora, że całość ukaże się nakładem „Czytelnika”) został wydrukowany już w 1949 r. (*Twórczość*, nr. 8), potem długo nic, po ośmiu latach niewielki urywek

w *Nowej Kulturze* (1957, nr. 45) – i tyle**, aż do 1991 r., kiedy to prof. Venclova odkrył w zakupionym przez Uniwersytet Yale archiwum Wata maszynopis z całym pozostałym tekstem tego nigdy nie ukończonego utworu. W omawianej tu książce zajmuje on ok. 100 stron; resztę stanowią wstęp, przypisy i posłowie.

W istniejącym kształcie „Ucieczka Lotha” nie jest właściwie powieścią „niedokończoną” (czyli: urwaną w pewnym miejscu), lecz zbiorem fragmentów (stosunkowo wykończona część pierwsza, podzielona na 5 rozdziałów i 3 szkicowe rozdziały cz. drugiej), z których mgliście można wyobrazić sobie większą całość prawdopodobnie o dużo większych rozmiarach (500 – 600 str. [?]). Świadczy o tym nawet tytuł, jak przekonująco argumentuje we wstępie Włodzimierz Bolecki, „ucieczka” bohatera, niemieckiego chirurga żydowskiego pochodzenia o nazwisku „Loth” (oczywista konotacja biblijna) mogła mieć tylko jeden kierunek – do rzekomej antytezy hitlerowskiej Sodomy, czyli Związku Sowieckiego. Z zachowanych wspomnień i wypowiedzi samego Wata wynika zresztą, że taki był jego pierwotny zamiar: ukazać obydwa totalitarne bliźniaki w jednym „doświadczeniu pisarskim” naraz. Z różnych względów okazało się to niewykonalne. Pomijając już oczywistą niepublikowalność takiej powieści w Polsce owych lat, Wat popadł też w wątpliwości zasadniczej natury, tzn. czy oba systemy mają wspólny mianownik. Uznał, że jednak nie i to przekonanie osłabiło, jak się zdaje, pierwotny impuls twórczy. To co w końcu powstało zajmuje się wyłącznie „zagadką niemiecką”, czyli osławioną kwestią: jak mogło do czegoś podobnego dojść w cywilizowanym narodzie „muzyków” i „myślicieli”?

Odpowiedź autora wydaje się sprowadzać do dwóch konstatacji: 1° – „trupie posłuszeństwo” (*Kadavergehorsam*) Niemców w ogóle; 2° oportunizm i anomia moralna większości niemieckiej inteligencji. W tkance zachowanego opowiadania widoczna jest też sugestia, że trzecią przyczyną był utajony lecz głęboki antysemityzm Niemców, „nobilito-

** Przedruk opublikowanych w Polsce fragmentów znaleźć można też w Wata „Pismach wybranych”, t. III (Ucieczka Lotha. Proza. [opr. Krzysztof Rutkowski], Polonia, Londyn 1988).

wany” przez nazistów do rangi klucza historii i tym samym zmieniony w dodatkową atrakcję hitlerowskiej demagogii. Ilustracją tych założeń jest zachowany tekst „Ucieczki”. Jego część pierwsza usytuowana jest w „prowincjonalnym mieście S***” (Erfurcie) wiosną 1931 r. i służy głównie prezentacji *dramatis personae* oraz naszkicowaniu atmosfery schyłku republiki weimarskiej. Osoby te to grupa inteligentów, zbierających się w klubie „Prometeusz” na dyskusje o istocie „ducha niemieckiego”, wpływie sztuki na życie i tym podobnych abstrakcjach. Dzięki informacjom narratora dowiadujemy się o ich pochodzeniu, stosunkach rodzinnych i roli w społeczności miasta S***; od czasu do czasu czytelnik informowany jest też o zdarzeniach „w tle” (wynikach wyborów miejskich, rywalizacji politycznej komunistów i nazistów, ekscesach bojówek, etc.). Czołową postacią jest oczywiście Jakub Loth: świetny i powszechnie szanowany lekarz, patriota niemiecki (Krzyż Żelazny w pierwszej wojnie!) wzorowy mąż i ojciec (dwóch córek, z uwagi na planowaną paralełę biblijną), liberalny intelektualista i w ogóle postać idealna. Jego jedyną „skazą” jest żydowskie pochodzenie, które sprawi, że wkrótce (fragmenty części drugiej) znajdzie się w izolacji i stanie zagrożenia. Pozostali członkowie klubu utożsamiają w różnym stopniu wspomnianą już Watowską diagnozę „niemieckiego zła”: oportunizm i zanik hierarchii wartości. Hitleryzm w stanie czystym uosabia przewijająca się na zapleczu opowieści postać watażki Klausa, dla ironii czy też ku rozwadze – „mlecznego brata” dra Lotha. W końcowych fragmentach Klaus zostaje gauleiterem w mieście S***. (*Nota bene* jest tu pewna niejasność rzeczowa – część druga usytuowana jest *expressis verbis* w lutym 1932 r. (p. str. 119), czyli jeszcze przed akcesem Hitlera do władzy i przed *Gleichschaltung*; anachronizm czy pomyłka autora?!).

Trudno podać tu dokładniejsze streszczenie, gdyż styl Wata jest nader „gęsty”, tzn. stanowi kombinację zwartej narracji, erudycji (zwłaszcza w dziedzinie literatury niemieckiej) i antycypacji zdarzeń późniejszych, których (domniemanym) rozwinięciem zajmują się zarówno Bolecki jak Venclova. To co mamy bezpośrednio przed oczyma, to szkic losu niemieckiego Żyda w coraz bardziej wrogim (a w najlepszym razie indyferentnym) otoczeniu, które dotychczas

traktował jako własne. Zważywszy, że Wat (na szczęście dla siebie) nie znał Niemiec hitlerowskich z autopsji, nakreślony przezeń obraz imponuje siłą wyrazu – fragmenty te istotnie robią silne wrażenie i nasuwają analogie z (opartą na bezpośrednich doświadczeniach) książką V.Klemperera „LTI – Notatnik filologa”. Czy jednak „Ucieczka Lotha” – g d y b y została ukończona – mogłaby stać się jedną z „wielkich” książek o Niemczech hitlerowskich, jak np. „Doktor Faustus” (używam tego tytułu dla skrótu, bo akurat nie jestem kornym wyznawcą Manna) to sprawa do dyskusji. Osobiście sądzę, że nie. Jedną z przyczyn jest właśnie wyraźnie wyczuwalny patronat duchowy Wielkiego Tomasza: powieść Wata z zamysłu miała być głęboka, intelektualna, „intertekstualna”, wszechstronna – jednym słowem miała to być „Czarodziejska góra” przyłożona do sytuacji historycznej, w której mit inteligenta – „krzewiciela wartości” i neuronu społeczeństwa – był już właśnie tylko mitem, a zatryumfował banalny fakt, że rewolwer jest wymowniejszy od wszystkich muzyków i myślicieli razem wziętych. To samo nastąpiło już wcześniej w Rosji, z czym podobni do Wata inteligenci (od Bierdiajewa poprzez Mandelsztama aż po Sołżenicyna) też nie mogli się pogodzić. I jak dotąd, żadna powieść – ani na temat Rosji, ani Niemiec – nie sprostала temu faktowi w pełni; najwidoczniej wykracza on poza możliwości indywidualnie tworzonej fikcji literackiej. „Życie, wuju!” – jak powiedziała by Hłasko. Potwierdził to sam Wat swą bezpośrednią (choć pełną nieścisłości) relacją w „Moim wieku”, który więcej mówi o sowieckiej Gomorze, niż jakakolwiek „mannowska” transpozycja literacka byłaby w stanie uczynić.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga, nader „politycznie niepoprawna”: słabością tekstu Wata wydaje mi się też zbyt wyidealizowana postać Lotha i jego rodziny, przesuująca całość w niebezpieczne sąsiedztwo kiczu spod znaku „wredni Hyrkańcy” *contra* „szlachetni Mazenderańcy”. To nie jest opozycja przystająca do literatury przez duże L. Mniej doskonały Loth byłby wyrazistszy. Zło hitleryzmu zasadało się nie tylko w tym, że prześladował „dobrych” (tzn. zintegrowanych, patriotycznych, pracowitych, etc.) Żydów, lecz w tym, że w ogóle dzielił on ludzi na kategorie jak insekty, z których pewne „należało” *ausradieren*. Istotą rzeczy jest

„naukowo uzasadniona” kategoryzacja, nie kryteria. Choć w sąsiedniej Gomorze w tym samym czasie o losie człowieka decydowało nie to, czy jego przodkowie wywodzą się z Palestyny, lecz ile hektarów mieli rodzice czy dziadkowie, skutki były podobne. To chyba właśnie ten przeoczony wspólny mianownik.

M. BROŃSKI

Powrót „rymopisa czasu nie-swego”

Musiało upłynąć dwadzieścia sześć lat, by ukończony w 1969 roku „Nowy podręcznik wydajnego zażywania narkotyków” Witolda Wirpszy mógł ucieleśnić się w książce, kolejnej pozycji Biblioteki Poetyckiej Wydawnictwa A5, redagowanej przez Ryszarda Krynickiego¹. Mamy więc do czynienia z bardzo szczególną nowością wydawniczą: ciąży na niej minione ćwierćwiecze, a także – czy może przede wszystkim – poetycka odległość, jaka narosła w tym czasie; myślę tu o wydanych tymczasem książkach tego poety: o tomie „Apoteoza tańca”², zawierającym wiersze z lat siedemdziesiątych, o poemacie „Liturgia”³, ostatecznie zamykającym poetycką twórczość Wirpszy (ukazał się na kilka miesięcy przed jego śmiercią), a także o poemacie „Faeton”⁴, wielkiej formie tworzonej przez trzy dziesięciolecia, a stanowiącej jedyne w

1. W. Wirpsza, „Nowy podręcznik wydajnego zażywania narkotyków”. Wydawnictwo A5, Poznań 1995.

2. W. Wirpsza, „Apoteoza tańca”. Oficyna Literacka, b.m.w. 1985.

3. W. Wirpsza, „Liturgia”. Biblioteka „Archipelagu”, Berlin Zachodni 1985.

4. W. Wirpsza, „Faeton”. Wydawnictwo Społeczne KOS, Warszawa 1988.

swoim rodzaju wyzwanie dla krytyków. Wyzwanie, dodajmy, którego do dzisiaj bodaj nikt nie podjął.

Zresztą los „Faetona”, wydanego przez podziemną oficynę, w niewielkim nakładzie, a więc już praktycznie niedostępnego, odzwierciedla w pewnym sensie dzisiejszy stan recepcji twórczości Witolda Wirpszy. Być może wynika on i z tego, że – jak napisał Wiktor Woroszyński – autor „Małego gatunku” był „poetą dla poetów”. To prawda, wielu przyznawało się do fascynacji tą twórczością, do inspiracji z niej czerpanych, uznawało Wirpszę za swego mistrza; głównie zresztą z racji jego stosunku do języka, stosunku nieufnego, który kazał poecie tropić podejrzliwie jego wielorakie uwikłania: semantyczne i fonetyczne, pułapki jego gramatyki i frazeologii, zakorzenienie w micie i zakłamaniach codziennej rzeczywistości.

„Poeta dla poetów”. Chodziłoby więc o szczególny rodzaj trudności, wysokie piętro wtajemniczenia, co stanowić miało by decydującą przeszkodę dla zwykłej recepcji niewtajemniczonych. Być może jest w tym rozpoznaniu istotnie cząstka prawdy. Bo Wirpsza wyrósł ponad swój czas, ponad nasz czas skrótowych komunikatów jednowymiarowych słów, skarłałego języka. Istnieje wszelako jeszcze jeden, znacznie mniej wyrafinowany aspekt dzisiejszej nieobecności Witolda Wirpszy we współczesnej świadomości literackiej powojennej Polski.

Przypomnę: wyjechał z Polski w 1970 roku wraz żoną, Marią Kurecką, współtowarzyszka życia i rozlicznych przygód translatorskich (wspomnieć tu można choćby ich wspólny przekład „Doktora Faustusa” Thomasa Manna). W rok później w Szwajcarii ukazał się tom jego błyskotliwych esejów, „Pole, wer bist du?” („Polaku, kim jesteś?”). Gwałtowny atak na autora w PRL-owskiej prasie – by przytoczyć tu niesławny paszkwil Kazimierza Kąkola opatrzony niedwuznacznym tytułem „A kim pan jest, Herr Wirpsza?” – sprawił, iż oboje pozostali na Zachodzie. Ścisłej – w Berlinie, podówczas Zachodnim. Od tego czasu aż do teraz, to znaczy do 1995 roku, nie ukazała się w kraju oficjalnie żadna jego książka (wyjąwszy wspomniane już dwa tomy poetyckie, a także polską wersję esejów „Polaku, kim jesteś?”, wydane w podziemiu); po roku 1989 – również nie. A dodać trzeba, że byłoby co wydawać. Przysłowiowa szuflada w przypadku Wirpszy bynajmniej nie była pusta, aczkolwiek lata emigra-

cyjne miały być dla niego raczej latami publicystyki i przekładów niż poezji; przy czym myślę tu o tym, co publikował (głównie na łamach *Kultury*, później i w berlińskim *Archipelagu*), a zatem – jak istniał w świadomości czytelników, nie – co pisał. Ale – jak sam stwierdził – jego utwory były zawsze „ryzykowne” dla wydawcy. Mechanizm ten jest skądinąd znany: kto nie publikuje, popada w zapomnienie. Obojętnie, z jakich względów – politycznych czy komercyjnych.

Trudno jednak wytłumaczyć inny fenomen: dlaczego Czesław Miłosz pisząc (nad Zatoką San Francisco, a nie pod cenzurą w kraju) historię literatury polskiej dla swoich amerykańskich studentów, dzieło tłumaczone potem na wiele języków, nie znalazł w rozdziale poświęconym najnowszej poezji miejsca na krótką choćby wzmiankę o jednym z bardziej znaczących współczesnych poetów. Tymczasem nie wymienił nawet jego nazwiska. A czym usprawiedliwić nieobecność Wirpsy w pierwszym „wolnym” (1992 r.) wydaniu PWN-owskiej Encyklopedii Popularnej, gdzie pomieszczono przecież wiele nazwisk wielu mniej znaczących poetów emigracyjnych? Próba odpowiedzi na te pytania byłaby z konieczności czystą spekulacją. Trudno jednak w tym miejscu odmówić sobie odnotowania, iż hasło „Wirpsza” widnieje już od lat w kolejnych wydaniach renomowanej niemieckiej encyklopedii Brockhousa.

Ale wróćmy do poezji, która – tak jak jej autor – czeka na swój czas. Jest ona wyrazem najwyższej wolności twórczej, wolności od nakazów i powinności poety, a także obowiązujących kanonów językowych i estetycznych. I – paradoksalnie – realizuje się ona w wierszach o niesłychanej dyscyplinie, logice i precyzji myśli, fascynujących wewnętrzną spójnością, szczególnym stopniem samoświadomości, chciałoby się rzec – nadświadomości językowej. Nic dziwnego więc, że tak ukształtowana materia poetycka, w której nic nie da się sprowadzić do prostego, jednoznacznego przesłania, materia zagęszczonego sensu, stawia czytelnikowi, nawykłemu do obcowania z oswojonymi związkami znaczeniowymi, wyjątkowy, nieporównywalny opór. Dotyczy to także „Nowego podręcznika wydajnego zażywania narkotyków”.

Stajemy tu przed poezją niemal hermetyczną, niemal niedostępną, oddzieloną od rzeczywistości zdroworozsądkowego

poznania szczelnym murem „gry znaczeń”, owej deklarowanej niegdyś przez Wirpszę *expressis verbis* praktyki poetyckiej.

„Sama lektura wymaga ogromnego skupienia. Bo poezję Wirpsy trzeba czytać jak partyturę symfonii – śledzić poszczególne partie instrumentalne i głosy, nie tracąc jednocześnie z oczu przebiegów harmonicznym, tak by usłyszeć brzmienie całości”.

Poemat składa się z trzynastu głównych części, do których przynależą każdorazowo trzy lub cztery strofy wtrącone, ujęte w nawias: wskazówki „porady”, wszystko to zachowane w bezosobowej stylistyce „podręcznika”, z luźnym porządkiem wersyfikacyjnym, spięte wszakże wewnętrzną logiką, bliską traktatowi filozoficznemu:

„Przesunąć da się pojęcie prawdy z miejsca na miejsce
(Tzn. że ta sama prawda dotyczyć może różnych okoliczności);
Przesunąć da się wyobrażenie sprawiedliwości z miejsca na miejsce
(Tzn. że ta sama sprawiedliwość dotyczyć może różnych osób);
Przesunąć da się doznanie zapachu róży z miejsca na miejsce
(Tzn. że samo doznanie zapachu wynikać może z różnych róż).
Ale pamiętać należy,
Że przesuwanie zapachu, sprawiedliwości i prawdy
Odbywa się w koleinach własnej substancji nerwowej
I nie powoduje przesuwania się róż, okoliczności i osób.
Dalej: przesuwanie odkształca samą tylko temperaturę,
Lecz nie odkształca prawdy, zapachu i sprawiedliwości.”

„Zamiarem poczynić narkotycznych jest zmiana świata” – czytamy w siódmej części („drugi przerywnik”) poematu. A świat ten, niepokojący swoją istniejącą *a priori* „dwudzielnością”, daje się doświadczyć (poznać) jedynie subiektywnie, bo: „Narkotyczne pulsowanie albo narkotyczna katastrofa / Zdarza się tylko w świecie dla mnie; innego nie ma”. Napotkane tutaj „ja” zdradza gramatycznie swoją tożsamość jeden jedyny raz w obrębie całego tekstu. Wycofując się za zobiektywizowane, bezosobowe wskazówki i porady, tylko niebezpiecznie mówi o swoich zmaganiach ze światem. Jest to „ja” sceptyczne, posługujące się ironią, zaczepką czy wręcz prowokacją. Świat poznawalny, boleśnie odczuwalna rzeczywistość (bo: „przeczuleni jesteśmy, ze skóry / Nas obłupiono, nagie nasze tkanki / Nie ochronione”) poddawana jest niemal

rutynowo w ontologiczną wątpliwość. Prowadzi to do „zdu-
mienia uosobionych pojęć oderwanych / Wobec uwięzionej
w zamęcie kraty konkretnej osobowości”.

Mozna by pokusić się o stwierdzenie, iż jednym z tematów „Nowego podręcznika” jest opór świata wobec „ja” istniejącego, a więc – skazanego na poznanie. Ergo: „narkotyzowanie się”. W „Pierwszej wskazówce dla zażywającego” czytamy: „Pamiętaj, że to obojętne, jakiego preparatu zażywasz. / Każdy preparat ma jednakie działanie. Ponieważ działanie preparatu zależne jest raczej od ciebie, niż od preparatu”. Preparatem, a więc czymś z zewnątrz, czymś odrębnym od podmiotu poznającego, może być zarówno „inhalacja planet”, jak i oglądanie własnej ręki, „swobodne skojarzenia słów” czy „odruchy warunkowe słów”. „Tak można dojść do rzeczy ostatecznych” – pisze poeta – „do śmierci, sądu, nieba, piekła”. A jednak autor „Nowego podręcznika” jest świadom szczególnej dwuznaczności tego rodzaju praktyki poznawczej, jako że zbędna jest tu rzeczywista śmierć, sąd, niebo i piekło, wystarcza ich wyobrażenie, pomyślenie, wyrażenie w języku. I tu rysuje się kolejny trop poematu, trop autotematyzmu. Wirpsza sięga doń wielokrotnie, nie tylko konstatując „daremny trud skamieliny języka”, ale i demaskując potencjał manipulacji tkwiący w języku: „Język czyni tumult, rozgardiasz, wywołuje podniecenie; / I więcej jeszcze: posługuje się dla własnych celów / Dźwiękami i losami jednocześnie”. Poemat nabiera cech wyrafinowanego meta-poematu, tekstu o tekście i o pisaniu tekstu, a także o problemie autorstwa jakiejś opowieści, każdej opowieści.

Charakterystyczne: Wirpsza posługuje się z upodobaniem zwrotami, terminami i pojęciami technicznymi. Pojawia się tu „mechanika ciał stałych”, „temperatury”, „przrządy”, „pomiar”, „urządzenia”, „preparaty”, „układy”, „ruch chemiczny” i „ruch fizyczny”, „mechanizm wprawiany w ruch (korba)”. Cały ten scjentyistyczny sztafaż, tak nie przystający do materii języka poetyckiego, spełnia szczególną funkcję. Obiektywizm tych terminów poeta kontruje prawie natychmiast paradoksem („dać temperaturom wolną wolę”), a zatem przenosi je w obszar abstrakcji, intelektualnej spekulacji, co sprawia, że nieadekwatny język znajduje się w potrzasku. Powstaje w ten sposób tak charakterystyczne dla poezji Wirpszy napięcie semantyczne, szczególny stan zagęszczenia,

nasycenia znaczeniem. Trudno by tu nawet mówić o kreowaniu nowej rzeczywistości językowej, bo jest to raczej nieobliczalna, choć świadoma i celowa, transpozycja, która pozwala doznania zmysłowe przykładać na „mechanikę ciał stałych”, a stany emocjonalne na „temperatury”. Prowokacyjny ten zabieg, tak zaskakujący, przeprowadzany ciągle od nowa *ad absurdum*, a jednocześnie tak spójny i zdyscyplinowany, zaczyna raptem sam działać niczym rodzaj „preparatu narkotycznego”, sprawiając, iż czytelnik staje się bezwiednie adeptem sztuki „wydajnego spożywania narkotyków”.

Granice poznania w poemacie Wirpszy określają pary pojęć przeciwstawnych – ład i chaos, blask i mrok, współuczestnictwo i jego brak, to, co wewnętrzne i to, co zewnętrzne, odślaniając ową „nie do przepędzenia dwudzielność świata”. Dwudzielność ta znajduje również swój wyraz formalny: trzynastu częściom poematu towarzyszy – niczym temat muzyczny prowadzony w kontrapunkcie – trzynaście wierszy utrzymanych w klasycznej formie sonetu, opatrzonych powtarzającym się tytułem „Powiew historii”. I mogłoby się zdawać, że jest to próba szukania punktu oparcia w procesie dziejowym, poddanym własnej, specyficznej logice i rytmowi, lecz Wirpsza kwituje go ironiczną kpinią:

*On nie bywa szpadą ani różą wiatrów.
W krzakach na pustyni nie roznieci pożogi.
Nie dmuchają w nim lepsze ani gorsze bogi.
Najwyżej kilku niedomytych czartów.*

Cóż pozostaje? „Meteorologia”. To znaczy: tworzenie „narkotycznego komunikatu meteorologicznego dla świata”, który rejestrować będzie każdorazowe przechodzenie od chaosu do ładu, aż do ostatniej z możliwych do pomyślenia (wyrażenia w języku) granicy, poza którą znoszą się wszystkie przeciwieństwa, gdzie panuje już nawet nie bezruch, lecz symetria: prawa i bezprawia, przestrzeni i bezprzestrzeni, czasu i beczasowości.

Wizja nieuchronnej klęski poznania? Poeta konkluduje: „Innych preparatów narkotycznych brak już w tej drogerii”.

Ewa CZERWIAKOWSKA

KOMUNIKAT

WYDAWNICTWA TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-
LITERACKIEGO W PARYŻU

Do nabycia w Bibliotece Polskiej w Paryżu:

- Chowaniec Cz., Gałęzowska I., *Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu, t. II, rkp. 432-545*, uzupełnił i przygotował do druku M.P. Prokop. Paryż 1994, s. 246. **cena 120 FF**
- Chowaniec Cz., Gałęzowska I., *Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu, t. I, rkp. 1-431*, przygotował do druku J. Pezda. Paryż 1995, s. 40. **cena 50 FF**
- Pezda J., *Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu, t. VI, Archiwum Czartoryskich. Hôtel Lambert, rkp. 760-1135*. Paryż–Warszawa 1996, s. 236. **cena 120 FF**
- *Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego, t. I*, Paryż 1991, s. 306. **cena 150 FF**
- *Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego, t. II*, Paryż 1993, s. 300. **cena 160 FF**

Zamówienia i czeki wypełnione na „Société Historique et Littéraire Polonaise” prosimy wysyłać pod adresem:

Bibliothèque Polonaise
6 quai d'Orléans
75004 PARIS
France

Do przesyłek lotniczych prosimy dodać kosztą porta.

Nadesłane nowości wydawnicze

- MARTINAITIS (Marcelijus). *Wiersze podobne do Litwy*. Wybór i przekład Alicja Rybałko. Str. 231. Wyd. Fundacja „Pogranicze”. Sejny 1995.
- Polacy w obronie Tobruku*. Pod redakcją Tadeusz M. Gelewskiego. Str. 284. Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Olsztyn 1996.
- BIELECKI (Czesław), ZIEMKIEWICZ (Rafał A.): *Prawa Polska*. Str. 40. Wyd. Ruch Stu, Warszawa 1996.
- WYSZOMIRSKI (Michel). *Tout en chemin*. Str. 111. Edition L'Harmattan, Paris 1995.
- POWIERZA (Paweł). *Wspomnienia z powstania styczniowego 1863 roku*. Testament moralny autora. Str. 111. Białystok 1996.
- MISZCZAK-MATUSZEWSKA (Ewa). *W matni*. Powieść współczesna. Str. 143. Wyd. Fundacja Sztuki na rzecz „Integracji”, Warszawa 1996.
- MISZCZAK-MATUSZEWSKA (Ewa). *Charaktery*. Poker. Powrót. Str. 132. Wyd. Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, 1994.
- MISZCZAK-MATUSZEWSKA (Ewa). *Charaktery*. Decyzja. Synowa. Str. 28. Wyd. Unia Polskich Pisarzy Lekarzy, 1996.
- LYSIĄK (Stanisław). *Mes voyages a travers la Pologne*. Str. 151.
- KISIELEWSKI (Stefan). *Sprzysiężenie*. Str. 486. Wyd. ISKRY, Warszawa 1995.
- KISIELEWSKI (Stefan). *Zanim nadejdzie śmierć*. Str. 310. Wyd. ISKRY, Warszawa 1995.
- KISIELEWSKI (Stefan). *Gwiazdozbiór muzyczny*. Str. 243. Wyd. ISKRY, Warszawa 1996.
- KRESOWATY (Zbigniew). *Są oblicza i anioły*. Str. 76. Wrocław 1995.
- KRESOWATY (Zbigniew): *Dom Glosy i Abła*. Str. 53. Wałbrzych 1996.
- SUWOROW (Wiktor). *Dzień „M”*. Przekład A. Mietkowski. Str. 317. Wyd. Adamski i Bieliński, Warszawa 1996.
- MIŁOSZ (Czesław). *Szukanie Ojczyzny*. Str. 242. Wyd. Znak, Kraków 1996.
- STACHNIUK (Jan). *Człowieczeństwa i kultura*. Str. 261. Wyd. TOPORZEL, Wrocław 1996.
- AJGI (Gennadij). *Tutaj*. Eseje i wiersze. Str. 156. Wyd. Pogranicze, Sejny 1995.
- SOŁŻENICYN (Aleskander). *Krąg pierwszy*. Str. 694. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- MROŻEK (Sławomir). *Théâtre 3*. T. IV. Str. 394. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher, 1996.
- GRABOWSKI (Andrzej). *Gdy świt dojrzeje*. Wiersze i poematy. Str. 123. Oficyna Wyd. KARAT, Tarnów-Hannover. 1995/1996.
- RUDAWSKI (Michał). *Mój obcy kraj?* Str. 281. Agencja Wydawnicza TU, Warszawa 1996.
- DĄBROWSKA (Maria). *Dzienniki wojenne 1945-1965*. T. 2. Str. 483. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- Misja Kowaliowa*. Rzecz o Siergieju Adamowiczu Kowaliowie i jego współpracownikach, którzy w krytycznym dla Rosji momencie znaleźli się w Czeczenii. Str. 150. Wyd. KARTA, Warszawa 1996.
- TUZIĄK (Andrzej). *Księża zakłęk*. Powieść w pięciu częściach z dodatkami. Str. 230. Wyd. FA ART, Bytom 1996.
- KĘDER (Cezary K.), *Antologia twórczości P.* Str. 229. Wyd. FA ART, Bytom 1996.

- GŁOGOCZOWSKI (GAŚIENICA) (Marek). *Wojna Bogów. Helios-Swiatowid kontra Jahwe-Hefajstos*. Str. 52. Wyd. Nowy Celsus, Kraków 1996.
- Eugeniusz Get-Stankiewicz przez Mirosława Ratajczaka. Str. 53, (8). Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1995.
- Teatr Polski we Wrocławiu. 50 lat. Str. 189. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- LAWINA (Michał). *Kontrapunkt: codzienność i Biblia*. Str. 152. Wyd. Artex Publishing, 1995.
- KOREY-KRZECZOWSKI (Jerzy). *Multilateral perspectives in international marketing dynamics*. Str. 18. Wyd. CSM PRESS, Toronto.
- KOREY-KRZECZOWSKI (Jerzy). *Natrętnie myśli*. Str. 36. Wyd. CSM Publications, Toronto 1994.
- KOREY-KRZECZOWSKI (Jerzy). *Wiatry życia. Wiersze i myśli wybrane 1935-1995*. Str. 90. Wyd. Agencja Wydawnictwa GENS, Kielce 1995.
- KOREY-KRZECZOWSKI (Jerzy). *Dojrzała pogoda. Wiersze i myśli*. Kielce 1995.
- KLEJNOCKI (Jarosław). *Zagłada ogrodu*. Str. 159. Wyd. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1996.
- ŁUKASIEWICZ (Jacek). *Mickiewicz*. Str. 247. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- TITKOW (Andrzej). *Zapisy, zakłęcia*. Str. 136. Wyd. Przedświt, Warszawa 1996.
- SEWERYN (Dariusz). *O wyobraźni lirycznej Adama Mickiewicza*. Str. 133. Wyd. Instytut Badań Literackich, Warszawa 1996.
- Dailes. Vilnius Academy of Arts. Str. 311. Vilnius Dailes Akadmeijos Leidykla, Vilnius 1995.
- KUREK (Wiesława Urszula). *Obrazki kredką*. Str. 65. Poznań 1994.
- DRZEWUCKI (Janusz). *Podróż na południe*. Str. 83. Oficyna Cracovia, Kraków 1995.
- LEWICKI (Mikołaj A.). *DC UNR w*
- egzili miż 1920 i 1940 rokami*. Str. 72. Wyd. Ukraińskie Biuro Informacyjne, Monachium-Filadelfia, 1994.
- Sacrum in Polish Literature. RENASCENCE*, Vol. XLVII, No 3-4, wiosna-lato 1995.
- Moje imię 44*. Str. 84. Wyd. „Dana”, Brzeg 1994.
- STEFANOFF (Władysław). *Historyczne migawki. Wenedowie, Goci, Sarmaci, Massageci, Hunowie i inni*. Str. 134. Siedlce 1996.
- STEFANOFF (Władysław). *Felietony wybrane*. Str. 277. Siedlce 1995.
- STEFANOFF (Władysław). *W upale tropików. Pamiętnik lekarza*. Str. 254. Siedlce 1996.
- Five Years After June: the Polish Transformation, 1989-1994*. Redakcja Jan Winiecki. Str. 138. Wyd. The Centre for Research into Post-Communist Economies. London 1996.
- Pamiętnik Afrykańczyka. Rendez-vous z młodością*. Str. 103. Orchard Lake, 1996.
- MICHAŁOWSKI (Witold St.). *Szikun. Szkice z pięciu kontynentów*. Str. 204. Wyd. Fundacja Odyseum, Warszawa 1996.
- AWERS, dwumiesięcznik literacko-społeczny. Nr 1, czerwiec 1996.
- KRYSZAK (Janusz). *Literatura złej chwili dziejowej. Szkice o drugiej emigracji*. Str. 165. Wyd. Spółka Wydawniczo-Księgarska, Warszawa 1995.
- ŁUKASZEWICZ (Michał). *Ołowiany dach*. Str. 86. Wyd. Literackie, Kraków 1994.
- DEŪSKI (Stanisław). *Noce i dnie*. Poemat. Str. 31. Wyd. Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne FRAZA, Rzeszów 1996.
- SKAWIŃSKI (Aleksander). *Perła w winie, tuje, cyprysy*. Str. 111. Wyd. Miniatura, Kraków 1995.
- SKAWIŃSKI (Aleksander). *Na dnie lustra*. Str. 79. Wyd. Miniatura, Kraków 1995.

POLSKA

2.6.96

Alfabet łaciński do 2005 roku ma być wprowadzony w Uzbekistanie. Obecny rok szkolny jest ostatnim rokiem nauczania języka uzbeckiego zapisywanego cyrylicą. Jest to realizacja uchwały parlamentu Uzbekistanu podjętej 2 września 1993 r. Podobna decyzja została powzięta w Kazachstanie. Prezydent Kazachstanu stwierdził, że przejście na alfabet łaciński ułatwi integrację kulturową Kazachstanu z państwami turkokońskimi.

8.6.96

W Białymstoku odbyła się konferencja naukowa dla uczczenia 40-lecia pracy twórczej i 60-tych urodzin pisarza Sokrata Janowicza. Jest on jednym z najwybitniejszych pisarzy białoruskich w Polsce. Spotkanie zostało zorganizowane przez Białoruskie Stowarzyszenie Literackie „Białowieża” i Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku.

23.6.96

Odbył się III Zjazd Ukraińców w Polsce, w którym wzięło udział 100 delegatów reprezentujących 6 tys. członków Związku Ukraińców w Polsce. Wybrano ponownie Jerzego Rejta na Przewodniczącego Rady Głównej organizacji. Prezesem Zarządu został Miron Kertyczak. Zjazd zarzucił władzom polskim brak realizacji postulatów mniejszości ukraińskiej (m.in. unieważnienie dekretów z lat 1947-58, na mocy których upaństwowiono własność ukraińskich organizacji i osób prywatnych, nadanie praw kombatanckich osobom więzionym w obozie w Jaworzu, potępienie przez Sejm RP deportacji Ukraińców).

29.6.96

Zmarł w Krakowie w wieku 67 lat Stanisław Czycz, poeta i prozaik.

1.7.96

Zmarł w Krakowie w wieku 73 lat Zbigniew Kuthan, członek Związku Literatów Polskich, wydawca.

10.7.96

Zmarł w Warszawie w wieku 91 lat Czesław Centkiewicz, badacz polarny, pisarz.

20.7.96

W Wiskulach w Puszczy Białowieskiej odbyło się robocze spotkanie ministrów spraw zagranicznych Polski, Ukrainy i Białorusi. Tematem rozmów była sprawa jednoczącej się Europy, problemy bezpieczeństwa i współpracy regionalnej. Podjęto

starania o wciągnięcie obwodu brzeskiego na Białorusi do polsko-ukraińskiego euroregionu „Bug”. Obejmuje on zachodnie obwody Ukrainy i Białorusi oraz wschodnie województwa Polski. ■ Znany historyk Michał Heller, wykładowca na Sorbonie, stał współpracownikiem *Kultury* (piszący pod pseudonimem Adam Kruczek) wygłosił w Warszawie odczyt pt. „Dokąd zmierzasz Rosjo?” Odczyt ten był zamknięciem V Wschodniej Szkoły Letniej 1996.

4.8.96

Toczą się rokowania między metropolią przemyską Kościoła bizantyjsko-ukraińskiego a Ministerstwem Obrony Narodowej w sprawie ustanowienia duszpasterstwa grekokatolickiego w wojsku polskim. MON przyznał Kościołowi 4 etaty kapelanów i 2 etaty pomocnicze, co zdaniem arcybiskupa Martyniaka jest stanowczo za mało. Dotychczas w wojsku polskim działa duszpasterstwo rzymskokatolickie, prawosławne i ewangelickie.

8.8.96

Zmarł w Warszawie w wieku 91 lat Julian Strykowski, wybitny pisarz, autor powieści „Bieg do Fragała” i „Milczenie”. Pracował nad książką o Baruchu Spinozie, której nie skończył.

10.8.96

W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie została otwarta wystawa: „Odyseusz XX wieku. Józef Wittlin w stulecie urodzin”.

1.9.96

W Grodnie została otwarta pierwsza polska szkoła na Białorusi.

2.9.96

Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie zorganizował Kongres Międzynarodowej Komisji Historii Porównawczej Kościołów. Kongres trwał trzy dni. Omówienie Kongresu będzie zamieszczone w następnym numerze *Kultury*.

ZACHÓD

30.5.96

W czasie pontyfikatu Jana Pawła II do maja br. beatyfikowano 744 osoby a kanonizowano 274.

31.5.96

W Orchard Lake odbył się zjazd „Afrykańczyków”. Są to ludzie, którzy jako dzieci wywiezieni zostali z Rosji przez armię gen. Andersa i umieszczeni w obozach zorganizowanych przez

Anglików we wschodniej Afryce. Takich polskich obozów było 22 a liczba przebywających w nich dzieci – 20 tys. Na zjazd przybyło 350 osób nie tylko ze Stanów Zjednoczonych i Kanady ale również z Nowej Zelandii, Australii, Polski i Anglii.

3.6.96

W dniach od 30 maja do 3 czerwca 1996 odbyła się w salonach Stacji Naukowej PAN w Paryżu impreza zatytułowana „Autour des associations artistiques polonaises en France”. Złożyły się na nią sesja naukowa z udziałem naukowców z Polski, Francji i Rosji, wystawa historyczna dzieł artystów, aktywnych w poprzednich polskich związkach artystycznych we Francji, oraz wystawa prac członków aktualnego Stowarzyszenia Artystów Polskich we Francji. Towarzyszył jej koncert muzyki poważnej w wykonaniu Pauliny Sawickiej-Pollet oraz Francka Polleta. Manifestacja była firmowana przez stację naukową PAN w Paryżu (Wanda Krzezińska, Michał Tymowski), Union des Artistes Polonais en France (Grzegorz Jakubowski-Barthel de Weydenthal) i Centre de Civilisation Polonaise Université Paris IV Sorbonne (Juliusz A. Chruściński). Przygotowywana od ponad roku impreza pomyślana była przez jej autorów: Ewę Borowską-Jakubowską i Grzegorza Jakubowskiego jako „wydarzenie kulturalne, łączące sztukę, naukę i muzykę, ukazujące ciągłość polskiego, zinstytucjonalizowanego życia artystycznego we Francji na przestrzeni ostatnich lat.

7.6.96

Prof. Henryk Ratajczak otrzymał prestiżową nagrodę im. Marii Skłodowskiej-Curie i Wilhelma Klemma przyznaną przez Niemieckie Towarzystwo Chemiczne. Prof. Ratajczak wykłada na Wydziale Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego, jego specjalnością jest spektroskopia molekularna. Obecnie jest on dyrektorem Stacji Naukowej PAN w Paryżu.

15.6.96

Ambasador RP w Stanach Zjednoczonych Jerzy Koźmiński, udekorował Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej dr. Juliusza Szygowskiego, ostatniego konsula generalnego Drugiej RP w Chicago. Był on po wojnie przedstawicielem Rządu Polskiego na Uchodźstwie w Stanach Zjednoczonych. Dr Szygowski obchodził 20-go maja br. jubileusz 100-lecia urodzin.

24.6.96

Zmarł w Genewie w wieku 73 lat Jan Stryjeński, który stworzył laboratorium akustyki na użytek budownictwa. Był profesorem Szkoły Architektury Uniwersytetu Genewskiego. Szereg jego projektów zostało zrealizowanych w Szwajcarii i Francji. Był synem znanej malarki, Zofii Stryjeńskiej.

9.7.96

Zmarł w Paryżu w wieku 77 lat Bruno Durocher (prawdziwe nazwisko Kamiński), poeta. Pierwszy tomik poezji „Chemins de couleur” ukazał się w 1949 r. wydany przez Pierre Seghersa. W 1950 r. założył pismo *Caractères*, które miało pewne powodzenie. Pismo jednak zbankrutowało i Durocher powrócił do Polski, gdzie cieszył się przez krótki czas przesadnym zainteresowaniem jako poeta francuski. Po kolejnym niepowodzeniu wrócił do Francji, gdzie nie przejawiał większej działalności.

22.7.96

Zginął w wypadku samochodowym we Francji Jerzy Skowronek, historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, naczelny dyrektor Archiwów Państwowych. Żył 59 lat.

27.7.96

Redaktor Benedykt Heydenkorn obchodził 90-tą rocznicę urodzin. Był on wieloletnim naczelnym redaktorem *Związkowca*, wydał szereg książek dotyczących m.in. dziejów i problemów Polonii Kanadyjskiej. Jest przyjacielem i współpracownikiem *Kultury*. Wśród licznych życzeń otrzymał list gratulacyjny od premiera kanadyjskiego, Chretien.

10.8.96

W komunikacie *Polonia Aid Foundation Trust*, zamieszczonym w londyńskim *Tygodniu* Nr 198 (33) rok 57, z 10.8.96, podano wiadomość o przyznaniu dotacji w wysokości £.stg. 1.000,00 dr Andrzejowi Zakrzewskiemu na „Zbieranie dokumentów i materiałów do pracy o kancelarii prezydenta RP w latach 1990-1995”. Mamy wiele uznania dla dr. Zakrzewskiego, ale nie sądzimy aby opracowanie działalności prezydenta L. Wałęsy należało dofinansowywać ze szczyptych funduszy emigracyjnych. Od tego są mniej lub więcej oficjalne wydawnictwa krajowe, tym bardziej że są zupełnie nie opracowane archiwa *Orla Białego*, znajdujące się – z tego co słyszymy – w bardzo złym stanie, a przecież pismo to odegrało tak wielką rolę w czasie wojny i na emigracji. Te archiwa należałyby nie tylko opracować, ale i wydać.

17.8.96

Zmarł w Nowym Jorku w wieku 88 lat gen. Witold Urbanowicz. W bitwie o Anglię był dowódcą Dywizjonu 303. W 1943 r. służył w amerykańskich „latających tygrysach”.

Listy do Redakcji

Warszawa, 5 sierpnia 1996 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ciekawych, jak wszystko w *Kulturze*, spostrzeżeniach na temat Krajów Bałtyckich p. Stefan Abner pisze m.in. o udziale Finów w budowie osiedli dla wojskowych sowieckich, wycofanych z b. NRD (*Kultura* nr 7/8, 1996). Niemcy płacą, Finowie budują – stwierdza p. Abner i pyta, dlaczego w tym interesie nie ma firm polskich, które powinny mieć nie gorsze „dojścia”.

Skoro wywołało nas w ten sposób do tablicy, miło nam poinformować, że BUDIMEX bierze udział w tym biznesie. Podpisaliśmy 21 kontraktów na łączną kwotę 64 mln 279 tys. marek – były to zlecenia na wykonanie budynków mieszkalnych lub infrastruktury towarzyszącej. Budowaliśmy na Białorusi, m.in. w Lidzie, Berezie, w Marinie Górcie i Rosi, a także w Rosji (Andreapol, Kostroma, Kubinka, Orieszkowo, Woroneż). Wszystko co mieliśmy zrobić zostało w terminie wykonane, w październiku br. kończymy ostatni kontrakt – na roboty instalacyjne w szpitalu w Rosi koło Grodna.

Być może, na ślad BUDIMEX-u trudno było p. Abnerowi natrafić, ponieważ występowaliśmy jako podwykonawca firm zagranicznych, przeważnie niemieckich i fińskich. Z pewnością byłoby lepiej, gdybyśmy budowali pod klucz i we własnym imieniu. Zazwyczaj jednak w tego rodzaju przedsięwzięciach, uzgadnianych na wysokich szczeblach władzy, dużo do powiedzenia ma ten, kto płaci. I trudno się dziwić, że pierwsze skrzypce w tym biznesie grały firmy budowlane z Niemiec. Z pewnością wieloletnia współpraca z firmami niemieckimi w krajach WNP i dobra marka, jaką wyrobił sobie BUDIMEX na niemieckim rynku usług budowlanych sprawiły, że w wielu wypadkach Niemcy wybierali i wybierają nas nadal jako podwykonawcę. Solidną i terminową realizacją zadań potwierdziliśmy tę opinię.

Z wyrazami szacunku

Grzegorz TUDEREK
Dyrektor Generalny
BUDIMEX S.A.

Nowy Jork, 4 lipca 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie czytywałem *Kultury* od początku jej istnienia, ale – co najmniej od ćwierćwiecza, dlatego uważam, że artykuł Roberta Kaczmarka: „Rynek na rozstaju dróg” (Nr 6/585, 1996) jest najdoskonalszym spośród wielu setek, które Pan opublikował kiedykolwiek w swoim miesięczniku. Cieszę się, że Pan Redaktor głosem Kaczmarka przyjmuje tezę o globalizacji rynku z racji taniej pracy poza zamożnymi krajami i niebotycznych kosztach utrzymania machiny państwowej, która pożera kolosalną część dochodu narodowego. Tu małe zastrzeżenie w przedmiocie wywodów Roberta Kaczmarka. W byłych krajach satelickich tworzy się już warstwa bogatych. Równocześnie liczba biedaków na skraję nędzy rośnie.

Przyjęcie lub nieprzyjęcie do NATO obchodzi wprawdzie nieobojętne na bezpieczeństwo kraju Polaków, ale nie tak znów bardzo. Można by rzec, obchodzi ich to w drugiej kolejności.

Nie tak dawno w jednym z listów do mnie Pan Redaktor zarzucił mi, że ja po prostu nienawidzę Ameryki. Nic dalszego od prawdy. Robert Kaczmarek pisze o skutkach supercywilizacji, której ofiarą pada człowiek, który nie może już być przynoszącym zyski konsumentem. Tak więc u źródeł globalnego kryzysu jest zubożały konsument. Nie ma tu żadnej kwadratury koła. Po prostu koło się zamknęło manifestując swoją groźną dla całego przemysłowego świata logikę. Obwieścił tę znaną od zarania dziejów prawdę Marks, którego nazwisko później zostało tak zniechędzone, choć nie wszędzie. W dobie efektownie brzmiących powiedzeń, niektórzy nazwali to „ukąszeniem heglowskim”. Ukąszenie nie powinno działać jak straszdyło, ale jak szczepionka. To się nie może obć bez ukłucia. Ale trzeba uważać, żeby ukąszony nie został zeżarty.

Z wyrazami szacunku

Zbigniew BYRSKI

Bruksela, 25 lipca 1996

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnich „Notatkach Redaktora” (*Kultura* nr 7-8/1996) był Pan łaskaw poświęcić mi wzmiankę, która mnie zaszczycza. Wkradła się tam jednak pewna nieścisłość, którą – jeśli Pan pozwoli – pragnąłbym sprostować.

W latach 1972-1990 byłem rektorem Collège d'Europe, a nie Collège d'Europe Libre. O ile mi wiadomo, ta ostatnia instytucja istniała przez kilka lat powojennych w Strasburgu i była chyba związana z Kongresem Wolności Kultury. Collège d'Europe w Brugii ma inny charakter i odgrywa ważną, specyficzną rolę w systemie instytucji europejskich. Akt notarialny z 19 maja 1950 roku, powołujący go do życia, podpisały najważniejsze postacie życia politycznego i kulturalnego tamtych czasów, m.in. Winston Churchill, Alcide de Gasperi, Etienne Gilson, Salvador de Madariaga, André Philip, Paul Ramadier, Duncan Sandys, Paul-Henri Spaak...

Collège, instytucja studiów postuniwersyteckich, jest z jednej strony ważną kuźnią refleksji na temat Europy i jej jedności, a z drugiej – głównym ośrodkiem kształcenia kadr dla Wspólnoty (dzisiaj Unii) Europejskiej. Kierownicze osobowości współczesnego świata okazywały i okazują żywe zainteresowanie, często sympatię i poparcie, dla instytucji brujijskiej. Jako rektor gościłem w jej murach panią Margaret Thatcher, pp. F. Mitteranda, E. Balladura, M. Soaresa, R. Von Weizsäckera, P. Gonzaleza, F. Vranitzky'ego, J. Delorsa i wielu innych. Niektóre z tych spotkań przerodziły się w trwałą znajomość i dialog, osobisty albo epistolarny, na temat polityki, kultury, Europy, a najczęściej Polski.

Z początkiem roku 1990 wysunąłem ideę stworzenia filii Collège w Warszawie. Ponieważ jednak zrezygnowałem w tymże roku z funkcji rektorskiej, aby objąć stanowisko ambasadora RP we Francji, idea ta została zrealizowana przez mojego następcę, dzięki pomocy, zrozumieniu i oddaniu min. Jacka Saryusza-Wolskiego. Filia ta umieszczona w pięknie odrestaurowanym i rozbudowanym kompleksie pałacowym Natolina, przygotowuje dziś – na wzór Brugii – młodych Polaków oraz ich kolegów ze Wschodu i Zachodu do funkcji i zadań mających związek z integracją europejską.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Jerzy ŁUKASZEWSKI

5 sierpnia 1996

Drogi Panie Redaktorze,

List ten nie jest frywolny, ani kapryśny – tylko czysto utilitar-ny.

Mianowicie, zwrócił się do mnie czytelnik *Kultury* z prośbą o wyjaśnienie co oznaczają niektóre skróty literowe używane przez krajowych autorów *Kultury* na oznaczenie różnych ugrupowań politycznych.

Dał mi listę, z której wyliczam pozycje jakich nie mogłem wyjaśnić, bo sam nie jestem pewny co oznaczają. Są to: ZSL, UP,

KNP, BBWR, ROP, ZChN, Ruch Stu, SDRP i OPZZ. Co do innych skrótów, jak SLD, PSL, UW etc. Zgodziliśmy się, że są albo samoumieszczające się lub wystarczająco popularne.

Dodał, że nie jest jedynym borykającym się z tym problemem i że przydałby się swego rodzaju glosariusz.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

Podajemy wyjaśnienia:

ZSL – Zjednoczone Stronnictwo Ludowe

UP – Unia Pracy

KPN – Konfederacja Polski Niepodległej

BBWR – Bezpartyjny Blok Wspierania Reform

ROP – Ruch Odbudowy Polski

ZChN – Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe

SDRP – Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej

OPZZ – Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych

27 lipca 1996

Czcigodny Panie Redaktorze,

Z wielkim smutkiem przeczytałem „Wyjaśnienia rzecznika Ministerstwa Leśnictwa” (Krzysztofa Subkowa) i odpowiedź Piotra Daszkiewicza w czerwcowym numerze *Kultury*. Panowie Subków i Daszkiewicz są niewątpliwie ludźmi dobrze poinformowanymi i ich wypowiedzi zawierały ciekawe informacje i opinie. Ale nieprzyjemnie uderzyły mnie ton i forma tych wypowiedzi. Lata temu, jako wyższy urzędnik kanadyjski, byłem wykładowcą na kursie dla rzeczników prasowych; uczyliśmy naszych rzeczników obowiązku kurtuazji, zwięzłości i powstrzymywania się od jakichkolwiek wycieczek politycznych czy osobistych. Szkoda, że pan Subków nie był na tym kursie. Niestety, odpowiedź pana Daszkiewicza nie była lepsza. Pan Subków pisał o przedwojennych polowaniach – taka już była moda mordowania zwierzyny przez dygnitarzy i dyplomatów, ale co to ma wspólnego z obecną sytuacją – na co pan Daszkiewicz odpowiada – też nie na temat – że przed wojną oddychano czystym powietrzem. Nie warto wspominać o wycieczkach politycznych obu stron, które nic nie wnoszą do zrozumienia sytuacji, ale, wprost przeciwnie, utrudniają poważną dyskusję.

Nie pisałem tego gdyby nie to, że sposób prowadzenia tej ciekawej dyskusji utrudnia zrozumienie problemów i że brak kurtuazji i niepotrzebne wycieczki polityczne i osobiste są, niestety, objawem bardzo powszechnym. Pan Redaktor i *Kultura* cieszą się ogromnym autorytetem, dlatego chciałbym wyrazić nadzieję, że ten

autorytet może być użyty dla stworzenia tradycji kurtuazyjnej, zwięzłej i rzeczowej dyskusji na poważne tematy.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Konrad W. STUDNICKI-GIZBERT

29 lipca 1996

Drogi Panie Redaktorze,

Z prawdziwą satysfakcją przeczytałem artykuł Janusza Trybuniewicza w lipcowo-sierpniowym numerze *Kultury* (7/586-8/587) pt. „Polski rów tektoniczny”. Zarówno analiza samej problematyki, na której temat już przecież tyle napisano, jak i wnioski wyciągnięte przez autora, są nie tylko przekonujące ale i podane w sposób kulturalny, umiarkowany i pozbawiony wszelkiej zaciekleści. Ponieważ nazwisko autora jest mi nieznane, nie wiem do którego pokolenia należy, ale oby więcej osób jego generacji rozumowało podobnie i pomagało w powolnym wydoskonaleniu się z „polskiego piekiefka”.

Najlepsze wyrazy łączę

Piotr WANDYDZ

SPROSTOWANIE

W czerwcowym numerze *Kultury* (Nr 6/585) pojawił się anonimowy artykuł pt. „Jubileusz Instytutu Literackiego na Harvardzie”. Ponieważ niestudnie przypisano mi w nim coś czego nie zrobiłam, chciałabym wyjaśnić co następuje:

Nie założyłam Fundacji im. Augusta Zaleskiego. Fundusze, na podstawie których zostały ufundowane *The August Zaleski Memorial Lectures* - a nie „lecture” - w *Polish History* na Wydziale Historii na Harvardzie były dostarczone przez moją ciotkę Ewelinę Zaleską. Moja rola ograniczyła się do wykonania ostatniej woli zmarłej i podpisania odnośnej umowy z Harvardem.

Moja ciotka zmarła w 1981 r. Pierwszy odczyt o Prezydencie Auguste Zaleskim wygłosił profesor Piotr Wandycz w 1983. Obecnie rok rocznie prelegenci przyjeżdżają do Harvardu przynajmniej na tydzień i mają trzy odczyty z historii nowożytnej.

22 lipca 1996

Maria Ewelina ŻÓŁTOWSKA WEINTRAUBOWA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

A.S., Australia – Pana „Lot” nie jest pozbawiony talentu narracyjnego, wydaje się jednak bardziej wprawką stylistyczną niż istotnym opowiadaniem.

Cezary Ż., (Warszawa), Jarosław K. (Kraków), Maciej W. (Niemcy), Hanna M. (Warszawa), Teresa P. de P. – Z wierszy nie skorzystamy.

Szymon M. – Rymuje Pan zrećnie, lecz chyba nie zawsze myśli Pan o treści swoich rymów, trudno pojąć jak „wieczorna rosa czule tuli smak papierosa”.

Jan O., Myślenice – Zapewne trafne są Pana refleksje dotyczące doli Polaków, lecz wiersze, niestety, bardzo niedobre.

Genowefa J.-K., Mikołów – Możliwe iż ma Pani rację pisząc, iż kwitnące drzewko śliwy może kogoś zabić, w dodatku pod oknem, lecz nie potrafi Pani o tym przekonać w zapisie poetyckim.

Michał W., Francja – „Paryż, trochę lepiej” to zgrabnie napisana migawka, jednak w swych konstatacjach dość banalna.

Mirosław W., Warszawa – Pisanie wierszy to nie tylko składanie słów. Pisze Pan: „Choć natura zakryta znamy obrót rzeczy / jeśli koń się ociąga masz go batem ćwiczyć”, po czym proponuje Pan sentymentalny wiersz o wydarzeniach w Serbii i Bośni. Jak Pan to godzi?

Michał Ł., Warszawa – Nie bardzo przemawiają wiersze, w których m.in. „pojawia się kracząc liście i słone króliki”.

W.J.M., Ostrołęka – Przeżycia religijne nie zawsze trzeba wyrażać wierszem. W każdym razie nie w takim, w którym proch, o jakim mowa w Piśmie, myli się z prochem strzelniczym – to nie to samo.

Zbigniew K., Wrocław – Niezbyt przekonują obraz „drgałeś jak papierowa ryba” lub „ujrzałeś wesole dłonie ziemi”. Więcej – takie obrazy budzą niestosowną wesołość.

Lukasz J., Warszawa – Trudno pojąć czym są „złoty balsam przeznaczenia” i „zaciemnienie wymiarów” zaś „zapach smętnych jedwabii” mać myśli.

Al. Św., Francja – Pani tekstu „Naprawa Rzeczypospolitej, czy dalej jednopartyjna racja” – nie zamieścimy.

R.R., Lublin – Artykułu o Białorusi nie zamieścimy.

I.O.K., Szczecin – Z wierszy nie skorzystamy. Są one co prawda przepełnione słusznymi emocjami, niemniej literacko wysoce niedoskonałe, czasami nawet wzruszająco nieporadne.

S.D. Rzeszów – Wierszy nie zamieścimy. Bardzo szlachetne, lecz niestety zbyt emocjonalne.

J.K., Warszawa – Dziękujemy za „Notatki wiernego czytelnika”. Niektóre Pana sugestie są bardzo ciekawe, np. żeby do list wyborczych dołączać notę personalną każdego kandydata. Reforma szkolnictwa jest niewątpliwie sprawą b. pilną, ale wątpliwy żeby branie za wzór szkolnictwa w państwach zachodnich było celowe. Inne warunki, nie mówiąc, że szkolnictwo na Zachodzie przeżywa głęboki kryzys.

Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż – zamiast kwiatów na trumnę wieloletniego Przyjaciela Władysława Sieroszewskiego, zmarłego w Warszawie 6 sierpnia 1996, do wojny prokuratora Sądu Najwyższego, w powstaniu warszawskim „obroncy Reduty Wawelskiej” na Ochocie, po wojnie zasłużonego w pracach Europejskiego Stowarzyszenia Kultury (SEC) . . . F. 500,00
Anonimowo z okazji 90-tej rocznicy Pana Dyrektora Jerzego Giedroycia F. 500,00
Anonimowo z Katowic F. 500,00
Bezimiennie z Niemiec – po raz 4-ty F. 1.000,00



Longin E. Sztachński, St. Petersburg, FL (USA) na:
 – pomoc dla Rodaków w Rosji – dol. 20,00 F. 100,00
 – Fundusz Kultury – dol. 20,00 F. 100,00

DZIĘKUJEMY

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

– Literatura piękna i fachowa,

– Albumy, plakaty, pamiątki,

– Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne

oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

KSIĄŻKI

Antoni Pospieszalski:	<i>Młodość polskiego Kościoła</i>	141
Zbigniew Baran:	<i>Wątpię, więc wierzę</i>	144
Leszek Szaruga:	<i>„I co z tego, że to prawda?”</i>	147
M. Broński:	<i>Sodoma bez Gomory</i>	151
Ewa Czerwiakowska:	<i>Powrót „rymopisa czasu nie-swego”</i>	156
—	<i>Komunikat Wydawnictwa Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu</i>	162
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	163
●		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	165
BUDIMEX, Zb. Byrski, J. Łukaszewski, A. Nasielski, K.W. Studnicki-Gizbert, P. Wandycz:	<i>Listy do Redakcji</i>	169
M.B. Żółtowska-Weintraubowa:	<i>Sprostowanie</i>	173
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	174

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^{ème} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04

Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1996			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessastr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszek, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Ulica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F. 600.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 493

JACEK KRAWCZYK – JANUSZ SZYMAŃSKI

BIBLIOGRAFIA

ZESZYTY HISTORYCZNE Nr 1-110
(1962-1994)

Str. 240

Cena F. 100,00



Tom 495 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SIEDEMNASTY

zawiera opracowania: A. Ziółkowska-Boehm: *Rozmowa z inż. Zdzisławem Julianem Starosteckim*; T. Dubicki: *Próba ucieczki płk. Becka z Rumunii (20.10.1940) w świetle archiwaliów rumuńskich*; A. Grzywacz: *Polski plan operacyjny „Wschód” a planowanie sowieckie w 1939 r.*; E.J. Feuerman: *Moi lwowscy profesorowie*; A. Lebid': *Zmierzch imperium albo odrodzenie Rosji*; W. Rojek: *Dwa „jaltańskie” raporty ambasadora Kajetana Morawskiego*; R. Bortnowski: *Daniłowski Dietrijomnik*; C. Bielecki: *Teresa Lechnicka-Affeltowicz*; M. Danilewicz Zielińska: *Przeoczony*; B. Berdychowska: *To jest przelom... (Rozmowa z Eugeniuszem Mironowiczem)*; T. Wyrwa: *Na rozdrożu interpretacji najnowszych dziejów Polski*; N. Taylor: *„Kresy” Jacka Kolbuszewskiego*; W. Zajewski: *Zagadki Sejmu Czteroletniego*; A. Friszke: *Sprawa Hanny Rewskiej*; G. Mazur: *Uzbrojenie Armii Krajowej. Stan faktyczny*; K. Tarka: *Polska Hierarchia a Litwini*; M. Rudzki: *Winietki okupacyjne (II). Pacyfikacja Natęczowa i*
LISTY DO REDAKCJI

Str. 240

Cena F. 90,00